



Kim był? Subtelny artystą, czy znakomitym wojskowym? Józef Piłsudski przestrzegał go, aby się nie imal polityki i miał rację. Popenił zdradę we wrześniu 1939 roku, czy nie miał innego wyjścia?

Ja nie oceniam, mnie interesują ludzie i fakty

Rozmowa z CEZARYM LEŻENSKIM — pisarzem.

— Należę do pokolenia wychowanego w przekonaniu, że osoba marszałka Edwarda Rydza-Smigłego nie należy do, skromnie mówiąc, najładniejszych w naszej historii. Co pana zafascynowało, że zdobył się pan na napisanie 800-stronicowej książki o Rydzu-Smigłym?

— Dla pisarza najbardziej fascynujący jest nie schemat, oczywiście, lecz konflikt — między ludźmi, konflikt wewnętrzny, albo wynikający z sytuacji. Edward Rydz-Smigły był człowiekiem — mogę powiedzieć, gdyż zbadałem to wszechstronnie — uczciwym, nawet do przesady; prostolinijnym i szlachetnym, jeżeli komuś jeszcze dzisiaj takie określenie coś mówi. Był wspaniałym generałem...

— No wie pan! W powojennej opinii powszechniej uchodził za człowieka...

— Powiedziałem panu: pisarza nie interesuje schemat, lecz fakty. Swoje umiejętności wykazał w legionach i w roku 1920, w czasie wojny polsko-radzieckiej, czy jak chcą inni polsko-bolszewickiej. Jego odwrót spod Kijowa w opinii specjalistów uchodzi za majstersztyk. Edward Rydz-Smigły był właściwie kandydatem numer jeden marszałka Józefa Piłsudskiego na naczelnego wodza — co wynika z poufnych ocen sporządzonych przez Piłsudskiego w 20. latach. Był to człowiek, który się w ogóle nie nadawał na dyktatora — trochę malarz, poeta (pozostawił po sobie piękne wiersze). Uroczy człowiek, który nigdy nie krzyczał, za-

4

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 28 (1580)

ROK XXXI

9 LIPCA

1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- ◆ Seks po polsku — str. 2
- ◆ Najpiękniejsza ulica świata str. 1 i 6
- ◆ Czy badylarz wróci do zdrowia? str. 5
- ◆ Stalin w ogóle nie odpowiadał str. 10
- ◆ Barwne życie szarej eminencji str. 8

Ponad cztery piąte maturzystek w liceach, połowa w technikach i jedna trzecia studentek uniwersytetu nie miała jeszcze nigdy stosunku seksualnego. Ale co czwarta panna młoda jest w ciąży.

Życie intymne uczniów i studentów

MIROSLAWA SARBINSKA

W ostatnich klasach łódzkich szkół średnich (tegoroczni maturzyści) miało już stosunki seksualne 22 proc. uczniów liceów ogólnokształcących i 49 proc. uczniów techników. W grupie dziewcząt zachowało dziewictwo 84 proc. licealistek oraz 53 proc. uczennic techników. Współżycie seksualne przed ślubem uważa za dopuszczalne 58 proc. maturzystów (tyle samo w obu typach szkół) a za nie dopuszczalne 24 proc. Pozostali nie mają zdania. Zdecydowana większość uczniów klas maturalnych w Łodzi (71 proc. licealistów i 72 proc. techników) uważa za niedopuszczalne przerywanie ciąży.

Z kolei wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego (ekonomia, socjologia, psychologia, pedagogika, historia, biologia, matematyka i fizyka) nie miało jeszcze nigdy stosunku seksualnego 19 proc. mężczyzn oraz 38 proc. kobiet. Współżycie seksualne przed ślubem uważa za dopuszczalne cztery piąte młodzieży akademickiej. Natomiast przerywanie ciąży dopuszcza 30 proc. a potępia 62 proc. respondentów.

Znaczna część studentów Uniwersytetu (38 proc. mężczyzn i 9 proc. kobiet) zaspokaja popęd seksualny drogą masturbacji czyli samogwałtu. Nigdy dotąd nie onaniowało się 22 proc. studentów oraz 68 proc. studentek. Reszta nie czyni tego, obecnie, ale kiedyś próbowała masturbacji. Aż co dziesiąty mężczyzna i tylko 2 proc. kobiet uprawia dość często onanizm.

Przedstawione wyżej wyniki najnowszych badań (1988 rok), które udostępnił mi znany socjolog, nie pozwalają chyba mówić o rewolucji seksualnej w naszym kraju. Nie zapominajmy, że ankietowani uczniowie ukończyli już 18 lat, a studenci przekroczyli nawet 20 lat. Są to więc ludzie od dawna dojrzały biologicznie. W ich wieku niełatwo jest powstrzymać się przed zrywaniem zakazanych owoców seksu.

Potoczne obserwacje prowadzą często do pochopnych i błędnych uogólnień. Na podstawie swobodnego zachowania uczniów klas starszych i studentów można by przypuszczać, że prawie wszyscy znają już miłość fizyczną. W rzeczywistości zaś mamy młodzież raczej grzeszną i wstrzemięśliwą. Ogromna w tym musi być zasługa Kościoła, ponieważ najwięcej osób nie znających seksu jest wśród głęboko wierzących i systematycznie praktykujących. Trzy czwarte studentek Uniwersytetu Łódzkiego uczęszczających w każdą niedzielę na mszę świętą stanowią dziewice. A wśród chłopców praktykujących regularnie co drugi nie miał nigdy stosunku seksualnego.

Nie znaczy to, że pobożne dziewczyny zachowują cnotę aż do nocy poślubnej. Na ślubnym kobiercu tylko wyjątkowo stają nie tknięte panny młode. Jednakże większość z nich ulega z miłości oraz w okresie narzeczeństwa. W

łódzkich Urzędach Standu Cywilnego co czwarta oblubienica jest w ciąży. Tylko 43 proc. nowożeńców stosowało środki antykoncepcyjne.

Socjolog katolicki, ksiądz Jerzy Laskowski badał na przełomie 1985 i 1986 roku narzeczone w Warszawie. I stwierdził, że zasadę czystości przedmałżeńskiej akceptuje 32 proc., odrzuca — 48 proc., a reszta nie ma wyrobionego zdania. Innymi słowy: akceptuje co trzecia osoba, odrzuca co druga, nie ma zdania co piąta.

Problem ten badano również wśród starszej młodzieży licealnej należącej do dwóch parafii w Gdańsku i Warszawie. Postulat czystości przedmałżeńskiej zdecydowanie odrzuciło blisko 70 proc. ankietowanych. Zaledwie jedna piąta opowiedziała się za, a jedna dziesiąta nie miała własnego zdania. Pewna dziewczyna napisała:

„Jeśli oboje się kochają, dlaczego między nami nie ma dojść do zbliżenia seksualnego. Uważam czystość przedmałżeńską za coś bezadziejnego i bezsensownego”.

Cytując podobne wypowiedzi licealistów ksiądz Jerzy Laskowski wyraża poważne zaniepokojenie. Martwi go fakt, że młodzi katolicy nie rozumieją dobrodziejstwa czystości przedmałżeńskiej. Młodzież nie podziela poglądu Kościoła, że powściągliwość seksualna sprzyja miłości i rozwojowi osobowości. Konkluzja jest dość pesymistyczna:

„Młodzież w dużym stopniu przejawia laicko-pragmatyczny sposób myślenia i wartościowania. Miłuje wolność, ceni niezależność, stroni od wyrzeczenia, przejawia nastawienie permissywne. W niewielkim stopniu religia kształtuje jej mentalność”.

Moim zdaniem, Jerzy Laskowski i inni księża wyraźnie przesadzają. Badania socjologiczne nie dają podstawy do twierdzenia, że nasza młodzież jest rozpasana. W życiu erotycznym nie postępuje lekkomyślnie. Seks łączy z miłością i narzeczeństwem. Notabene instytucja narzeczeństwa i zaręczyn przeżywa prawdziwy renesans.

W tej sytuacji błędem było wywołanie pod-reęcznika Wiesława Sokoluka, Dagmary Andziak i Marii Trawińskiej „Przysposobienie do życia w rodzinie” (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1987, nakład ogólny 499 820 + 180 egzemplarzy). Po uważnej i refleksyjnej lekturze nie mogę pojąć, dlaczego w kręgach kościelnych uznano, że książka ta wzywa do anarchii seksualnej. Teraz, kiedy emocje już opadły, nieuprzedzony czytelnik musi przyznać, że inkryminowana część druga pt. „Życie erotyczne człowieka” jest naprawdę napisana. Wiesław Sokoluk z dużą kulturą i niezbędną subtelnością przedstawił najbardziej intymne problemy.

6



Foto: Grzegorz Gałasiński

W hotelach i restauracjach tego dnia nie było wolnych miejsc.

Najpiękniejsza ulica świata

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Najpierw było święto Piotrkowskiej, a potem zaczęły się targi odzieżowo-skożrzane „Interfashion”, dzięki czemu Łódź przeżyła kilka wesołych dni. W chwili, gdy w sobotę przed południem viceprezydent Stanisław Żalobny otwierał w pasażu Schillera świętą ulicę Piotrkowskiej, padał drobny, doku-czliwy deszcz.

W tę pochmurną sobotę nie było wcale na Piotrkowskiej nadzwyczajnych tłumów, zawi-sza wszelako nad miastem jakaś szczególnie urokliwa nostalgia. Widać, jak to jest, kiedy grają orkiestry dęte. A przy Klubie Studentów wrzeszczał z pasją zespół ludowy. Między tylną ścianą Grandu a MDK, u stóp pomnika poety, o którego rwać się miało pazurami po śmierci kilkanaście sławnych, niekoniecznie polskich miast, tańczyły i śpiewały z wdziękiem dziewczęta, pod „Magdą” natomiast nie było nic oprócz dwóch punktów sanitarnych, z których pierwszy nie

przyciągnął mojej uwagi, drugi zaś wywiesił hasło, iż „AIDS JEST CHOROBA DO UNIKNIĘCIA”.

Wysnułem z tego pogodnie wnioski, towarzyszący mi jednak fotoreporter „Odgłosów” pobłądził, jakby odessali go zbyt gwałtownie na punkcie krwio-dawstwa.

— Co się stało, panie Grze-siu? — zapytałem.

— Nic. Żenić mam się nie-długo, a tu adidasa dają na odległość.

— Niech pan się nie wygłupia — skarcelem surowo owego młodego, dwudziestoletniego obywatela. — Chodźmy lepiej zapytać się o „Interfashion”.

Grzegorz Gałasiński przystał na to i odwiedził ośrodek BOC, którego nie należy mylić z KOC, aczkolwiek ten ostatni również jest w pełnym pogotowiu, a jego członkinie ściągają do Łodzi z wielu polskich, du-żych i małych aglomeracji. BOC to Biuro Obsługi Cudzoziemców i centralny punkt informacyjny Drugich Targów Tekstylnych, z których pierwszy nie

— Skórzanach „Interfashion”. Mieści się nie opodal „Horteksu” przy Piotrkowskiej. Na wprost drzwi, pomiędzy jezdnią i chod-nikiem sterczy tablica obwiesz-czająca, że można tutaj wynaj-ąć bryczkę (nie dostrzegłem żadnej bryczki) w celu zwie-dzenia Łodzi albo wynająć sa-mochód w tym samym bądź handlowym celu. Pisało także, iż można wykupić bilet na samolot relacji Łódź — Poznań. Europa! Grzegorz Gałasiński skłonił się siedzącemu za kontuarem panu, po czym zadał niewinnie pytanie:

— Kiedy jest otwarcie „In-terfashion”?

— Nie wiedział.

— Gdzie jest otwarcie „In-terfashion”?

— Nie wiedział.

— Gdzie jest punkt akredyta-cyjny dziennikarzy?

— Nie wiedział.

Spojrzał więc na mnie Grze-gorz Gałasiński i szepnął:

— Nie wiedzą.

— Co pan chce? — ja mu na to. — Do poniedziałku brakuje jeszcze dwóch dni. Do tej pory ich oświeca.

Wróciliśmy w pobliże estrady przy pasażu Leona Schillera. Padało. Grał big-band jazzowy. Znakomicie! Słuchaczy było morze. Może czterdziestu, a może nawet pięćdziesięciu. Nie było natomiast Króla Łgarzy, który obwieszczał w „Dzienniku Łódzkim” swoje przybycie i do którego miałem ewentualnie kilka pytań. Potem była już tylko piłka noż-na i żalozny duet

6

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretnarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowsky.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glane.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył
Kocznow (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewicz, Karol J.
Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie
zamówionych rekwizytów i zastrze-
ża sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 3. Dla
osób fizycznych zamieszkałych
w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają prenu-
meratę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczych lub w siedzibach
właściwych dla miejsca zamieszkania
prenumeratora. Wskazuje się na
dokonanie prenumeratę w urzędzie
pocztowym na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę
ze zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwa ul. Towarowa 23
00-958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139-11 Prenumeratę
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceniodawców
Instytucji i zakładów pracy
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 października —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego

Zam. 2193. S-10.

Przegląd prasy

Na początek mądra i zabawa-
na przypowieść. Pewna wdowa
schwytała młodego mnicha
buddyjskiego. Oświadczyła mu,
że zostanie uwolniony, jeśli się
z nią pokocha lub wypije wino,
albo zabije kozę. Strapiiony
mnich nie wiedział, co zrobić.
Nie mógł uprawiać miłości, bo
ślubował czystość. Nie mógł pic
wina, ponieważ ślubował
wstrzemięźliwość. Nie mógł też
zabijać kozy, gdyż nie wolno
mu było krzywdzić istot ży-
wych. Ale musiał coś wybrać.
Po długim namyśle doszedł do
wniosku, że najmniejszym złem
jest wypicie wina. Kiedy jed-
nak wypił wino, to następnie
pokochał kobietę i zabił jej
kozę...

Te historyjki opowiadał w
Paryżu wielki mistrz buddyjski
Włodzimierz Wysocki. W wy-
stąpieniu na scenie. Uratował
go zastrzyk w serce. Rok póź-
niej, 25 lipca 1980 roku, o
czwartej rano nieznaną osobę
powiadomił telefonicznie Ma-
rina Vlady: „Volodia est mort”.

Marina Vlady oskarża ojca
poety, Siemiona Włodzimiro-
wicz, że nie rozumiał nigdy
własnego syna i złożył na nie-
go donos, licząc na awans.
Przez dwadzieścia lat nie udało
się aktorke francuskiej pojed-
nać obu mężczyznom.

W tym samym miesięczniku
o Włodzimierzu Wysockim i
Marinie Vlady interesujący pi-
sze Michał Radkowski. Szkic
swoją tytułował: „Hamlet u-
miera na serce”.

MARINA I WLADIMIR

Poznali się w czasie festiwa-
lu filmowego w Moskwie w
1967 roku. Wielkie wrażenie
wywarło na niej aktorstwo
Wysockiego w sztuce „Puga-
czow” na scenie Teatru na Ta-
gance. On zaś natychmiast o-
świadczył, że kocha ją od daw-
na i musi zostać jego żoną.
Nie ma żadnego znaczenia to,
że Moskwa jest daleko od Pa-
ryża.

„Oboje byli równoletkami,
należeli do świata artystów,
milieli za sobą rozbite małżeń-
stwa, z których pozostało pię-
cioro dzieci (w tym trzech sy-
nów Mariny). Lecz na tym
kończyły się „podobieństwa”.
Marina była aktorką renom-
owaną, globtroterką, jeździła po
świecie nie zważając, że
wsiada do samolotu, w Maison
Laffitte pod Paryżem czekał
na nią urządzony piętnasto-
pokojowy dom. O Wysockim nikt
nie słyszał, prowadził życie
wólczy, własnego
kocha nie miał, kraju rodzin-
nego nie opuszczał, nigdy nawet
nie ubiegał się o paszport, nie
znał obcych języków, cieszył się
popularnością dziwną, „szem-
rana”, która wcale nie podoba-
ła się czynnikiem, oficjalnym.
Był człowiekiem bez statusu;
nie uznawano go za poète, więc
nie mógł należeć do Związku
Literatów.

Teatr był jego zawo-
dem, ale prawdziwą pasją
poetę, lecz właśnie
jej uprawianie było czymś
dużo ważniejszym, niepowin-
nym. Dawano mu niekiedy rolę w
filmach, nie wszystkie go satys-
fakcjonowały. Żył w stanie
chronicznego niezrealizowania.

Małżonkowie zamieszkali u
matki Wysockiego, w jednym z
dwu pokojów (dziesięć metrów
kwadratowych). W celu utat-
wienia cichego przekraczania
granicy. Marina wstąpiła do
Francuskiej Partii Komunisty-
cznej i do Towarzystwa Przy-
jaźni Francusko-Radzieckiej. Na
jakimś przyjęciu sfotografowa-
no ją z Leonidem Breżniewem.

„Marina cenila Rosję i jej
kulturę, znała dobrze język, ale
nie czuła specjalnego przywią-
zania do komunizmu. Jej życie
upłynęło na Zachodzie wśród
warstw elity społecznej, przy-
wiązanej do konsumpcyjnego
wyboru i obfitości. Jej próby
kupowania czegoś w normal-
nych sklepach ZSRR kończyły
się zwykle niepowodzeniem”.

Przez sześć lat Wysocki nie
miał odwagi wystąpić o pasz-
port. Ale już pierwsza próba
była udana. Paszport przyniósł
mu nawet specjalny goniec.
Dzięki temu zwiedził wiele
krajów. Marina kupiła numer-
cedesa. Żył w dostatku, lecz
nie zawsze czuł się szczęśli-
wym.

„Dwadzieścia lat trwało ten
związek osobliwy, pełen odde-
łu i zbliżeń, pożegnań i powi-
tań, godzin spędzonych na lot-
nisku, bo pogoda była „nielot-
na”, małżeństwo żony pół-
zydentki i męża — słynnego —
aktorki (to, głównie na Zachod-
zie), parada telefonicznych po-
łączeń między Moskwą i całym
światem i między całym świa-
tem a całym Związkiem Ra-
dzieckim, bo oboje podróżowali
ponad miarę...”

W lipcu 1979 r. podczas
przedstawienia „Hamleta” w
Samarandzie Włodzimierz Wy-
socki padł na scenie. Uratował
go zastrzyk w serce. Rok póź-
niej, 25 lipca 1980 roku, o
czwartej rano nieznaną osobę
powiadomił telefonicznie Ma-
rina Vlady: „Volodia est mort”.

SEKS PO POLSKU

Niemalą sensację wywołało
pierwsze chyba oficjalne wy-
dawnictwo pornograficzne
„SEKS” (cena 200 zł), które
przygotował Zespół „REPOR-
TERA”. Niektóre zdjęcia w na-
szych warunkach mogą być
szokujące. Mirosław Sarbiński
i wielu czytelników może za-
interesować obszerny i bogato
ilustrowany artykuł Karola
Jackowskiego pt. „Szał ciał.
Seks po polsku”.

„Niedawno Adam Grodzki u-
stał, że tylko 16 proc. obywa-
teli PRL z rozpoczęciem życia
seksualnego czeka do nocy po-
ślubnej. Jedynie 4 proc. wyraża
opinię, że seks przedmałżeński
jest złem i nie powinien mieć
miejsc, natomiast 60 proc. po-
chwala go i uważa za niezbęd-
ny — przeważnie zastrzegając
przy tym, że mają na myśli
partnera „testowanego” na o-
koliczność przyszłego małżeń-
stwa. Polowa kobiet urodzonych
w latach 1951—57 twierdzi, że
pierwszy partner zostali póź-
niej ich mężem, ale co trzecia
przyznaje, że do chwili naloże-
nia welonu miała dwóch lub
więcej kochanków.

Z kolei Zbigniew Lew-Star-
owicz twierdzi, że tylko dla
jednej czwartej młodego pokole-
nia Polaków aktualny mąż
czy żona byli „tymi pierwszymi”.
Jedna trzecia mężczyzn
i prawie połowa kobiet zdążyła
zaliczyć do tego czasu dwóch
lub trzech partnerów, 20 proc.
panów i 15 proc. pań może się
pochwalić czterema czy pięcio-
ma, a rekordzist, których lic-
ba nie jest wcale taka mała, bo
obejmuje 10 proc. każdej płci,
zdążyli zakosztować różnorodnych
upojów z więcej niż dziesięcio-
ma partnerami”.

W nawiązaniu do kontaktów
pozaślubnych nierazko inic-
jatorami są kobiety. Przyzna-
je się do tego co trzecia. Ale
jednocześnie 61 proc. pań mo-
że zaakceptować miesięczną
przerwę w kontaktach seksual-
nych, zaś połowa mężczyzn na-
rzeka, że małżonki nie spełnia-
ją ich wymagań erotycznych.
Cztery piąte mężczyzn i prze-
szło połowa kobiet miewa sny
o charakterze erotycznym co
najmniej kilka razy w miesią-
cu. Aż 50 proc. mężczyzn oraz
40 proc. kobiet kocha się we
śnie z obcymi osobami.

„Niezaprzeczony docent Staro-
wicz zdolał ustalić, że u 10
proc. polskich par małżeńskich
czas trwania stosunku wynosi
mniej niż 3 minuty, u 58 proc.
— do 10 minut, a u 35 proc.
— powyżej 10 minut. (...) Na 150
kobiet w wieku 17—45 lat, po-
chodzących z rozmaitych kro-
dów i legitymujących się
najróżniejszymi stopniami wy-
kształcenia, a przepytanych os-
tatnio przez doc. Starowicza,
53 podało, że nigdy nie pocię-
li nie dotyka członka partnera.
Nie odczuwają takiej potrzeby,
budzi to ich niechęć i wro-
niętrny opór, 42 kobiety podej-
mowały nieśmiało pieszczoty,
połączając na krótkim dotknię-
ciu, trzymaniu w ręce czy o-
sobistym wprowadzeniu członka
do pochwy, ale nie było to dla
nich źródłem przyjemności.
Przedstawiciele obu grup
twierdzą, że seksa nagość jest
dla nich absolutnie seksual-
na”.

W pierwszym (7) polskim
wydawnictwie pornograficznym
(znak liberalizacji cenzury)
można również przeczytać, jak
wygląda seks po niemiecku,
włosku, francusku, amerykań-
sku, szwajcarsku, szwedzku, ro-
syjsku, czesku, bułgarsku.

„PIEKNI DWUDZIESTOLETNI”

O liberalizacji cenzury świad-
czy fakt, że tygodnik krakow-
ski „ŻYCIE LITERACKIE” (nr
26) rozpoczął drukować słynną
powieść autobiograficzną Ma-
rika Haski. Oto niektóre frag-
menty z pierwszego odcinka:

„Szkoly nie ukończyłem;
częściowo na skutek komplikacji
rodzinnych, częściowo na
skutek idiotyzmu, stwierdzone-
go przez nauczycieli. Nie jest
mnie pewien do dzisiaj, czy
miedzy fizyką, algebrą, mate-
matyką i chemią zachodzi ja-
kakolwiek różnica i nigdy się
tego nie dowiem. Nie wiem,
czy czterdziści dziecić da się
w ogóle podzielić przez jaką-
kolwiek cyfrę, jeśli to się w
ogóle jakimś cudem uda, to na
pewno nie mnie. Przez szkołę
powszechną przepchnąłem się
tylko dzięki temu, że nauczy-
cielem matematyki był ten sam
nauczyciel, który uczył języka
polskiego. (...)

Potem zaczęła się katorga. Ze
szkoly ogólnokształcącej wyrzu-
cono mnie za głupotę: była to
szkoła numer dwa imienia La
Guardii, potem — Marii Kono-
pniekiej. Na wniosek kuratora
posłano mnie do poradni —
nie jestem pewien czy dobrze
zacytuje nazwę — psychotech-
nicznej, czy coś w tym rodzaju.
Kazano mi układać jakieś klo-
cki, kazano mi do jakichś idio-
tycznych tekstów wpisywać
brakujące słowa, zadawano mi
szokujące pytania dotyczące
moich rodziców i krewnych;
wreszcie kazano mi się roze-
brać do naga i uznano za nie-
zdolnego do nauki w szkole
typu humanistycznego; posłano
mnie do szkoły handlowej we
Wrocławiu — czy też spółdziel-
czo-handlowej, wychodząc wi-
docznie z założenia, że idioci
niebędni są w handlu; był
może chodziło tu o dobro ku-
pujących. Nie wiem.

Kariera moja skończyła się
po paru lekcjach matematyki.
W tym czasie utworzono w
Warszawie Szkołę Techniczno-
Teatralną; pojechałszy razem
z moim bratem Józefem —
przez trzy miesiące brat mój
odrabiał za mnie zadania z
matematyki, chemii i algebry,
jednak na skutek tak zwanej
wzrostu rodowej przestąpił; wy-
rzucono mnie znowu. (...)

Logicznie rzecz biorąc, mało
który naród ma tak wiele szans
na dobrą literaturę, jak my,
Polacy. Mamy wszystko: nie-
szczęścia, mordy polityczne, do-
nosicielstwo, nędzę, rozpacz, pi-
jaństwo — czegoż jeszcze trze-
ba, na Boga? Żyjąc w Izraelu
mieszkałem z najgorszymi szu-
mowinami, nigdy jednak nie
spotkałem ludzi tak zrozpaczo-
nych, zwierzęcych i nieszczęśli-
wych, jak w Polsce. (...)

Jeśli o mnie chodzi, nie mam
nic przeciw comites (gwarowe
amerykańskie określenie komu-
nistów). Tak długo jak oni po-
pełniają świństwa a ja mogę o
tym pisać — wszystko jest dla
mnie O.K. Jestem tylko świad-
kiem w procesie oskarżenia;
sprawa jest dla mnie obojętna,
byłoby proces był ciekawy. To
wszystko”.

WSPOMNIENIA ANDERSA

W sytuacji łagodniejszej cen-
zury już dziesiąty odcinek
wspomnień generała Władysła-
wa Andersa publikuje „TY-
GODNIK KULTURALNY” (nr
27). We wrześniu 1941 roku gen.
Anders przybył do obozu woj-
skowego w Buzulu. Dobiega-
łemu, drewnianemu miasteczku
rosyjskiego przybywali z wię-
zień i łagrow żołnierze polscy.
Byli w straszliwym stanie. Po-
dobnie było w obozie w Toc-
kom: ludzie w łachmanach, bez
butów i koszul, pokryli wrzo-
dami wskutek awitaminizacji.
Generał miał wątpliwości, czy
uda się z nich jeszcze zrobić
wojsko.

E. L.

Nagroda „Odgłosów” po raz piąty

Przypominamy regulamin nagrody

Regulamin nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury
publikujemy po raz piąty i po raz piąty w maju 1989 roku be-
dziemy chcieli tę nagrodę przyznać. Przypominamy, że jest to
nagroda za działalność kulturalną w minionym roku — a więc
w 1988. W przyszłym roku przyznamy nagrodę za osiągnięcia do-
konane w 1989 roku. Nie jest to nagroda „za całokształt”, choć
nie ukrywamy, że i cała działalność kandydata ma niewątpliwą
wpływ na decyzję jury.

Warto też pamiętać, że wniosek o przyznanie nagrody musi być
umotywowany na piśmie i to dość dokładnie, bo jury jest bar-
dzo wymagające i skrupulatnie przestrzega regulaminu. Zdarza
się — niestety — czasami, że ktoś zgłosi czyjąś kandydaturę i za-
pomina później dokonać niezbędnej czynności umotywowania tej
kandydatury. Traci na tym przede wszystkim kandydat.

Nagroda „Odgłosów” zyskała już pewne znaczenie w życiu kul-
turalnym miasta. Ambicją naszą jest, aby to znaczenie na-
dał rosło i aby sprzyjało upowszechnianiu kultury. Będziemy
wzorem poprzednich lat pytać różnych ludzi o ich opinie na ten
temat i publikować je. Będziemy też prezentować tych, którzy
ewentualnie będą zgłaszani do nagrody. Pragnieniem naszym
jest, aby przygotowania do przyznania nagrody stały się powo-
dem do dyskusji o życiu kulturalnym Łodzi.

Regulamin opublikujemy jeszcze kilkakrotnie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

REGULAMIN

NAGRODY TYGODNIKA „ODGŁOSY”

ZA UPOWSZECHNIANIE KULTURY W ROKU 1988.

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie
kultury w 1988 roku w wysokości 100 tysięcy złotych
przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz
stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmu-
jących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub ze-
spoly ludzi, którzy w 1988 roku wyróżnili się oryginal-
nymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, ekspery-
mentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami
organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upow-
szecznianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w prak-
tyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana
jednej osobie lub zespołowi.

4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy” można kandydo-
wać wiele razy, jeśli osiągnięcia w upowszechnianiu kul-
tury w minionym roku upoważniają do złożenia wła-
ściwego wniosku.

5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy” za upow-
szecznianie kultury mogą kandydować ponownie dopie-
ro po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.

6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformu-
lowany na piśmie, dokładnie udokumentowany dzia-
łalnością obejmującą rok 1988 i zgłoszony w redakcji
tygodnika „Odgłosy” do 31 stycznia 1989 roku.

7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli
ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli na-
desłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom re-
gulaminu.

8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódz-
kie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka —
Ruch”.

9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek re-
daktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódz-
kiego Wydawnictwa Prasowego.

10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wcho-
dzą:

- przedstawiciele Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
- dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”,
- przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu
Miasta Łodzi,
- przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regional-
nych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków,
dziennikarzy i innych.

Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja
1989 roku.

Wyrazy serdecznego współczucia dla kol. kol.

JOLANTY SAWIUK
i WIKTORA SAWIUKA

a powodu śmierci

S Z W A G R A — B R A T A

składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW”:

— Był sobie Lekarz i była Pielęgniarka. On — około trzy-
dziestki, przystojny. Ona — o prawie czterdziestu lat młodsza, sym-
patyczna i też niebrzydka. Poznali się w szpitalu, na oddziale
chirurgii. A jak się poznali, od razu przypadli sobie do serca
— pierwsza część smutnego reportażu PAWŁA TOMASZEW-
SKIEGO o ludzkiej naiwności i podłości.

— W końcu 1987 roku inspektorzy PIH wydali bitwę właści-
cielow prywatnych wypożyczalni kasety wideo w Łodzi. Wygrał
ja bez trudu, gdyż przeciwnicy byli słabi. — reportaż ANDRZEJA
GĘBAROWSKIEGO o tym, jak tworzy się podziemie gospodarcze.

— Pomiędzy kapliczką a krzyżem stoją zabudowania. Co numer,
to obiekty dostatecznie, trafiają się wille i prawdziwe kamie-
nice. Ale wśród tego cywilizacyjnego blasku zobaczysz też i
prawdziwy skansen, nad którym nie zlituje się ani Pan Bóg, ani
pan solity, ani sekretarz parli. Kto naprawi to, co napsuł były
naczelnik gminy w Rzgowie? — reportaż RYSZARDA BINKOW-
SKIEGO pt. „Rugi chłopskie w Kalinku”.

— W życiu seksualnym mężczyźni łatwo się podniecają, szybko
zmierzają do celu i natychmiast osiągną satysfakcję. Kobiety
za to domają podczas stosunku więcej rozkoszy — stwierdza
MIROSLAWA SARBIŃSKA.

Dobiegł końca rok 1917 — ezwały rok wielkiej wojny. Rok brzemienny w wydarzenia, przybliżający nadzieję na kres wojennych zmagani, a w przypadku Polaków, dotkniętych wojną w sposób szczególny, wyraźnie zwiększający szanse na wyzwolenie narodu.

Pierwsze dni tego roku w sprawie polskiej optymistycznie nie nastrojały. Kraje zachodniej koalicji nie wypowiadały się nadal jednoznacznie co do niepodległości Polski, nie chcąc drażnić rosyjskiego sojusznika, ponoszącego niemałą część wojennych ciężarów. Gdy 10 stycznia 1917 roku francuski premier Aristide Briand przedstawiając w imieniu państw sprzymierzonych warunki pokojowe stwierdził konieczność przywrócenia niepodległości kilku państwom, w sprawie polskiej ograniczył się tylko do stwierdzenia iż „zamiaty J.C.M. cesarza Wszechrosji w stosunku do Polski są jasno przedstawione w proklamacji, którą wydał on do swoich armii”.

Była to niewątpliwie próba skiego rozkazu z 25 grudnia 1916 roku do armii i floty wskazującego dwa cele wojenne

mosfera zwątpienia w sens dalszej walki o boku państw centralnych. Zdawali sobie z tego sprawę Niemcy i kwaterynistr generalny Erich Ludendorff wręcz oświadczył: „Polacy mają pokazać czy w ogóle chcą iść z Niemcami. Trzeba im wreszcie dać dowód, że to my mamy rozkazywać a nie oni”.

Zażądano od legionistów złożenia przysięgi na wierność i braterstwo broni. Józef Piłsudski uznając, iż jest to dobra okazja do zerwania niewygodnego po rewolucji w Rosji sojuszu polecił nie składać przysięgi. Jego autorytet, chociaż on sam nie był już wtedy w szeregach, okazał się silniejszy od dyktęty Komendy Legionów. Przybył w celu nakłaniania do złożenia przysięgi członkom tej komendy, oficerowie Pierwszej Brygady z determinacją rzucali szable pod nogi.

W rezultacie żołnierze Pierwszej i Trzeciej Brygady Legionów zapewnili jenieckie obozy, a Druga Brygada po złożeniu przysięgi też nie dotrwała w sojuszu do końca. Dowodzona

Społeczeństwo, poza partiami skrajnej lewicy, nastawionymi wyłącznie na rozwiązanie rewołucyjne zapoczątkowane w Rosji, przyjęło utworzenie Rady Regencyjnej przychylnie, jako kolejny krok na drodze do samodzielności narodowej. Za wykładnię stosunku do Rady Regencyjnej przyjął by można fragment uchwały Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”, w której stwierdzono że „jeśli Rada Regencyjna prowadzi będzie naród ku wolności, zjednoczeniu, potęgze i szczęściu... najkarniejszym, posłusznym duszą i sercem oddanych współpracowników”.

Rada Regencyjna nie spełniała jednak społecznych oczekiwań i z czasem była odczuwana jako nie pogardzała lekceważeniem, jako wyznaczeni przez okupantów figuranci.

Zasadniczy zwrot w sprawie polskiej przyniósł 7 listopada 1917 roku, owe — jak pisał John Reed — „dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, i postawiły pod znakiem zapytania dalszy udział w wojnie Rosji — jednego przecież z fi-

tralną Radą Ukraińską, która musiała uciekać z Kijowa przed radzieckim rządem ukraińskim, nie Niemcy liczyli, że sytuacja się odwróci i pragnęli zyskać sympatię ukraińskich nacjonalistów kosztem ziem polskich. Przekazanie Chelmszczyzny i części Podlasia Ukrainie stanowiło de facto próbę kolejnego rozbioru Polski.

Stanowisko Niemiec i Austro-Węgier spowodowało gwałtowne protesty społeczeństwa polskiego. Rada Miejska Warszawy ogłosiła deklarację stwierdzającą, że „Naród polski ufny w poparcie wszystkich ludów, użyje wszystkich sił, aby cios ten odeprzeć i nie ustanie w walce o niepodległość, zjednoczenie demokratyczne państwo polskie”.

Działający z mandatu Rady Regencyjnej rząd Kucharszewskiego podał się do dymisji twierdząc, iż nie jest w stanie sprawować swych funkcji.

14 lutego 1918 roku rozpoczął się w Warszawie wielki strajk protestacyjny. Uprawożono wśród ludzi odezwę Rady Regencyjnej protestującej przeciw pomniejszaniu ojczyzny, a regent Zdzisław Lubomirski aktywnie uczestniczył w demonstracji zaatakowanej przez żandarmerię. Nałożone 16 lutego 1918 roku przez H. M. von Beselera na Warszawę kontrybucji w wysokości 250 tysięcy marek postanowiono nie płacić. Władza zaczęła pomału wymykać się okupantom z rąk.

W podobny sposób na decyzję w Brześciu zareagowało społeczeństwo polskie w zabrze austriackim. 12 lutego 1918 roku, w czasie strajku powstającego w Lublinie palono portrety cesarza i austriackie sztandary. Miała też miejsce doskonale przygotowana akcja jednoczesnego podania się do dymisji dużej grupy Polaków pracujących w austriackich urzędach. Odsyłano austriackie ordery, a w Krakowie został zdemolowany niemiecki konsulat. Wtedy to także opuściła dotychczasowych sojuszników Druga Brygada Legionów.

Tymczasem pojawiły się pierwsze polskie oddziały po drugiej stronie barykady, w szeregach wojsk Ententy. Porozumienie między Komitetem Narodowym Polskim a rządem francuskim z 22 lutego 1918 roku umożliwiło organizowanie armii z Polaków znajdujących się we Francji i z przybywających ochotników z Ameryki. Wojsko to, które wkrótce liczyło ponad piętnaście tysięcy było podporządkowane Komitetowi Narodowemu Polskiemu, który jego dowódcą wyznaczył przybyłego z Ukrainy do Francji bylgadię Józefa Hallera.

Kolejny postę w zmianie stosunku do sprawy polskiej przyniósł czerwiec 1918 roku, kiedy to państwa zachodnie określiły jako jeden z celów toczącej się wojny utworzenie „zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego z wolnym dostępem do morza”. Dalo to kolejny impuls działaniom niepodległościowym w kraju.

W pierwszych dniach października 1918 roku Rada Regencyjna wydała orędzie do narodu polskiego, zapowiadające niepodległe państwo polskie, obejmujące wszystkie ziemie polskie i posiadające dostęp do morza. Także w październiku, Koła Polskie w parlamentach niemieckim i austriackim ogłosiły deklarację o podobnej treści. Co do tego, że powsta niepodległa Polska nie miał już wątpliwości nikt. Był tylko inny problem — kiedy?

Tak więc sytuacja międzynarodowa kształtowała się pomyślnie dla sprawy polskiej — stwarzała możliwość niepodległości. Nie ona jednak stanowiła czynnik główny. Decydującą rolę odgrywał polski ruch narodowo-wyzwoleńczy, dynamiczny, konsekwentny, w różnych przejawiający się formach, różne prezentujący polityczne orientacje, ale zespólny upartym dążeniem odrodzenia Rzeczypospolitej.

Nadchodził listopad 1918 roku. Czas ostatecznych rozstrzygnięć.

Z tej ziemi

Gdyby tylko chodziło o odwagę

Pamiętam, jak niegdyś popularne było powiedzenie: „odwaga staniła, rozum podrożał”. A przecież mogłoby się wydawać, że rozum zawsze jest i powinien być w cenie. I to w wysokiej. Różnie jednak z tym rozumem bywało i bywa. Często króluje głupota, a rozum chowa się po kątach. A nam coraz bardziej potrzeba tego, aby przede wszystkim rozum był w cenie.

W listach jakie otrzymuję, mało kto był: *bądźcie mądrzy!* Wszyscy natomiast wolają: — *bądźcie odważni!* Otrzymałem na przykład list od Zenona S. z Piotrkowa Trybunalskiego, który nazwisko i adres zastrzegł tylko do wiadomości redakcji, a który pisał między innymi: *Panie redaktorze! Więcej odwagi!*

Na czym ma polegać ta odwaga? Chodzi oczywiście o białe plamy. Ludzie czekają na ich likwidację. Nie wątpię. Ale byłbym ostrożny w uproszczonym ich traktowaniu. Przyjęło się bowiem uważać, że owe białe plamy dotyczą tylko i wyłącznie trudnych spraw w stosunkach między Polską i ZSRR. A ja sądzę, że powinny one mieć znacznie szersze znaczenie i zasięg. Zatrzymam się jednak najpierw na niektórych problemach ze stosunków polsko-radzieckich bądź radziecko-polskich, jak kto woli.

Zenon S. domaga się na przykład, żeby napisano wreszcie o deportacjach Polaków z ziem zajętych po 17 września 1939 roku przez Armię Czerwoną, a więc z Litwy, Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Bez wątpienia jest to problem ważny, ale nie śpieszyłbym się z publikacją na ten temat, aż nie wypowiesz się upoważnieni i kompetentni historycy, którzy zapoznają się przedtem z dokumentami. A z tymi dokumentami bywa różnie. Dostęp do niektórych może być utrudniony z różnych powodów, mogą być niepełne. Trzeba więc czasu i cierpliwości. Wierzę, że taki czas nadejdzie, gdy można będzie spopularyzować ten temat w oparciu o wiarygodne materiały przygotowane przez historyków tak polskich, jak i radzieckich. Teraz można publikować wspomnienia i relacje poszczególnych osób. I tak się robi.

Jeden z Czytelników zapytał w liście, czy to prawda, że w 1941 roku w niektórych rejonach dawnych ziem wschodnich Polski (sprzed 1939 roku) witała wojska Wehrmachtu jako wyzwolicieli? Prawda. Zdarzały się takie przypadki. Trzeba przecież pamiętać, że na tych terenach silnie dawał się odczuć nacjonalizm ukraiński. Jako 11-letni chłopiec byłem świadkiem takich przypadków w moim rodzinnym mieście Zdobunowie. Miasto zostało udekorowane flagami niebiesko-żółtymi z „Tryzubem”. Krótko była ona samostojna, gdyż na dawnym magistracie, gdzie zaginęła się niemiecka żandarmeria i ukraińska policja najpierw wisiały dwie chorągwie niebiesko-żółte, później już tylko jedna, a obok niej czerwona ze swastyką w białym kole, a następnie dwie takie same czerwone. W jakimś czasie później ukraińska policja poszła do lasu, a wokół Zdobunowa — i nie tylko — zaczęły płonąć polskie wsie i miasteczka. Hitlerowcy przyglądali się temu spokojnie, tylko wojska węgierskie szły ratować mordowanych Polaków. Ale, żeby prawda była pełna, to trzeba powiedzieć, że kiedy jedni cieszyli się z „Samostojnej Ukrainy”, drudzy tworzyli antyfaszystowską partyzantkę, która mocno Niemcom, jak i ukraińskim nacjonalistom dala się we znaki.

I jeszcze coś trzeba powiedzieć, aby prawdziwie stało się zadość. Kiedy ukraińscy policjanci uciekli do lasu, ich miejsca u boku Niemców zajęli... Polacy. Powstała polska policja pomocnicza. W Generalnej Guberni natomiast od początku działała policja granatowa, utworzona przez Niemców z dawnej Policji Państwowej. Ale o tym jakos u nas mało się pisze. To przecież też są białe plamy. Przygotowujemy zresztą materiał na ten temat.

Bardzo często powtarza się sprawa Katynia. Ludzie jakby sobie nie zdawali sprawy z prawnej sytuacji w tej kwestii. Oficjalnie obowiązujące opublikowane w 1944 roku „Komunikat Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez niemieckich najeźdźców faszystowskich w lesie katyńskim jeńców wojennych — oficerów polskich”. Komunikat ten ukazał się ponownie w roku 1955 lub 1957 w jednej z polskich gazet. Do tej pory nie został odwołany, choć poza Polską a także w drugim obiegu, ukazały się różne prace podważające tezy Komunikatu. W świetle prawa obowiązujące on nadal.

Wiem, że w 1952 roku, a drugie wydanie w 1953 roku ukazała się książka (188 stron w pierwszym i 218 stron w drugim wydaniu) Bolesława Wójcickiego „Prawda o Katyniu”. Książkę tę wydał „Czytelnik”. Nie znam jednak jej treści. Podaję jedynie do wiadomości Czytelników sam fakt jej wydania. Gdyby było to wydawnictwo oficjalne. Wiadomości te mogą jeszcze uzupełnić informacja, że Wojewódzki Urząd Informacji i Propagandy w Poznaniu wydał w 1945 roku broszurę „Prawda o Katyniu”, która była zbiorem artykułów publikowanych wówczas w prasie.

I tu — choć to sprawa bardzo ważna — trzeba czekać cierpliwie na wyniki pracy historyków polskich i radzieckich. Niedawno opublikowaliśmy zapis dyskusji historyków radzieckich na temat właśnie trudnych spraw z dziejów stosunków radziecko-polskich. Czytelnik mógł się zorientować, jak trudny i skomplikowany jest to problem. Wymaga on przede wszystkim przełamania obowiązujących do tej pory schematów i... dogmatów. Wymaga też zbadania dokumentów. Wyjaśnienie tej sprawy jest potrzebne dla prawidłowego rozwoju naszej świadomości narodowej i naszych stosunków ze wschodnim sąsiadem. Dlatego i tu również pośpiech jest niewskazany, choć sama sprawa nagła.

Listę białych plam rozszerzyłbym też o prawdę o warunkach, w jakich dokonało się zjednoczenie polskiego ruchu robotniczego. Nie neguję, że w ówczesnych warunkach historycznych niezbędny był pośpiech w dokonaniu tego faktu. Ale przecież warto wiedzieć, że dochodziło do tego nie tylko w sytuacji wzajemnego zrozumienia i współpracy, ale niekiedy w warunkach niepotrzebnej rywalizacji. Myślę, że warto też byłoby zastanowić się dziś — widząc ten moment z perspektywy czasu — nad zjednoczeniem ruchu młodzieżowego. Zbliża się 40 rocznica tego faktu. Dziś już nie wystarczy laurki i slogany o ZMP. Dzieje ruchu młodzieżowego wymagają krytycznego i prawdziwego pokazania. Dla wielu z nas był to okres wspaniały, ale narobiliśmy też sporo błędów. Stan ruchu młodzieżowego dziś jest przecież tego pochodną.

Wśród wielu białych plam widziałbym też stosunki z sąsiadami naszymi w przeszłości i to nie tylko w jednym — wschodnim kierunku, ale spojrzałbym krytycznie też na południe. Przypomnijmy sobie Zaozie. Właśnie zbliża się 40 rocznica tego smutnego — i chyba żędnego — faktu. Ale wówczas myślnano inaczej i ten schemat do dziś obowiązuje tu i ówdzie. Być może dlatego tak niechętnie się na ten temat w ogóle mówi i pisze. Takie przykłady można byłoby mnożyć.

Chciałbym jednak na zakończenie przytoczyć niewielki cytat. Pochodzi on z roku... 1831, a jego autorem jest Maurycy Moch-nacki. (Przydałby się wybór jego pism!) Oto ten cytat:

„Gatunek terroryzmu — najstraszniejszy, najokropniejszy, jest terroryzm zawziętego w śmieszny uprzedzeniu mniemaniu, terroryzm obskurantyzmu politycznego, terroryzm socjalnego niezrozumienia. (...) Nie masz żadnego na to lekarstwa. Do naszych mas żadne nie trafią rozumowania. Żadna myśl oryginalna nie oparuje większości.”

Cóż to więc jest odwaga? I gdyby tylko o odwagę chodziło?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W październiku 1918 roku w to, że będzie wolna Polska nie wątpił już nikt. Wszystkich nurtowało inne pytanie: kiedy?

Zanim wybuchła niepodległość

ZENON J. MICHAŁSKI



Dekoracja żołnierzy Legionów odznaką „Za wierną służbę” — Piaseczno na Wołyniu, 6 sierpnia 1916 r.

Rosji — „zdobycie Konstantynopola i utworzenie wolnej Polski ze wszystkich trzech dzielnic”.

Była to niewątpliwie próba przeliczowania aktu dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 roku, nawiasem mówiąc — tak samo niewiarygodna.

Stanowisko Francji było więc nie tyle opowiadaniem się za niepodległością Polski, ale daniem do zrozumienia sojuszniczej Rosji, iż nie będzie prób mieszania się w jej „wewnętrzne” sprawy.

Wkrótce potem stanowisko w sprawie polskiej zajęły Stany Zjednoczone. 22 stycznia prezydent Wilson w swym orędziu stwierdził między innymi, że „mężowie stanu wszędzie są zgodni, iż powinna powstać zjednoczona, niezawisła i autonomiczna Polska”. 4 kwietnia 1917 roku Stany Zjednoczone, wypowiadając wojnę państwu centralnym, wniósł do zwyciężającej koalicji, także swój punkt widzenia w kwestii polskiej. Nie ryzykowały zresztą nic w sprawie sojusznicznych stosunków, jako że w międzyczasie rewolucja w Rosji obaliła carat, a Piotrogadzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich oświadczyła, iż „Polska ma prawo być zupełnie niepodległa pod względem państwowym i międzynarodowym”.

Także Rząd Tymczasowy oświadczył, choć znacznie bardziej ostrożnie, że „powstanie Państwo Polskie, połączone z Rosją wolną unią militarną”.

Dobiegła kresu epopeja Legionów. Po dymisji Józefa Piłsudskiego wdzierała się coraz bardziej w legionowe szeregi at-

przez bylgadię Józefa Hallera, w nocy z 15 na 16 lutego 1918 roku szaleńczym atakiem przebiła się przez austriackie linie i połączyła z oddziałami polskimi na Ukrainie.

15 sierpnia 1917 roku utworzony został w Lozannie Komitet Narodowy Polski na czele którego stanął zabiegający od dłuższego czasu w krajach zachodnich o zrozumienie dla sprawy polskiej Roman Dmowski. Komitet wkrótce został uznany za oficjalną organizację polską przez wszystkie czołowe państwa zachodniej koalicji.

Program Komitetu Narodowego Polskiego wywodził się z koncepcji jego przewodcy. W kołach rządowych francuskich określono Romana Dmowskiego jako człowieka, który „nie lubił Rosji, ale nienawidził Niemiec”. Roman Dmowski już wcześniej, w marcu 1917 roku złożył w Londynie memoriał domagający się utworzenia państwa polskiego, obejmującego na zachodzie Pomorze Gdańskie i Gdańsk, Poznańskie, Górny Śląsk, południową część Prus Wschodnich, Galicję i połowę Śląska austriackiego z Cieszyńnem, a na wschodzie Królestwo z guberniami grodzieńską, kowieńską i wileńską oraz Wołyniem.

Fakt utworzenia pierwszej polskiej reprezentacji politycznej w ramach Ententy miał niewątpliwie wpływ na decyzję cesarzy Austro-Węgier i Niemiec o powołaniu 15 października 1917 r. trzysobowej Rady Regencyjnej, w skład której weszli: arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski oraz Józef Ostrowski.

larów zwyciężającej Ententy. Już 7 listopada 1917 roku II Ogólnorosyjski Zjazd Rad uchwalił na wniosek Włodzimierza Lenina dekret o pokoju bez aneksji i odszkodowań, a 22 grudnia, po uprzednim zawarciu rozejmu, Niemcy i Rosja rozpoczęli w Brześciu Litewskim rokowania pokojowe. Działania te osłabiły wprawdzie dotychczasową jedność koalicji, ale przybliżyły czas pokoju.

19 listopada 1917 roku Rada Komisarzy Ludowych wydała Deklarację Praw Narodów Rosji. Uznano w niej prawo wszystkich narodów, będących dotąd w składzie carskiego imperium do samostanowienia, aż do oderwania się i stworzenia własnego państwa.

5 stycznia 1918 roku premier brytyjski Lloyd George przedstawiając punkt widzenia Wielkiej Brytanii na przyszłość Europy i świata powiedział między innymi: „Sądzimy natomiast, że niepodległa Polska obejmująca wszystkie terytoria rdzennie polskie, które chcą wejść w jej skład, stanowi nieodzowną potrzebę dla utrzymania trwałości stosunków w Europie Zachodniej”.

Trzy dni później prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson przedstawił kongresowi ośmiennasto punktowy dotyczący powojennego porządku. Trzynasty z nich brzmiał:

„Powinno być utworzone niepodległe państwo polskie, które winno obejmować ziemie zamieszkałe przez ludność bezspornie polską, mieć zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza; jego niezawisłość polityczną, gospodarczą oraz całość terytorialną winna być zagwarantowana układem międzynarodowym”.

Stanowisko Thomasa W. Wilsona wywołało natychmiastową reakcję państw centralnych. Szczególnie rząd niemiecki deklarował, że realizacja niepodległości Polski, to sprawa Niemców, Austriaków i Polaków. Jak to sobie wyobrażają pokazali wkrótce, w czasie rokowań w Brześciu.

Rokowania te spowodowały zaniepokojenie w kręgach polskich polityków. Obawiano się, iż mogąc zapasć decyzje niekorzystne dla sprawy polskiej. Rada Regencyjna zabiegała o udział polskich przedstawicieli w rozmowach i dla osiągnięcia tego celu regenci złożyli wizytę w Berlinie i Wiedniu. Nie zalałowiono, wizyty dały propagandzie niemieckiej szereg argumentów do ręki, a autorytet Rady Regencyjnej w polskim społeczeństwie zaczął gwałtownie maleć.

Tymczasem 9 lutego 1918 roku państwa centralne zawarły w Brześciu traktat z Ukrainą. Dzielny to był traktat zwycięzcy, iż zawierał go z Cen-

wsze starał się zrozumieć drugiego człowieka. Oczywiście, wojna 1939 roku nie była przez niego poprowadzona najlepiej...

— Fakt jest, że uciekł. Nazwano to zdradą.
— To pojęcia obiegowe. W sytuacji w jakiej znaleźliśmy się w 1939 roku nawet dwóch Napoleonów nie rozstrzygnęłyby wojny na naszą korzyść. Tragedia Rydza-Smigłego jako głównodowodzącego zaczęła się — pomijam tragedię osobistą: bardzo kochał dzieci, z żoną nie mógł ich mieć, w ich życiu nie najlepiej się wiodło — w momencie, kiedy sytuacja na tzw. przedmościu rumuńskim układała się (według dokumentów ze sztabu naczelnego wodza) pomyślnie, 16 września 1939 r. jeszcze była szansa, jeżeli nie na kontrofensywę to na okrzepienie frontu. Wszyscy byli optymistycznie nastawieni — są na to dokumenty i wspomnienia.

Następnego dnia z rana okazało się, że wszelki opór jest niemożliwy. W zaistniałej sytuacji powstała obawa, że albo Edward Rydz-Smigły dostanie się wraz z rządem do niewoli niemieckiej, albo zostanie internowany przez Związek Radziecki. Powstała komplikacja międzynarodowa. Przyjście rządu i naczelnego wodza do Rumunii było koniecznością, w myśl prawa międzynarodowego stanowiło kontynuację państwa polskiego. Edward Rydz-Smigły zdecydował się nie na strzelenie sobie w łeb czy pójście na bagnety, lecz na gest pragmatyczny, nie lubiany w naszym społeczeństwie — przedostania się do Francji i wyegzekwowania umowy militarnej. Wjechał do Rumunii w przekonaniu — w czym utwierdzał go także Józef Beck — że będzie miał tzw. droit de passage. Raptem okazało się, że Rumuni, pod naciskami niemieckimi i francuskimi, zabikowali wszystkich. Tu zaczęła się tragedia człowieka, który uważał, że wódz naczelny nie jest od tego, żeby ginąć w walce na bagnety, czy strzelać sobie w łeb, lecz że w sytuacji, w jakiej znalazła się Polska ma obowiązek odwołania armii polskiej i kontynuowania walki.

Napoleon w 1812 roku wrócił do Paryża, żeby reaktywować i zreorganizować armię, zostawiając żołnierzy pod Moskwą, kto nazywał Napoleona dezertorem? A gen. Władysław Sikorski? Zostawił żołnierzy w 1940 r. we Francji i poleciał do Londynu, żeby tam tworzyć armie polską; czy ktoś śmiałyby go nazwać dezertorem? Tragedia Edwarda Rydza-Smigłego jest tragedią człowieka, który cierpiał za zbieg okoliczności: osobista tragedia, której nikt nie chciał zrozumieć, ani w 1939 roku i w czasie wojny — stąd przerażające opinie o marszałku, niechęć do niego. Dziś jest zupełnie inaczej rozumiany przez ludzi, wystarczy pójść na Powązki i zobaczyć, jaką czcią jest otaczany jego grób. Dla mnie jest to postać głęboko tragiczna i bardzo interesująca.

— Sądzi pan, że w połowie września 1939 r. mieliśmy szansę na kontrofensywę?

— Ja nie nie sądzę, nie do mnie należy osądzanie. Na połowę września przypadał termin wyzwolenia się Francji ze swoich zobowiązań, a właśnie wtedy powstała całkiem inna jakościowo i prawnie sytuacja. Czy Francja przysłała nam z pomocą, gdyby nie 17 września, to już inna kwestia — gdyby nie w historii zawsze jest zawodne. Nasz opór mógłby jeszcze trwać miesiąc, może by coś uległo zmianie, nie chcę tego przesądzać — nie wiem, co by było. Wiem natomiast, że nie jest prawdą, iż front i państwo polskie w tej chwili się zawaliło. Najlepszy dowód, że do pierwszych dni października bardzo skuteczny opór stawiał gen. Franciszek Kleeberg. Istniała szansa na okrzepienie frontu, na rozpoczęcie walk pozycyjnych...

— Zatem zostawmy gdybanie, wróćmy do osoby Edwarda Rydza-Smigłego. Został internowany, potem wrócił do kraju... Na ten temat też krąży najrozmaitsze legendy.

— Za namową obozu pilsudczyków, który działał w kraju i na Węgrzech oraz Juliana Piaseckiego, przedwojennego wiceministra komunikacji, Edward Rydz-Smigły wrócił do kraju. Julian Piasecki zamierzał postawić Rydza-Smigłego na czele militarnej organizacji pilsudczykowskiej, która miała być — według zamierzeń Piaseckiego, a nie Rydza — konkurencyjną w stosunku do Armii Krajowej.

Kiedy Edward Rydz-Smigły zjawił się w Polsce w 1941 r. nie bardzo chciał się do tej koncepcji przychylić. Uważał, że należy się podporządkować gen. Stefanowi Grotowi-Róweckiemu, gdyż był uczciwym żołnierzem, a nie spekulantem politycznym. I tu, jak wynika z relacji, wystąpiły kontrowersje między nimi.

W moim przekonaniu Edward Rydz-Smigły zmarł na atak serca 2 grudnia 1941 roku, po wizycie dwóch przedstawicieli obozu pilsudczykowskiego — płk. Radwana Pfeiffera i kpt. Hempla, kiedy dowiedział się jak jest oceniana sanacja i obóz pilsudczykowski, jak jest obciążany odpowiedzialnością za klęskę. Cały czas Edward Rydz-Smigły był izolowany od zewnętrznych ocen — swego czasu pisał o tym Melchior Wańkowicz, po wizycie jaką składał w Rumunię internowanemu marszałkowi. Wizyta Pfeiffera i Hempla to było pierwsze zetknięcie się z rzeczywistością. Wtedy, jak uważam, nastąpił szok, atak serca i śmierć.

Nie można oczywiście mówić, że powrócił do kraju, aby dokonać ekspiacji za popełnione winy, bo do takich win się nie pociągał. Wprawdzie chciał się podporządkować Grotowi — nie jako szeregowej, a oficer — lecz okazało się, że został sprowadzony do kraju w celach politycznych, od których — według znanych nam dokumentów — wzdragał się. Zresztą marszałek Józef Piłsudski przestrzegał go, by nie mieszał się do polityki. O słuszności tej rady sam się przekonał, chociażby na przykładzie Obozu Zjednoczenia Narodowego, który był jego inicjatywą i kompletnym... niewypałem. Nawet, powiedziałbym, szkodliwym. W moim przekonaniu.

— Na temat daty śmierci marszałka istnieją różne spekulacje.

— Według dokumentów, które posiadam i tych, które są dostępne, zmarł 2 grudnia 1941 r. Niekiedy usiłują to podważyć, ale są to, moim zdaniem, sensacje publicystyczne. Jeżeli ktoś przedstawi dokumenty przekonujące, wtedy należy zrewidować, tylko pytanie, jak w powieści kryminalnej: jakie byłyby motywacje ukrycia jego śmierci? Ja takich nie widzę. Przecież nie dla jakiejś pustej swawoli ktoś chciałby ukryć jego śmierć. Według przebadanych obszernych materiałów, które posiadam, zmarł na atak serca 2 grudnia 1941 r. i został pochowany jako Adam Zawisza, nauczyciel, na Powązkach. Pod takim nazwiskiem był zameldowany u generała Jędrzeja Mysłowskiego-Raczyńskiego na ul. Sandomierskiej na Mokotowie. Ona wystawiła odpowiedni dokument, wiozła go do kieszki ubrania, w którym został pochowany. Mam oświadczenie płk. Pollaka, który mieszkał w tym samym domu i którego generała wezwano dla stwierdzenia, że zmarłym jest marszałek Edward Rydz-Smigły. On to potwierdził na piśmie, które zostało opublikowane w dokumentach Armii Krajowej, wydanych w Londynie podobnie jak inne — podpisane przez parę osób, m.in. płk. dr. Lutha, Juliana Piaseckiego i lekarzy, którzy leczyli marszałka. Jaki cel miałyby w fałszowaniu tego dokumentu? Nie ma więc przekonujących dowodów, jak to chcą niektórzy, że zmarł w 1942 r., bądź że został... otruty...

— Kazały legendy, że zginął w jakiejś potyczce jako szeregowiec, to znów, że w Powstaniu Warszawskim...

— Słyszałem mnóstwo najrozmaitszych opowieści, oświadczeń. Ktoś nawet mówił, że jako szeregowy partyzant AK przeprowadził Edwarda Rydza-Smigłego, który miał przyjechać na inspekcję z ramienia obwodu czy okręgu. Są to, po prostu, jakieś pomyłki. Jeżeli ktoś chce zrewidować dowody, które przedstawiłem w swojej dwutomowej pracy, proszę bardzo. Nie widzę powodu, dla którego miano by fingoować jego śmierć i ukrywać, że żyje. Edward Rydz-Smigły nie włączył się do walki. Książkę napisałem w oparciu o dokumenty. Jest to literatura faktu. Nie ma w niej charakterystyk, ani myśli, ni dialogów, które nie znalazłyby potwierdzenia w dokumentach. Z tym że, oczywiście, czasami jakiś np. publicystyczny artykuł rozpisuje na dialog, żeby ułatwić odbiór. Lecz istoty sprawy nie zmieniam. Jest to książka udokumentowana prawie czterysta, pozycjami, które przebadam; biograficzna literatura faktu, od urodzenia marszałka do jego śmierci. Zalałem mnóstwo interesujących, a nie znanych dotąd materiałów, dotyczących jego dzieciństwa, okresu legionowego. O jego skromności świadczy najwyraźniej brak

materiałów z najciekawszego okresu życia — legionowego i 1920 roku.

— Może chciał żyć w cieniu Józefa Piłsudskiego?

— Niechętnie odnosił się do popularyzacji swojej osoby. Moim zdaniem był skromny. A może chciał ukryć to, że pochodził z biednej rodziny? Jego ojciec był plutonowym, potem wachmistrzem ułanów austriackich, ale to w owych czasach nie było nic zdrożnego. Jego matka była wyznania greckokatolickiego, stąd zrodziła się legenda, że marszałek był Ukraińcem. W tamtych regionach grekokatolicy na ogół bywali uważani za Rusinów czyli Ukraińców. Swolm życiem dowiodł, że był Polakiem, żołnierzem, działaczem obozu niepodległościowego.

— Powiedział pan, że był malarzem, poetą...

— Tak. I to niezmym. Napisał kilkanaście wierszy na emigracji w czasie internowania — wiele z nich cytuję w książce. Nie są to wiersze wybitne, ale świadczą o człowieku. Choć Jan Lechoń nie kwestionował ich wartości literackich, bardzo je wysoko ocenił i powiedział, że świadczą one o pięknej i szlachetnej duszy marszałka. Jego obrazy, które oglądałem (sa reprodukowalne w książce), autoportrety, pejzaże także świadczą o talentach. Potwierdza to nowela, jaką napisał w czasach gimnazjalnych poświęcona sztandarowi wojskowemu, świadcząca o umiejętności władania piórem, a wszystko razem, że nie był to człowiek pozbawiony talentów.

O Edwardzie Rydzu-Smigłym jedni mówili, że jest to wódz-

Ja nie oceniam, mnie interesują ludzie i fakty



Cezary Leżański

— legenda, inni że dezertier niegodny, aby leżeć w polskiej ziemi — już to wystarczy dla pisarza, żeby zainteresował się tematem, którego nikt nie chciał ruszyć. Do tej pory nie ukazała się żadna książka, poza pracą doktorską pana Mirowskiego, który opisał działalność polityczną i wojskową Rydza. Jednakże książki biograficznej, ukazującej całego człowieka nie było. A przecież dopiero kiedy pozna się całe życie można kogoś rozumieć i wyrokować. Zapytał mnie ktoś: — skoro napisałeś książkę o Rydzu, jak go oceniasz? Odpowiedziałem: — ja nie oceniam. Napisałem wszystko obiektywnie, a teraz niech każdy sobie oceni jak chce. Rzecz pisarza jest pokazać człowieka, jego problemów — wspaniałych i tragicznych. Oceny należą do historyka, polityka.

— Dwutomowe dzieło o Edwardzie Rydzu-Smigłym pt. „Kwiera 139: „Bez bulawy” — książka poświęcona gen. Stefanowi Grotowi-Róweckiemu (która ma się niedługo ukazać); wcześniej: „Dajcie im imię”, poświęcona cichociemnym, „Zostały tylko ślady podków” i „Ostatnia szarża” — poświęcone kawalerii; nawet pięciokrotnie o wojennych przygodach Jarka i Marka, adresowany do młodzieży, wszystko to świadczy o określonych fascynacjach pisarskich. Rozumiem to, tak jak przychyliam się do opinii, że jest pan specjalistą od kawalerii, ale skąd się wzięła powieść o Kazimierzu Wielkim?

— Ja nie jestem ani znawcą kawalerii, ani marszałka Edwarda Rydza-Smigłego. Jestem literatem, twórcą literatury faktu, którego interesuje temat. Kawaleria zainteresowała się, ponieważ zafascynowała mnie odwaga, fantazja, koleżeństwo, pewne poczucie elitarności spójności tego rodzaju broni w stosunku do innych, to wszystko co decyduje w boju. Kawaleria była u nas oceniana negatywnie, ba, nawet, powiedziałbym: opłuwana. Chciałem jej oddać sprawiedliwość. Kawalerzyści byli ludźmi szczególnego rodzaju, o wysoko rozwiniętym poczuciu koleżeństwa, które niwelowało dystans pomiędzy oficerem, podoficerem a szeregowcem. Byli to ludzie, którzy szli w najgorsze sytuacje frontowe, bo do tego obowiązywał ich... honor pułku...

— Stąd ta fanfaronada, to przysłówowe z szabelką na czołgi...

— To nie prawda. Było to już wiele razy wyjaśniane. To była propaganda niemiecka, która miała na celu zdyskredytowanie kawalerii polskiej i została, niestety, przyjęta przez powojenną propagandę i ludzi, łącznie z Andrzejem Wajdą, który się potem kajał. Na tę wredną propagandę dało się nabrać wielu, którzy uwierzyli w kawalerijskie szarże z lancami i szablami na czołgi, czego nigdy nie było. Nawet Heinz Guderian pisze w swoich pamiętnikach o szarży polskiej kawalerii na STACJONUJĄCE oddziały pancernie, która zdezorganizowała mu dalsze poruszanie się, bo taki był efekt psychologiczny, który doprowadził do załamania niemieckich sztyków. Wprawdzie nie mogłem dojść, gdzie to się działo, może chodziło o Krejtanów?, ale nie był to atak na czołgi idące w boju, tylko na odpoczywające zalogi. Żaden pułk nie wziął lanc na wojnę, pozostawiona była w taborach.

W bitwie pod Mokrą kawalerzyści stoczyli zwycięską walkę z zagonami pancernymi, oczywiście nie konno tylko pieszo, gdyż podstawą działania kawalerii polskiej była walka na piechotę. Tylko w wyjątkowych przypadkach szarża, czyli tzw. bój spotkaniowy. W taki bój wchodziła każda formacja, gdy zostanie zaskoczona przez nieprzyjaciela. Nie mieliśmy szybkich broni zmotoryzowanych więc kawaleria miała wielki atut — wypelniała tę lukę, mogła być przedko przetrucana jako piechota konna. Tego nikt nie chciał brać pod uwagę. Żadna z jednostek innych rodzajów broni, tak jak dywizja gen. Stanisława Maczka, nie przeszła w całości — nie rozbita, a w każdym razie nie zdezorganizowana — na Zachód. Dlaczego? Bo taka była tradycja, będąca jakąś siłą sprawczą, organizującą. A powojenne tradycje ludowej kawalerii, w której służyło wielu przedwojennych kawalerzystów i jej ostatnia szarża w pierwszych dniach marca 1945 roku na Wale Pomorskim? Dwukrotne natarcie czołgów pod Borujkiem załamało się. Kiedy więc gen. Stanisław Popławski wydał kawalerzystom rozkaz, wszyscy uważali, że jest to pewna śmierć, że nikt z tej szarży nie wyjdzie żywy, a jednak — nikt się nie wycofał. Wszyscy poszli na ochotnika. Jaki przerażający wpływ psychologiczny musiała wywrzeć ta szarża na broniących się żołnierzy niemieckich, skoro dwa, a właściwie półtora szwadronu przeszło linie obrony i doszło do Borujka bez żadnych strat? Dopiero w walce pieszej w samej miejscowości mieli straty, lecz w czasie szarży nikt nie zginął.

— Czy książka o cichociemnych, „Dajcie im imię”, zrodziła się także z potrzeby wypelnienia luki w naszej wiedzy historycznej?

— Ta książka miała być częścią książki Jędrzeja Tucholskiego. On miał napisać część naukową o cichociemnych, ja część literacką, ilustrującą niejako. Kiedy prace były gotowe, Wydawnictwo PAX zdecydowało wydać je oddzielnie, z tym że książka Jędrzeja Tucholskiego wyprzedziła moją. Są to opowiadania literackie ukazujące różne fazy szkolenia, zrzuć, walki, różne wydarzenia i losy cichociemnych w kraju. W ten sposób nikt do tej pory tego nie zrobił, każdy zajmował się albo całością, naukowo, historycznie, albo swoimi wycinkowymi wspomnieniami.

— Rozumiem motyw napisania książki o przemilczanym Edwardzie Rydzu-Smigłym, o ośmieszonym kawalerii, o cichociemnych, lecz o Stefanie Grotcie-Róweckim („Bez bulawy”) o którym prawie wszystko już wiemy?

— W życiu gen. Stefana Grot-Róweckiego są pewne elementy konfliktu, który wiązał się z nim, potraktowany przez historyków pobocznie, poza głównym nurtem. Sprawa Ludwika Kalksteinia może nie jest tu nowością, lecz sprawa płk. Janusza Albrechta, szefa sztabu, który dostał się w ręce gestapo, potem został wypuszczony, wzbudziła moje zainteresowanie. Wypuszczony z gestapo Janusz Albrecht miał przeprowadzić rozmowy z Armią Krajową i gen. Grotiem, czy nie zamierzają pójść razem przeciw bolszewikom. Oczywiście, zostało to zdecydowanie odrzucone. Po liście, jaki Janusz Albrecht otrzymał od Stefana Grot-Róweckiego, w którym generał wypominał mu, że tak nie powinien działać, Janusz Albrecht nie wiedział co robić. Dawano mu szanse ucieczki na Zachód, ukrycia się, wszystko to odrzucił, gdyż dał słowo oficerskie Niemcom, że wróci do więzienia; uważał że z danego słowa musi się wywiązać. Wybrał truciznę. Poza tym historycy piszą, beznamiętnie relacjonując fakty, ja natomiast chciałem dostrzec żywego człowieka, z krwi i kości, mającego liczne problemy, który żył walką, w wielkim napięciu, ale i wyjeżdżał do Zakopanego na narty, dla odpoczynku, higieny psychicznej. To niektórych szokuje, że tak napisałem o generale, lecz spotkało mnie wielkie uznanie od córki generała, która była autorką recenzji wewnętrznej w wydawnictwie i wyraziła się o książce, że jest tak napisana, jak bym był obecny przy tych wydarzeniach.

— Jeżeli pisarz miesi ciao literackie z czyjejś biografii zawsze przypisuje jej pewną ilość rosyndków, które dziełu nadają smakowości. Możemy posmakować niektóre?

— Oczywiście. Albrecht nie jest jedynym „smaczkiem”. W książce jest wiele anegdot z życia generała, podanych dyskretnie, jak na to postać zasługuje, o których historycy wspominają ledwie jednym bądź trzema zdaniem. Historyków bowiem nie interesują fakty z życia osobistego, a jeśli to nie w takim stopniu jak pisarza. A przecież byli to ludzie, którzy przeżywali osobiste rozterki, z konspiracją nie mające wiele wspólnego. Nie chciałbym ich wyłuskiwać bo mogą zabrznieć nie tak jak należy, ale powiem, dla przykładu, że krótko przed swoim aresztowaniem generał zamierzał się... rozwieść po raz drugi. Wszystko to chyba wyjaśnia.

— Powieść o Kazimierzu Wielkim nie przylega jednak do pańskiego programu literackiego.

— Już Grecy, klasycy tragedii twierdzili, że jeżeli jedna strona ma rację, a druga nie ma racji, to nie jest nie poza sądem, w którym ktoś wygrywa, ktoś inny przegrywa. Natomiast tragedia i problem ludzki powstaje wtedy, kiedy obie strony mają rację, jak w „Antygonie”, czy nawet u Jerzego Andrzejewskiego w „Popiele i diamentach”, w którym autor pokazał rację obu stron, mimo że wtedy był jeszcze komunista i marksista. Więc i mnie zainteresowały racje Kazimierza Wielkiego oraz jakieś racje jego osobistego dworzanina i na tym leży sprawa Esterki, lecz ukazana w zupełnie innym świetle. Książka jest o tym, jak dworzanin zazdrościł Kazimierzowi, bo mu zabrał miłość Esterki i miłość jego córki; dworzanin zazdrościł, bo Kazimierz był od niego lepszy, choć uważa że mógłby być lepszym królem, bo widział błędy Kazimierza. Słowem — konflikt, ludzki konflikt, obójnie w jakich odbywa się dekoracjach — współczesnych czy kamierzowskich. Ludzkie namiętności: miłość, nienawiść, żądza władzy, pieniędzy, zdrada, konflikty... to odwieczne źródła pisarskiej inspiracji.

— Skoro tak to trudno sobie wyobrazić, aby pan nie odnalazł pewnych nowych inspiracji w obszarach przemilczanych dotychczas.

— Rzeczywiście. Pracuję nad książką, której epilogiem jest reporterska opowieść pt. „Bóg był po stronie Niemców”. Szukając może tytułu, ale i szokująca opowieść. Płk. Kruk, żołnierz partyzantki akowskiej spotyka na początku 1945 roku, w jednym z miast na Kielecczyźnie, swego koleżę — partyzanta z aelu, z którym współdziałał, walczył wspólnie. Napotykaną kolegą denuncjuje go. Płk. Kruk zostaje aresztowany i wyrokiem sądu dostaje karę śmierci zamienioną na 15 lat więzienia. Widać więc wyraźnie, że jest to sfingowane, bo kara jest nieadekwatna do rezerwy czynów. Jedzie więc na ładnych parę lat do obozu, gdzie osadzają go razem z Niemcami. Potem dostaje się do innego obozu, w którym wehrmachowiec ratuje mu życie, dzieląc się z nim paczkami otrzymywanymi poprzez Czerwony Krzyż. Ponieważ nie wolno mu pisać do rodziny, płk. Kruk zostaje ujęty w ewidencji zachodnoniemieckiego czerwonego krzyża i tą drogą dostaje paczki. Mało tego, przez swoją rodzinę niemiecki żołnierz zawiadamia rodzinę płk. Kruka w Polsce, że ten siedzi w łagrze. Jednakże okazuje się na koniec, że wehrmachowiec, który mu uratował życie jest gestapowcem z Radomia... No więc po której stronie był Bóg?

— Czy pana, jako pisarza, nie interesują konflikty i rozterki ludzi, którzy współcześnie sprawowali bądź sprawują władzę? Może to być równie pasjonujący temat.

— Jakoś nie.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
MARIAN ZDROJEWSKI

Czasy były wspaniałe i mało kto przewidywał, że zauroczenie wizją drugiej Polski może stać się przyczyną schorzenia wielu przedsiębiorstw, w tym również wielkich ogrodników z sektora uspołecznionego. Dyrektorzy jakoś nie sprzeciwiali się fundowanym na siebie inwestycjom, a rady pracownicze i związki zawodowe nie protestowały przeciwko pięknym prezentom. I tak np. Andrzej Rzeźniczak, dyrektor Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych — Łódź, składającego się z dziewięciu zakładów, pokazywał z dumą najnowsze osiągnięcia techniki w ogrodnictwie, zaś dyrektor Kłafa, szef gospodarstwa w Widzewie, zacierał ręce na widok nowoczesnej, opalanej mazutem kotłowni, pełnej tablic, mrugających światełek, przycisków. No, teraz to my sobie pogospodarujemy, panowie!

W 1974 r. Państwo we Gospodarstwo Ogrodnicze w Widzewie otrzymało zbudowany przez Bułgarów kompleks szklarni o powierzchni 12 ha, ogrzewanych bez kurzu łatwo dostępnym mazutem, którego kilogram kosztował wówczas 40 groszy. Widzew miał ponadto niezłe zagospodarowane pola uprawne, dobrze prowadzone i owocujące sady, duże stado wysokomlecznych krów i przetwórnictwo warzyw, można więc było prosperować, jak na drugą Polskę przystało.

Ale ponad fasadą prosperity i sukcesów zaczęły zbierać się ciemne chmury. Bułgarzy zbudowali szklarnie stosownie do swoich warunków klimatycznych, czyli średniej temperatury rocznej plus 18 stopni C. U nas zimy srogle, trzeba więc dużo spalać, aby ogrzać 12 ha szklarni. Ich dachy tworzą w całym kompleksie swego rodzaju harmonijkę i gdy w zalomy tej harmonijki nawalił się śnieg, szkło trzaska i leci do środka, a przez wyrwy wali ziab. Do dziś najwięcej wypadków noli się na skutek porażenia szkłem zmieszonym z ziemią.

W 1980 r. Widzewowi przybył groźny konkurent. W Janowie wznieśli 12 ha szklarni, odpowiadających naszym warunkom klimatycznym, bo zakupionych w ZSRR. Ponadto szklarnie Janowskie podłączono do pobliskiej elektrociepłowni, co ze względu na koszty ogrzewania będzie mieć wkrótce niebagatelne znaczenie.

W 1981 r. rada pracownicza KPGO oznajmiła, że nie zamierza pracować na czapę, czyli na całą dyrekcję uzbrojoną w rozbudowany aparat biurokratyczny. Niestety, nie udało się tego zrealizować. Tylko jeden z dziewięciu zakładów wywnął się spod czapy, nie czekając nawet na uzyskanie osobowości prawnej. Tym roztropnym i przetrzymującym gospodarstwem był zakład ogrodniczy w Pabianicach, prowadzony przez dyrektora — Wikaszkę. Schronili się w porę pod skrzydła Instytutu Kwaciactwa w Skierniewicach i dobrze na tym wyszli, bo do dziś nie grozi im deficyt ani przykrość ze strony banku.

W lipcu 1981 roku ówczesny minister rolnictwa sprawił niespodziankę wiceprezydentowi Łodzi Lechowi Krowirandzie. Sprezentował mu cały KPGO, żeby Lech Krowiranda miał się czym martwić. Z Warszawy nie widać Łodzi, ale dobrze było widać, że pogłębia się kryzys.

W rolnictwie i ogrodnictwie produkcję, koszty i zyski ocenia się na podstawie roku gospodarczego. I tak w roku gospodarczym 1980/81 Widzew wydał na mazut 15 mln zł, w rok później już 62 mln, następnie 72 mln zł, a w roku gospodarczym 1983/84 ponad 84 mln zł. W następnym roku kilogram mazutu kosztował już 14 zł, dzisiaj grubo ponad 20 zł, ale nie uprzedzamy faktów.

Twarda rzeczywistość do reszty rozwiała nadzieje i zauroczenie pozornym dobrobytem. Kiedy połowę kosztów produkcji poćciał mazut, trzeba stukać do drzwi banku. A gdy dostawę mazutu coraz mniej, szklarnie są słabo ogrzewane, mniej jest ogórków i pomidorów, sałaty. A że w takiej sytuacji drogie nowaliki dojrzewają dopiero w pełni sezonu, uzyskuje się niskie ceny zbytu, które nie zrównoważą drastycznej podwyżki cen mazutu.

No i zaczyna się mazutowy horror. W nocy budzą Lecha Krowirandę telefony. Jak Widzew nie dostanie mazutu, poleci 5 ha szklarni. Albo ginie, cholera jasna, podciąg z mazutem, i to w drodze z Płocka do Łodzi. A tu marzec, ziab, i resztki ciepła w szklarniach. Trzeba dzwonić po Polskę, żeby w ostatniej chwili znaleźć ten zaginiony podciąg.

Urząd i Łódź jako organ założycielski nie ma środków na ratowanie widzewskiego trupa. Rada Narodowa wzywanoła na ten cel 5 mln zł, ale więcej już nie da. Wiceprezydent Lech Krowiranda szuka do różnych drzwi, przekracza wysokie progi, ale niewiele może wskazać.

Bank Gospodarki Żywnościowej już w styczniu 1983 r. przewidywał, że Widzew będzie miał deficyt, i to nie tylko z powodu mazutu, i wypowiadział kredyt obrotowy. W lutym 1983 roku dyrektora KPGO poręcza za Widzew, a gdy w sierpniu straty rosną, pokrywa się je z funduszu rezerwowego tego Kombinatu.

W 1984. BGŻ sygnalizuje, że zysk Kombinatu nie wystarczy na pokrycie strat zakładów w Widzewie i Gospodarzu. Nie ma już pieniędzy z funduszu rezerwowego, więc dyrektura Kombinatu pokrywa straty z funduszu rozwoju. BGŻ sugeruje wiceprezydentowi, że powinien skorzystać z ustawy o upadłości przedsiębiorstw.

10 lipca 1984 r. dyrektora KPGO prosi ministra rolnictwa S. Ziębę o pomoc ze środków rachunku wyrównawczego. PGR. Minister odpowiada, że z tego rachunku można ratować całe deficytowe przedsiębiorstwo, a nie jego deficytowe części. Sprawie należy rozważyć w ramach przedsiębiorstwa.

Listopad 1984. BGŻ przekazuje pieniądze na wypłaty pracownicze w Widzewie i Gospodarzu, stawiając przy tym wniosek o ustanowieniu zarządu komisarycznego dla Kombinatu. PGO Janów może być samodzielne, ten zakład radzi sobie dobrze, ale z całym Kombinatem jest źle.

Pani inspektor Alicja Chrostowska z Wydziału Rolnictwa UML, twierdził autorytatywnie, że BGŻ nie miał racji. Bank kierował się planami gospodarczymi KPGO, to fakt, ale wiadomo, że ze względu na specyfikę produkcji, uzależnioną od przyrody, gospodarstwa rolne i ogrodnicze z przezornością przedstawiają w planach tylko połowę swych możliwości produkcyjnych. Przedsiębiorstwo KPGO jako całość nigdy nie miało długów ani nie było zagrożone upadłością.

W kryzysie znalazł się przede wszystkim Widzew. Taka sytuacja w przedsiębiorstwie wielozakładowym zawsze rodzi



Foto: Grzegorz Gałasiński

Ludzie dorabiają się na ogrodnictwie, dlaczego nie może tego zrobić UML?

Choroba badylarza

RYSZARD BINKOWSKI

M. B.
Im.
L. W.
w Łodzi

konflikty

Braki mazutu, a przede wszystkim jego straszne ceny, uderzyły w 22 krajowe przedsiębiorstwa ogrodnicze korzystające z tego paliwa. W pierwszym rzucie dorobiły się one około 0,5 mld strat. Ale najgorszy był Widzew, który już w 1983 r. zanotował ok. 28 mln zł strat. Okazało się, że nie zawinił sam mazut.

Oto raport specjalnej komisji kontrolnej, powołanej przez UML, a mówiący o stanie gospodarki Widzewa w 1984 r. Straty w szklarniach — 28,5 mln zł, straty w produkcji rolniczo-zwierzęcej — 3,2 mln zł, a w przetwórstwie warzyw — 1,2 mln. Jakby na okrasę — 4 mln zysku z sadu. Ale to akurat cztery razy mniej niż z podobnego sadu chłopskiego.

Ponadto komisja stwierdziła, że Widzew prowadził wręcz karygodną gospodarkę paliwami i energią. Zle gospodaruje maszynami rolniczymi, a mlecznicę krów jest tak niska, że nie warto ich iymać w oborze. Na dodatek od 12 lat nie wywożono ziemi z naw szklarniowych, co zwiększa zużycie ciepła o 30 %.

PGO Janów, dysponujący także 12 ha szklarni, produkował na czas nowaliki i korzystnie je sprzedawał. Janów za rok 1983 osiągnął 8 mln zysku, a za rok 1984 o wiele więcej, bo 57,5 mln zysku. Tylko że te zyski odprowadzane były do dyrektury KPGO, która ratowała tymi pieniędzmi Widzew. Tamtejsi pracownicy utrzymywali na konto Janowa nie tylko pensje, ale i trzynastki. Janów otrzymał ze swoich zysków 400 tys. zł na zakup wózków akumulatorowych.

No i ludzie z Janowa zaczęli pytać, czy dzięki swojej pracowitości muszą się stać takim samym trupem gospodarczym jak Widzew. Czy wypracowane przez nich odpisy na fundusz rezerwyowy mają służyć pokrywaniu strat całego Kombinatu? Rodzina rodzinna — jak im wmałwiano — ale nie chcą być litościwą, zamożną siostrą, która wspiera biedniejszych braci. Bo jak się to ma do zasad reformy, żeby dobrzy pracownicy utrzymywali bankrutów, którzy wysysają pieniądze ze wspólnej kasy? No i Janów powiedział, że nie pozostało mu nic innego, jak przejść na własny rozrachunek.

Rada pracownicza KPGO wyraziła zgodę na usamodzielnienie Janowa, ale pod warunkiem, że z Kombinatu wyłaczy się także deficytowy Widzew. Ba, ale ustawa o poprawie gospodarki przedsiębiorstw nie przewiduje tworzenia nowych przedsiębiorstw z zakładów deficytowych. Bo kto wtedy miałby do nich dopłacać? Widzewa nie można zostawić bez pomocy. Kropka.

Założa Janowa w październikowym referendum 1984 r. powiedziała, co o tym myśli. 77 proc. frekwencji. W tajnym głosowaniu 223 osoby były za usamodzielnieniem, 3 się wstrzymały, jedna głosowała za pozostaniem w Kombinacie, ale nie był to dyrektor Janowa.

Sprawa oparła się o Warszawę. Jerzy Ciołkowski, przewodniczący rady pracowniczej z Janowa, uczestniczył w specjalnej naradzie w Sejmie. Miał jeszcze nadzieję, gdy wicepremier Mieczysław F. Rakowski zaklinał się, że rząd będzie popierał rady pracownicze. Ale zaraz potem wystąpił wicepremier Szalajda i oświadczył, że w próbach ratowania socjalistycznego przedsiębiorstwa cel uświęca środki, trzeba się więc kierować dobrem ogólnym, a nie własnym interesem.

A więc dla całego KPGO zarząd komisaryczny. W Janowie uznali, że jest to tylko przedłużenie wykonania wyroku na Widzewie. Janów będzie płacił haracz, ale ani ten haracz, ani komisarz nie pomaga, chyba że skąpaną jakież dotacje od ministra rolnictwa i ministra finansów.

I teraz ludzie z UML odpowiedzialni za sprawy rolnictwa znaleźli się

między młotem i kowadłem

Szczerze mówiąc, nikomu w Łodzi nie marzył się zarząd komisaryczny. Pod zarządem komisarycznym można zlikwidować rady pracownicze, dzielić środki, jak się chce, ignorować dziennikarzy nie licząc się z prawem prasowym, a gdy się już zaakceptuje program sanacji, to komisarzem nie pokreśli sam wojewoda. Dzisiaj

mówi się, że zarząd komisaryczny ustanowiono specjalnie dla dyrektora Leszka Deszczyńskiego, ale nymniej nie na życzenie kogos z Łodzi. Innm dodają, że obecnie, tj. w maju 1988 roku, komisarz jest już nikomu niepotrzebny, nie wiadomo więc, czemu się to wszystko tak długo ciągnie.

A przed czterema laty inż. Lechowi Krowirandzie marzył się samodzielny, dający zysk, Janów. Lech Krowiranda uznawał prawo do samodzielności Janowa, zakładu pracowniczego, rentownego, ale martwił go też los 400 ludzi z Widzewa oraz utrata 25 proc. ogólnej produkcji warzyw, jakie dawał widzewski zakład Łódź. No i trzeba było zastanowić, czy zmniejszanie tego zakładu nie przyniesie więcej szkody od tej, która tam się już dokonała. Bułgarzy dali gwarancję na 20 lat, można podciągnąć dodatkowo 10 lat, warto więc przedłużyć żywot szklarni, a gdyby obniżono ceny mazutu dla ogrodnictwa, to gra faktycznie warta świeczki.

A poza tym trzeba się trzymać litery prawa, które ma swoje wady. Gdyby bowiem wolno było ustanowić zarząd komisaryczny nad zakładem w przedsiębiorstwie wielozakładowym, wtedy sprawa Widzewa wyglądałaby całkiem inaczej. Nikt nie pracowałby na Widzew.

Inż. Mateusz Zawadzki, dyrektor Wydziału Rolnictwa UML, patrzył na to, co się dzieje na Widzewie, i od tego patrzenia podobno szczyrzył otwierał mu się w kieszeni. Można było postawić Widzew w stan upadłości, zlikwidować i służyć na sesji RMML interpelacji, czemu to ceny warzyw tak poszły w górę. Przeciwno Janowowi nikt złego słowa nie powiedział. A gdyby w Polsce był chociaż jeden przykład upadłości socjalistycznego przedsiębiorstwa, to może Widzew poszedłby pod młot. Ale czy warto niszczyć wielomilionowy majątek, dobijając to, co jeszcze być może jest do uratowania? Może dać zakładowi szansę na jeszcze dwa-trzy lata, zanim zrówna się go z ziemią?

Jedno istotne zdanie ustawy z 29 czerwca 1983 r. o poprawie gospodarki przedsiębiorstw państwowych stanowi, co następuje: „Jeżeli wymaga tego ważny interes społeczny, organ założycielski odstępuje od likwidacji przedsiębiorstwa i ustanawia nad nim zarząd komisaryczny”.

Ekspert z Katedry Prawa Finansowego Wydziału Prawa UL orzekł, iż nie można ustanowić zarządu komisarycznego nad przedsiębiorstwem wielozakładowym, które przynosi zysk, a takim był w całości KPGO — Łódź. Ponieważ jednak sam Widzew również nie mógł przejść pod władzę komisarza, a trzeba go było ratować, zdecydował

interes społeczny

W obronie tego interesu miał wystąpić Leszek Deszczyński, który przyszedł do Kombinatu z PSS i przez pół roku pełnił tam funkcję zastępcy dyrektora do spraw „onomicznych. Ponieważ dyr. Andrzej Rzeźniczak chorował i szkodził się na emeryturę, Kombinatem kierował faktycznie Leszek Deszczyński. Zapowiadał, że w kryzysowej sytuacji trzeba poskromić emocje i cłagoty d. samodzielności, utworzyć jedną radę pracowniczą, jedną POP i jeden związek zawodowy. Otrzymał więc nominację na komisarza od 1.1.1985 r. do 31.XII.1986 r. Rady pracownicze nie mogły mu brzdądzić, ponieważ zostały zawieszane.

Leszek Deszczyński zdawał sobie sprawę, że albo do końca jego kadencji zostanie znika, albo zmieniać sposób zasilania w ciepło. Dziwił się, czemu jego poprzednicy nie przetrwali ogrzewania na elektrociepłownice. Można było np. skorzystać z pobliskiej ciepłowni w Pabianicach. No tak, ale Widzew pobierałby jedną trzecią ciepła z tej ciepłowni, a tymczasem mieszkani pabianicki już wtedy były nie do grzania.

Komisarz Leszek Deszczyński wierzył, że mu się uda, ale pewności nie miał żadnej. Był natomiast przekonany, że jeśli jego plan uzdrowienia Widzewa przejdzie, to być może uzyska dotacje do mazutu, a bank zawiesi salate kredytów inwestycyjnych. I tak się też stało. W Widzewie nie udało się zbudować kotłowni na pył

węglowy, która w 1985 r. kosztowałaby 700 mln zł, a dziś pewnie ponad miliard.

Być może Widzew przetrwałby tańszym kosztem najtrudniejszy okres, gdyby zastosowano się ściśle do zaleceń ekspertów, powołanych przez UML. To znaczy, gdyby zrezygnowano z ogrzewania mazutem przez 17 lat, wyłączając wszystkie szklarnie na zimę. Dzisiaj, gdy ceny pogalopowały, mazut stał się tańszy od węgla, ropy i energii elektrycznej. No, ale gdyby ceny warzyw nie poszły w górę, to Widzew na mazucie też by daleko nie zajechał. W każdym razie nie pomógłby nawet uprawa winogron w kilku nawach szklarniowych. Bo jak komisarz zalecił opryskać czynniki salate, to poleciało kilka hektarów.

Dzisiaj niektórzy pytają, za co komisarz Leszek Deszczyński bierze premię eksportową. Ano za to, że zarabia na eksporcie warzyw i kwiatów do obu obszarów płatniczych. Dobrze, mówią oponenci, ale komisarz zapewniał, że nie odda 25 proc. rynku warzywniczego prywatniaczem, którzy zaraz skorzystają z okazji i podniosą ceny. Jak to się ma z reformą, w której wszystkie sektory są równe? A gdy komisarz eksportuje kwiaty i warzywa, to ich ceny w Łodzi też rosną. Czy to właśnie leży w interesie społecznym?

Jest w tym sporo racji i trochę demagogii. A prawda polega na tym, że sytuacja Widzewa jakby się poprawiła. Nie na tyle, żeby skończyć z zarządem komisarycznym, którego kadencję przedłużono na 1987 r. I wtedy okazało się, że za ten rok komisarz osiągnął 197 mln zysku. Można by więc uznać, iż dobry lekarz wyleczył wreszcie tego ciężko chorego, wielkiego badylarza, jakim jest Widzew. Ty i trzeba pamiętać, że na ten zysk pracowali wszystkie zakłady Kombinatu, który otrzymał od państwa 89 mln dotacji do paliw. Ogólnie zaś dotacje w 1987 r. stanowiły ok. 120 mln zł, w tym do przetwórstwa i mleczarstwa. Tak więc zysk o wiele, wiele mniejszy, a to, co się mimo wszystko udało osiągnąć, Kombinat zawdzięcza wysokim cenom zbytu na warzywa i kwiaty, jak i sroglej ubiegłorocznej zimie, dzięki czemu do dziś jabłka sprzedaje się po horrendalnych cenach.

Komisarz Leszek Deszczyński zasłużył na odpisy dewizowe. Zwiększył dwukrotnie, a nawet trzykrotnie produkcję w przetwórstwach, ale Widzewa nie udało mu się wyleczyć. W gospodarce rolnej jest tam źle, zlikwidowanie obory i zaniecie enie ilości krów to żaden sukces.

Poza tym w terapii trafiły się błędy i niekonsekwencje. Zarząd komisaryczny to jednoosobowe kierownictwo, a tymczasem do dziś utrzymuje się tam czapę — dyrektorów i ich zastępców. Miała być pełna komputeryzacja i doskonalenie organizacji pracy, a także pełna jedność — jeden komisarz, jedna księgowość, jeden związek zawodowy. Jest odwrotnie, po siarum. Terapię okazała się chyba nieskuteczna, skoro działalność Janowa, zakładu pracowniczego, przedłużono do 31 grudnia 1988 r., bo na tyle pozwalają przepisy. Ale może się to skończyć o wiele wcześniej, a mogło nawet skończyć się już w kwietniu, gdyby nie zawisłość w przepisach. Kartę chcoby Widzewa będzie można jednak zlikwidować, o ile Łódź pójdzie

śladem Opola.

Wegetowało tam znacznie większe gospodarstwo szklarniowe niż Widzew i opolska Rada Narodowa dopłacała do tego interesu 40 mln rocznie. Ale za ostatnie półtora roku opolskie szklarnie dały 700 mln zysku. Co się stało? Cud w Opolu?

Jeżeli cud, to cudotwórcą jest powstała przed kilkoma laty w Warszawie spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Interprego”. Nie założyli jej zagraniczni biznesmeni, tylko rodzime PGR, toteż każde socjalistyczne przedsiębiorstwo może z honorem wejść do takiej spółki. No i opolski kombinat szklarniowy wszedł. Bo „Interprego” zapłnia znakomitą organizację pracy, utrzymuje rygor i dyscyplinę, ale za to pozwala dwukrotnie więcej zarobić niż w innych pegeerach. Rzecz bowiem w tym, że „Interprego” eksportuje warzywa, owoce, kwiaty oraz przetwory do obu obszarów płatniczych. Mówi się wprawdzie, że spółka eksportuje za psie pieniądze, ale przecież w sytuacji naszej gospodarki liczy się każdy dolar, a poza tym przykład Opola świadczy, że i przy tych cenach eksportowych można niezłe zarobić.

W Łodzi powstały dwie koncepcje co do przyszłości Widzewa i całego Kombinatu. Pierwsze wyjście jest proste — jeśli Kombinat jest rentowny, organ założycielski zęga się z komisarzem, ogłasza konkurs na dyrektora, powołuje się radę pracowniczą i spokój.

Według drugiej koncepcji część Kombinatu przekazano by do spółki z o.o. „Interprego.” Podjęto nawet stosowne czynności proceduralne, tak że w kwietniu Mateusz Zawadzki i Lech Krowiranda mogli już iść do rejestru i załatwić sprawę, ale na przeszkodzie stanęły zmiany w przepisach.

Leszek Deszczyński prowadził rozmowy z Janowem i przekazał prezydentowi informację, że Janów wraz ze związkiem z nim gospodarstwem Żeromin nadal pragną samodzielności. Ludzie pewnie by przeszli do spółki, bo któż nie chce dobrze zarobić, ale w sercach za dużo osiadło gorczy i animozji.

Trzeba więc dokonać podziału przedsiębiorstwa. W tym celu zbierze się specjalna komisja, złożona m. in. z przedstawicieli organu założycielskiego, Banku, NOT, Izby Skarbowej, która ustali, w jakim stanie znajduje się Kombinat, czy należy go dzielić oraz jak i w jaki sposób dzielić. Po zasięgnięciu opinii komisji Rada Narodowa Miasta Łodzi podejmie decyzję, czy Janów z Żerominem staną się samodzielne, a Widzew wraz z resztą wejdą do spółki „Interprego”.

Wiele przemawia za tym, aby ta koncepcja zwyciężyła. Jeśli bowiem sześć zakładów KPGO wejdzie do spółki, to władze miasta nie tylko pozbędą się zmartwienia, „Interprego” gwarantuje dobrą produkcję, a że UML stanie się udziałowcem, będzie więc czerpać zyski.

Być może już w lipcu 1988 r. będzie można powiedzieć, że władze Łodzi czyniły słuszną utrzymując znacznym kosztem przy życiu konającego badylarza z Widzewa. Kto wie, może nawet wkrótce wróci on do zdrowia i zacznie dawać miastu profity. Udział w spółce jest gwarantem, że choroba się nie powtórzy.

Życie intymne uczniów i studentów

Czy młodzież szkolna zna ten podręcznik? Czy zgadza się z decyzją Ministra Edukacji Narodowej w sprawie wycofania go ze szkół? Z badań przeprowadzonych w ostatnich latach licealnych Łodzi i województwa wynika, że całkowicie bądź częściowo przeczytało podręcznik W. Sokółka, D. Andziak i M. Trawiński 48 proc. respondentów. Z decyzją Ministra zgadza się 14 proc., a nie zgadza 49 proc. (jedna trzecia zdecydowanie). Pozostałym trudno powiedzieć.

Identyczne pytania zadano wychowawcom w liceach ogólnokształcących. I okazało się, że całkowicie zna podręcznik 38 proc. i tyle samo częściowo. W sumie przeczytało go więc trzy czwarte badanych nauczycieli. Czy zgadzają się z decyzją o wycofaniu podręcznika? Oto rozkład odpowiedzi: zdecydowanie tak — 19 proc., raczej tak — 14 proc., raczej nie — 23 proc., zdecydowanie nie — 19 proc., trudno powiedzieć — 25 procent. A zatem większość uczniów i wychowawców nie zgadza się z kontrowersyjną decyzją ministra. Na szczególną uwagę zasługuje tu opinia wychowawców, którą prawdopodobnie zignorowano.

Kiedy młodzież powinna rozpoczynać życie seksualne? Wiesław Sokółka wyjaśnia, dlaczego w tej sprawie nie można zająć jednoznacznego stanowiska. Piszemy o:

„Nawet z punktu widzenia formalnego istnieją rozbieżności w ocenie granicznego wieku do podejmowania aktywności seksualnej. Prawo przyjmuje wiek 15 lat, powyżej którego nie interesuje się zachowaniem seksualnym (jeśli oczywiście nie nosi ono znamion przestępstwa). Dojrzałość formalną osiąga się po przekroczeniu lat 18, ale mężczyzna może zawrzeć związek małżeński dopiero po ukończeniu 21 roku życia. Z kolei badania wykazują, że ok. 50 proc. chłopców ma swój pierwszy stosunek pomiędzy 17-19 rokiem życia, a ok. 50 proc. dziewcząt pomiędzy 19-21 rokiem życia, co oczywiście nie oznacza, że i Ty musisz postąpić zgodnie ze statystyką”.

Badana młodzież łódzkich szkół średnich liczy 18-20 lat. Współżycie seksualne rozpoczęło już: w liceach — 16 proc. dziewcząt i 41 proc. chłopców, w technikach — 47 proc. dziewcząt i 51 proc. chłopców. Natomiast wśród studentów UL miało poza sobą inicjację seksualną 81 proc. mężczyzn i 62 proc. kobiet.

Niepokój budzi duży odsetek studentów praktykujących masturbację. Często bowiem prowadzi to do negatywnych następstw. Osoby przyzwyczajone do masturbacji rzadko osiągną pełną satysfakcję w normalnych stosunkach seksualnych. W liście do znanego seksuologa polskiego pewna kobieta (lat 23) zwierza się:

„Mając 19 lat zaczęłam współżyć z chłopakiem, którego bardzo kochałam. Pierwsze wrażenia były dla mnie miłe, choć nie miałam or-

gizmu. Wiedziałam, że to nie przychodzi naturalnie. Muszę wyjaśnić, że przedtem miałam bardzo bogate doświadczenia autoerotyczne, gdyż zaspokajałam się sama od 10 roku życia. Jestem bardzo pobudliwa seksualnie — łatwo się podniecam i seks nigdy nie był dla mnie obojętnym. Teraz także się onanizuję, bo tylko w ten sposób mogę się zaspokoić”.

Kobieta ta osiąga orgazm tylko poprzez masturbację. Współżycie z mężczyzną budzi w niej wstręt. Jest samowystarczalna seksualnie, co trudno uznać za normalne.

Seksuolog doc. dr hab. Zbigniew Lew-Starowicz otrzymuje wiele różnych listów. Zdarzają się nawet przypadki grafomanii seksualnej. Oto 24-letnia mężatka przyznaje się, że lubi bardzo młodych chłopców. Poderwała niespełna 16-letniego licealistę, spotyka się z nim i ręcznie doprowadza go do orgazmu. Piśmę między innymi:



„Usiedliśmy na ławce w parku, przytuliłam się do niego, wzięłam jego dłoń i położyłam na swoim brzuchu pod sweter. Mariusz był jednak bierny, natomiast ja zaczęłam działać. Najpierw położyłam rękę na jego spodnie i po chwili poczułam, że jego członek sztywnieje. Bardzo mnie to podnieciło. Rozpięłam mu spodnie, zsunęłam zamek, włożyłam rękę pod slipki. Myślałam już, że Mariusz inaczej zareaguje, ale on przytulił się jeszcze mocniej, a ja bawiłam się jego sztywnym członkiem. Po około minucie Mariusz miał wytrysk i uciekł. (...) Po każdym dniu, kiedy robię mu orgazm, czuję wstręt do siebie. Bardzo lubię rozbierać Mariusza, patrzeć na jego nagie ciało, bawić się jego członkiem, a najbardziej lubię patrzeć jak przeżywa orgazm. Przed tygodniem powiedział, że chce mnie obejrzeć i zrobić tym razem orgazm mnie. Z początku nie chciałam się zgodzić, ale w końcu uległam i pozwoliłam się rozebrać. Mariusz był bardzo podniecony, musiał wszystko zobaczyć i dot-

knąć. Rozłożyłam szeroko nogi i wprowadziłam mu tam palec, pokazując jak to ma robić. Nie wytrzymał jednak długo i odbyliśmy normalny stosunek. Mariusz był bardzo zadowolony, ja raczej nie. Wolę to robić z mężem, a Mariuszem lubię się tylko bawić, tzn. doprowadzać go do orgazmu”.

Zbigniew Lew-Starowicz przekonywająco tłumaczy, że mamy tu do czynienia z przypadkiem grafomanii seksualnej, będącej wyrazem erotomanii lub orgiastycznej wyobraźni. Pisząca kobieta podnieca się pod wpływem opisywanych zdarzeń, które być może sama wymyśliła. A dlaczego to robi? Najprawdopodobniej nie znajduje satysfakcji w normalnym związku erotycznym.

Podobne typy kobiet znakomicie opisał Robert Musil. W powieści „Człowiek bez właściwości” Bonadea (Dobra Bogini) — to „przywzwoita” żona i „czuła” matka, ale ogromnie zmysłowa, ulegająca łatwo mężczyznom i prowadząca „podwójne” życie. Bonadea — to kobieta bezwzględna i bezradna wobec zmysłów. Pogardza sobą, że źle postępuje, lecz nie jest w stanie opanować pragnień seksualnych.

W nie znanych u nas wczesnych utworach „Zaczarowany dom” (1908) i „Zespolenia” (1911) Robert Musil przedstawił trzy nimfomanki i psychopatki, które w myślach przeżywały niesamowite przygody erotyczne. Są to jedynie duchowo kobiety zboczone. Perswazja seksualna przejawia się przede wszystkim w marzeniach i wspomnieniach.

Psychoanalizyści wyjaśniali wszystko bardzo prosto. Jeśli silny popęd seksualny natrafi na mur zakazów i nie zostanie rozładowany, to dochodzi do dewiacji psychicznych. Warto w związku z tym przypomnieć dwie myśli (sentencje) bohaterów „Człowieka bez właściwości”. Arnhem mówi rzecz paradoksalną:

„Nie ma wielkiego szczęścia bez wielkich zakazów”.

Natomiast głównego bohatera powieści, Ulricha, zakochanego we własnej siostrze, dręczą takie oto wątpliwości: „czy jakkolwiek miłość, choćby największa, może być bez zmysłowego spełnienia czymś więcej niż tylko cieniem miłości”.

Między systemem wielkich zakazów a dążeniem do zmysłowego spełnienia zawarty jest właśnie główny dylemat miłosny nastolatków. Ale nie rozumieją oni jeszcze, że kiedy wszystko wolno, to napięcie dziwnie opada i przychodzi zmęczenie. Młode dziewczyny nie powinny zbyt łatwo ulegać i zbyt szybko zdradzać sekretów swego ciała. Nic tak nie pociąga mężczyzn jak konieczność zdobywania i twierdzą. Łatwa zdobycz nie sprawia satysfakcji.

MIROSLAWA SARBIŃSKA

Najpiękniejsza ulica świata

ze str. 1

sprawodawców Dariusz Szpakowski — Włodzimierz Lubalski. Tak zakończył się pierwszy dzień Święta Piotrkowskiej, ulicy, której nie jest w stanie zaszkodzić żaden deszcz i żadna impreza.

2.

Nazajutrz, w niedzielę, wyjrzało słońce i wszystko potoczyło się w rytmie samby. Rozłożono pod piekarnik naprzeciw budynku prasy (Piotrkowska 96) septet czy oktet studencki śpiewał szlagier „dzisiaj są moje urodziny, które obchodzę bez rodziny” — i zbierał pieniądze do kapelusza.

W klubie studentów (Piotrkowska 77) grał jakiś niewidoczny ale świetny dixieland, a na zewnątrz, pod murami, sunął z futerałem w ręce młodziwiec o wyraźnych rysach Indianina. Rzadko zdarza się, okazja, żeby zamienić z kimś parę słów po hiszpańsku, zagadnąć go więc. Był nieufny i zdziwiony. Na jego miejscu reagowałby podobnie. Tak czy owak powiedział, że jest z Peru i że będzie tu, grał na otwartej estradzie z kolegami o 12.30.

— Le invitamos (zapraszamy pana) — skończył i opuścił natręta.

Stałem w pobliżu estrady obok „sódemek” z niewielkim opóźnieniem. Peruwiańczyk, pięciu Indian w pasiastych ponczach, byli już na posterunku. Spodziewałem się brzydkiej amatorszczyzny, tymczasem słuchałem przez czterdzieści minut wspaniałej nutowalnoamerykańskiej muzyki. Wrażenie było takie, jakbym zamiast samolotu zobaczył nad miastem kon-

dora. Na prawym skrzydle walił w maleńką gitarę Peruwiańczyk średniego wzrostu, a obok niego na zwykłej klasycznej gitarze popisywał się inny Peruwiańczyk. Potem, z piszczałkami u warg (instrumenty te przywoziły na myśl miniaturę wymontowanych z katedry organów kościelnych) stał wysoki Peruwiańczyk i jego niski kompaniote. Grał na tych piszczałkach z uczuciem, na dwa głosy. Piątym, walącym w bęben Peruwiańczykiem okazał się mój poznały niedawno na Piotrkowskiej człowiek. On też prowadził w całkiem poprawnej polszczyźnie konferansjerkę.

Nagle uprzytomniłem sobie, iż otacza mnie potężna masa ludzi. Po każdym utworze wybuchaly szczere, długie brawa. Peruwiańczycy podobali się wszystkim i nakreślił konturkę. W tym miejscu Piotrkowskiej tłum pozostał aż do późnych godzin wieczornych i nie znalazł nawet wówczas, kiedy o 20.15 zaczynał się mecz Holandia — ZSRR. Szalał studencki wodzirej — poeta mszając się na szarych płaszcach, niebieskich mundurach i telefonie 997. Żał mi było milicjantów, którzy przyjmowali sztyderstwa z godnością. Nie żał natomiast było mi Wojciecha Łazarka i Mieczysława Foggę, którzy odbierali sprawiedliwe cięgi. Różnica między milicjantami a Wojciechem Łazarkiem i Mieczysławem Foggiem polegała na tym, że ci pierwsi byli na miejscu. Otarli estradę, żeby zapewnić spokój.

3.

Takie imprezy, jak „Interfashion” i Święto Piotrkowskiej, są miastu bezwzględnie potrzebne. Trzeba jednak ścisnąć z nich pętno prowincji i amator-

szczyzny. Bronimy się podobno przed przyrostem mieszkańców, ale najpiękniejszą chwilą w moim życiu będzie ta, kiedy na mapach świata pojawią się kątowe zakreślane symbole Łodzi, zaświadczone, iż Europie przybyła kolejna miliona-wa dziesiąta.

Do roboty, panowie! Studencki poeta w spranej, dzinsowej kurtce, że ściśniętym gumką warkoczekiem na ciemieniu, zawrzasnął ponuro:

— Też mam dziecko! Syna. Po mnie odziedziczył on urodę i płeć, a po matce inteligencję i miłość do chłopców!

„Interfashion” rozprzestrzenił się: jego reklamę widział było na ścianach i wystawach większości magazynów i sklepów. Podłączyła się do niego ogromna ilość różnych firm, nie tylko krajowych, przyjechali bowiem wystawcy z Argentyny, Austrii, Francji, Holandii, Indii, Jugosławii, KRLD, Pakistanu, RFN, Turcji, Urugwaju, Włoch, Węgier i ZSRR.

W hotelach i restauracjach hotelowych było w owych dniach trudno o miejsce. Pojawili się wiele szlachetnych, zdecydowanie handlowych twarzy, ale pojawiły się również, jak było do przewidzenia, twarze niebieskich ptaków i panienek o niebieskiej urodzie.

Próba dialogu:

— To dziewczyna?
— Nie.
— Da się poderwać?
— Oczywiście.
— Jest tak piękna, że mógłbym się z nią momentalnie ożenić.

— I ona właśnie na kogoś takiego czeka. Jest tylko jedno zastrzeżenie: musisz mieć zagraniczny wóz, wille, konto w banku i powiązania z firmami polonijnymi.

— A gdyby tak wstawił jej bajer, że jestem z Kanady albo z USA i wziął ją do hotelu na jedną upojną noc?

— Spróbuj!

Byłem świadkiem tej próby. Panią nie stroiła fochów: dopuściła amanta (skądinąd przystojnego i elegancko ubranego) do stolika w kawiarni. Chętnie wypila kawę i kieliszek koniaku, uśmiechając się przy tym ze skromną zalotnością. Myślę, że miała osiemnaście, może dziewiętnaście lat.

Błąd amanta polegał na tym, że chciał jej załapnąć swoją dość mizerną angielszczyzną.

Dziewczyna tymczasem znała ten język nadszperkowany dobrze. Mówiła z ładnym akcentem długimi soczystymi frazami i przyglądała się facetowi z rozbawieniem.

Nie poszła z nim do hotelu. Ciekaw jestem kim była, ale pewnie nigdy już się tego nie dowiem.

4.

Wszedłem z pewnym postawnym mężczyzną do Klubu Plastyka. Ludzie zaczęli nam się przyglądać, niezupełnie jeszcze przekonani, czy gość jest tym, którego znali przed osiemnaście laty.

Jeden plastyk podszedł i powiedział:

— On!
A po chwili, kręcąc głową, poprawił się:

— Nie on.

Zjedliśmy obiad i stanęliśmy przy Piotrkowskiej na wprost pasażu ZMP. Stała tam wciąż estrada. Nie tylko organizatorzy święta ulicy Piotrkowskiej, lecz również organizatorzy „Interfashion” obdarowali Łódź zdrową porcją muzyki. Rewie mody mniej mnie interesują, tam jednak, gdzie na wolnym powietrzu można posłuchać dobrych zespołów dixielandowych, czuję się tak, jakbym wrócił do młodości.

Podobnych uczuć doznawał towarzyszący mi mężczyzna.

— To jest niesamowite — mówił. — Nic się nie zmieniło. Wciąż ta sama kochana Piotrkowska. Tyle że zamiast Tiger Ragu grają warszawskie kapelle.

— Ale dobrze grają!

— Cudnie.

Był to zespół „Vistula River Brass Band” i „Asocjacja Hagaw”. Kto by pomyślał, iż zapomniany, jeszcze niedawno pogardzany jazz odzyska straconą przyczółki. Ludzie bawili się znakomicie, niektórzy starsi panowie ruszyli w tany, młodzież, a nawet dzieci nie żałowali artystom braw.

I wtedy znowu podszedł do nas jakiś przypadkowy osobnik. Spojrzał na towarzyszącego mi, postawnego mężczyznę i zapytał:

— Prawda to, że Andrzej Brycht jest w Łodzi?

Postawny mężczyzna milczał, więc ja także milczałem.

— A więc to tylko przypad-

kowe podobieństwo?

— Zapewne.

— Tak właśnie myślałem.

Odszedł i zamiast słuchać warszawskiego zespołu, wdał się w ożywioną dyskusję z grupą kolegów.

No i niebawem zaatakował nas znowu:

— Oni mówią, że pan jest jednak Brycht, a ja się z nimi założyłem, że to nieprawda.

— W takim razie pańskie akcje nie wyglądają dobrze.

— Brycht w dalszym ciągu siedzi w Kanadzie. Nie lubięm go.

— Czemu?

— Szturchnął mojego przyjaciela.

Mrugnąłem do postawnego mężczyzny, żeby trzymał ręce przy sobie, ale on nie wytrzymał i wyciągnął z kieszeni paszport.

— Oto ja — powiedział.

Andrzej Brycht we własnej osobie.

Gościa zatkalo. Odmaszerował, żeby wrócić niebawem w grono czterech kompanów.

— W zasadzie to ja nie do pana nie mam — oświadczył ścisnąc Andrzeja i Brychtowi prawicę.

Nawiazał się między nimi a nam! Niezwykle ciepły dialog.

— Wracaj pan do Polski na stałe?

— Tak.

— Będzie pan pisał?

— Oczywiście. Dzisiaj właśnie (był czwartek 16 czerwca) uzgodniłem z redaktorem Włodkowskim cykl reportaży dla „Odgłosów”. Poza tym napisalem scenariusz filmowy dla jednego z zespołów warszawskich i pozycję do Ekspresu reporterów.

— Pójdziemy na piwo?

— Dlaczego nie — zgodził się Andrzej Brycht.

Zatem poszliśmy na piwo. Ale nie było chłodzić na piwo do zatłoczonych lokali, kiedy z tylnej otwartej kieszeni wyzierał zagraniczny paszport.

5.

Z prasy („Dziennik Łódzki”, poniedziałek, 20 czerwca 1988).

„W niedzielę zamknęły podwoje targi tekstylno-skorzone „Interfashion 88” — największa impreza wystawiennicza tego typu w krajach socjalistycznych. W ocenie pełnomocnika ministra współpracy gospodar-

czej z zagranicą — dyr. P. Sztajera, targi można i należy uznać za udane. Szczególnie cieszy większa niż w roku ubiegłym liczba handlowych delegacji i kupców wizytujących przedsiębiorstwa handlu zagranicznego. Jeśli na przykład w roku ubiegłym ekspozycja „Textilimpexu” odwiedziło 140 kupców z krajów zachodnich, to w tym roku było ich ponad 250. Na uwagę zasługuje także konkretność negocjacji i wspólnych uzgodnień. Wizyty i spotkania nie mają charakteru informacyjnego i kurtuazyjnego, lecz cechuje je klasyczny charakter handlowy.

Do soboty na „Interfashion” podpisano 96 kontraktów wartości 37,4 mln dolarów i prawie 144 mln. rubli. Stworzonymi rekordzistami są dwie łódzkie spółki Textilimpex zawarł umowę z ZSRR na zakup radiotelefonów bawełny wartości ponad 108 mln rubli, zaś Skór-impex sprzedał przede wszystkim obuwie (głównie do RFN i Australii) za prawie 16 mln dolarów.

Dolarowe obroty na tegorocznych targach są o jedną czwartą niższe niż w roku ubiegłym. Z kolei efekty rublowe są prawie trzykrotnie większe niż na inauguracyjnych „Interfashion”. Dewizowe wskaźniki, a także ilość zawartych kontraktów nie odzwierciedlają nigdzie (również i u nas) rangi, ważności i pozycji targów. Celem imprez wystawienniczych jest umożliwienie w najlepszych warunkach — spotkania producentów i kupców z całego świata, nawiązania kontaktów, wstępnych uzgodnień, które będą owocowały nie tylko przez najbliższy rok, ale nawet przez lata. Jak się wydaje, w tej sferze łódzka impreza spełniła w pełni swoje zadanie”.

Tyle „Dziennik Łódzki”.

Osobiście jestem kompletnie pozbawiony smykałki handlowej i postanawiam nie wypowiadać się w tej materii. Z drugiej strony z zadowoleniem przyjąłem informację, iż za rok spotkamy się znowu — najpierw na Święcie ulicy Piotrkowskiej, potem na kolejnej odsłonie „Interfashion”.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chłopaki i dziewczyny z naszej starej budy odliczyli się (i odliczyli) dokładnie w dwudziestą piątą rocznicę matury. Jedni przyszli z sąsiedniej ulicy, drudzy przyjechali z różnych miast Polski, inni z zagranicy: z RFN, z Francji, ze Szwecji.

Rzecz się dzieła czwartego czerwca anno domini 1988, w „starej budzie” czyli „trójce” oficjalnie nazywanej III Liceum Ogólnokształcącym imienia Tadeusza Kościuszki w Łodzi. „Trójka” jest szkołą o wspaniałej tradycji. Była dobrą, cenioną w Łodzi szkołą już przed pierwszą wojną światową, była renomowaną szkołą męską w dwudziestolecie. Jeśli to cokolwiek znaczy w odniesieniu do instytucji oświatowej, to była szkołą „lewicową” lub przynajmniej „lewicującą” w składzie socjalnym uczniów — wyższy niż w innych gimnazjach łódzkich udział dzieci robotników — w politycznych zapatrywaniach większości nauczycieli, zorientowanych na PPS. Wypuściła wśród swych maturzystów znakomitych uczonych, polityków, artystów, że o nauczycielach czy inżynierach albo le-

karzach nie wspomnę. Najbliższym nie wątpię absolwentem był Julian Tuwim. Wśród innych wymienić warto marszałka Mariana Spychalskiego.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ta plebejska, robotnicza niemalże „buda” stała się szkołą elitarną. Wszyscy którzy coś w Łodzi znaczyli lokowali swą progeniturę w „trójce” albo w „Koperniku”, wśród kadry pedagogicznej było немало doktorów, uczenie w „trójce” nobilitowało nauczyciela zawodowo, tak jak uczenie się w „trójce” nobilitowało ucznia towarzysko. Nie zatem dziwnego, że absolwenci „trójki” w bardzo wysokiej liczbie (przekraczającej 90 proc.) pomyślnie zdawali na wyższe uczelnie. Nie tylko zdawali — to można by tłumaczyć i renomą szkoły i. koneksjami tatusiów — oni także w tym wysokim procencie studia kończyli, wystawiając i sobie, i swojej „starej budzie” jak najlepsze świadectwo.

Absolwenci zebrali się w dwudziestopięciolecie matury. Z wyraźnym wzruszeniem zajmują miejsca w ławkach, w swojej klasie...

Dziewczyny i chłopaki z naszej budy

ANDRZEJ KAROLCZAK

karzach nie wspomnę. Najbliższym nie wątpię absolwentem był Julian Tuwim. Wśród innych wymienić warto marszałka Mariana Spychalskiego.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ta plebejska, robotnicza niemalże „buda” stała się szkołą elitarną. Wszyscy którzy coś w Łodzi znaczyli lokowali swą progeniturę w „trójce” albo w „Koperniku”, wśród kadry pedagogicznej było немало doktorów, uczenie w „trójce” nobilitowało nauczyciela zawodowo, tak jak uczenie się w „trójce” nobilitowało ucznia towarzysko. Nie zatem dziwnego, że absolwenci „trójki” w bardzo wysokiej liczbie (przekraczającej 90 proc.) pomyślnie zdawali na wyższe uczelnie. Nie tylko zdawali — to można by tłumaczyć i renomą szkoły i. koneksjami tatusiów — oni także w tym wysokim procencie studia kończyli, wystawiając i sobie, i swojej „starej budzie” jak najlepsze świadectwo.

Rocznik absolwentów 1963 zebrali się — jak się rzekło na wstępie — w dwudziestopięciolecie. Zebrali się pod szkołą, jako że dzień był piękny. I tu, pod szkołą waz uniozony sluga i sprawozdawca był świadkiem bardzo wzruszających spotkań i powitań. Czerdziestoletnie konie padały sobie w objęcia i całowały się z dubeltówkami. Gdyby prawdą było porzekadło o związku między pocałunkami a opadami atmosferycznymi powinno w tym dniu lać jak z cebra.

Celował w tych serdecznościach dr Jan Lenkiewicz, lekarz

Lista obecności i demaskacja reportera

Maturzyści z trzech ówczesnych klas zwiędzają szkołę. Są le tradycy, aule, salę gimnastyczną, pracownię. Z wyraźnym wzruszeniem oglądają stare kajty, a jeszcze większym zajmu-

szą mnie. Obawa była przedwczesna. Zostają tylko zobowiązani do napisania, że „trójka” to była fajna szkoła, że rocznik 1963 był bardzo udany, a spotkanie po latach jest wspaniałe. W zamian za to zostają zaproszeni na wspólną, składową kolację, która zakończy ów szczególny zjazd.

Dalsze spotkania i tajemnica klasy „b”

Ktoś wspominał o straszliwym kataklizmie i „martyrologii” klasy „b”. Była jakaś ucieczka, a jej efekt to różne restrykcje, między innymi przesunięcie kilkorga uczniów do innych klas. Nikt nie chce mi nic powiedzieć — wszyscy odsyłają waszego reportera do pana Jarosława Grambo, który wie na ten temat wszystko. Pan Grambo jednakże również milczy jak grób.

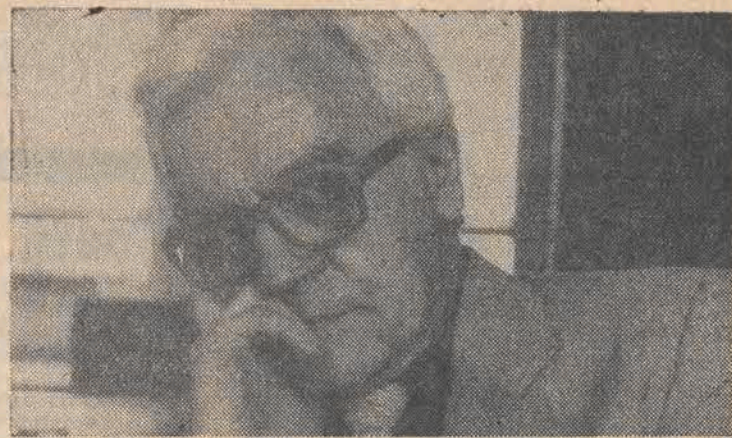
— Była to szubacka błażnada i niemity wygłup — powiada — nie warto o tym mówić.

Nie daje się również pociągnąć za język profesor Wiatrowski. Wszyscy również odmawiają solidarnie odpowiedzi na

ka w telewizji, teraz mieszka- ją obydwoje we Frankfurcie, pan Andrzej jest biznesmenem a pani Marzena „przy mezu”.

Z pewnym zdziwieniem przyjąłem wiadomość, że dwóch absolwentów uprawia rolnictwo. Obaj wychowani w wielkim mieście, obaj skończyli SGGW i nie szukali urzędniczych posad w stołecznych czy wojewódzkich urzędach. Pan Stanisław Młynarczyk jest prezesem Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Opolskiem, jego kolega (nazwisko nie do publikacji, woli, żeby o nim nie czytali w gminie) gospodaruje indywidualnie na kilkunastu hektarach pod Łodzią. Ma specjalistyczne gospodarstwo hodowlane o wysokiej towarowości. Czego w tej „trójce” nie nauczyli? Z miejskich chłopaków zrobił hreczkosiejów pełną gębą.

Wróćmy jeszcze do zagranicznych karier „trójkowców”. W Instytucie Jądrowym w Dubnie pracuje Jerzy Knapik (nieśteży, nieobecnym), fizykiem jest również Tadeusz Pakula, zamieszkały w RFN. Międzynarodowej klasy menedżerem jest pan Andrzej Zablocki. Miesz-



Mówi: MARIAN ZDROJEWSKI

— Kim jesteś przede wszystkim: dziennikarzem, pisarzem czy działaczem związkowym?

— Jestem człowiekiem piszącym, dziennikarzem i pisarzem. Mam w dorobku 6 książek. A przypadek zrzucił, że uwikłałem się w działalność społeczną.

— Rzeczywiście przypadek?

— To wynikało z mojego pisania. Kiedy zabrałem się do tematu starości, stwierdziłem, że za mało o tym wiem. Najpierw więc zacząłem chodzić po parkach i cmentarzach.

— Po co?

— Bo tam, w ustronnych miejscach można spotkać starych ludzi, przeżywających swoją samotność. Ale to było za mało. Przecież obok mnie było wielu starszych ludzi, którzy przeżyli już swój czas aktywności.

— Mówisz o naszych kolegach dziennikarzach.

— Tak. To byli piękni ludzie, wobec których byłem pełen pokory, kiedy startowałem w dziennikarstwie. Podziwiałem ich. Ale mijaly lata i ci piękni ludzie znaleźli się na uboczu. Przestała być potrzebna ich wiedza, doświadczenie i umiejętności. Zapomniano o nich. I to właśnie zdecydowało, że zacząłem organizować dla nich pomoc.

— To był początek twojej działalności społecznej?

— Tak. Zacząłem działać w myśli zasady: żeby nauczać — trzeba być nauczonym, żeby wychowywać — trzeba być wychowanym. Musiałem sprawdzić się sam, stwierdzić w praktycznym działaniu, jaki jest mój stosunek do tych ludzi. Powstała z tego książka „Ucieczka ze strefy umarłych”, a ja pozostałem z ludźmi starymi i staram się im nadal pomagać.

— Ta obojętność wobec starych ludzi to chyba znamie naszych czasów.

— Naszych okrutnych czasów, w których wielu z nas oślepiło i ogłuchło dla drugiego człowieka. Niepotrzebna nam jest wiedza i doświadczenie starszych ludzi, zepchnięliśmy ich w samotność i gorycz.

— Ale w swojej związkowej działalności zajmujesz się również sprawami młodych kolegów.

— Tak się złożyło, bo zostałem wiceprzewodniczącym Federacji Związków Zawodowych Prasy, Agencji i Wydawnictw RSW. To, że działam w ruchu związkowym wynikało z mojego sprzeciwu wobec letniości, bylejakości i obojętności, a w jakiej żyjemy.

— W której roli czujesz się lepiej: człowieka piszącego czy działacza społecznego?

— Nie byłbym pisarzem, gdybym nie był dziennikarzem, nie byłbym działaczem, gdybym nie był pisarzem — dziennikarzem. Dla mnie to swoista jedność różnych funkcji wynikających z mojej postawy wobec życia i ludzi.

— Jakie jest twoje credo pisarskie?

— Dla mnie pisarstwo jest wielką miłością. Nie wierzę w pisanie bez miłości. Bez miłości do ludzi, do świata, który nas otacza. Nie wyobrażam sobie życia bez miłości.

Pożywkę do pisarstwa mam w dziennikarstwie. I choć dziennikarstwo niesie z sobą niebezpieczeństwo, bo rodzi się w pośpiechu i siła rzeczy musi operować uproszczeniami, to przecież tak wielu kontaktów z ludźmi nie dałby mi żaden zawód. A to jest kapital dla pisarstwa.

— Twoje rozliczne działania wymagają chyba ogromnej dyscypliny. Musisz znaleźć na to wszystko czas.

— Owszem. Toteż wstaję wcześniej rano i piszę. Potem idę do redakcji, po powrocie muszę znaleźć czas na dobrą lekturę, wieczorem poprawiam to, co napisałem rano. W moim wieku nie stać mnie już na lenistwo.

— Kokietyujesz chyba. Znam cię jako urzędnego kompana kuleżeń? I spotkań.

— I na to musi się znaleźć czas. Bo to też uroda życia.

— Teraz wybrano cię do Rady Narodowej Miasta Łodzi. Potrzebne ci to jeszcze było?

— Jeśli człowiek zabiera się do jakiejś pracy, to musi być w tym solidny, konsekwentny i nie bać się trudności. Musi szukać coraz szerszych form działania.

— Teraz będziesz miał większą możliwość.

— Ano właśnie. Będzie można zrobić więcej, bo i większa będzie grono ludzi.

— Gratuluję wyboru. Ucieszyłeś się?

— Przestraszyłem się. Przyszło mi reprezentować środowisko dziennikarskie i pisarskie. Zrozumiałem, że czeka mnie trudna i niewdzięczna praca, jeśli chce ją traktować poważnie.

— A na pewno chcesz?

— A mogę inaczej? Przecież mam zobowiązania wobec moich wyborców z Polesia. Retkinia to wielka sypialnia, ze złą komunikacją, nie najlepszym handlem, z wodą dowożoną na obrzeża beczkowozami, z błotem, w którym topią się ludzie po każdym większym deszczu. Będzie co robić.

— I będziesz słyszał od różnych urzędników, że tego nie można, a tamtego się nie przeskoczy.

— Toteż uważam, że uparcie trzeba im będzie przypominać, jaka jest ich rola, komu służą i gdzie jest ich miejsce.

— No, no. Łatwe to nie będzie.

— To trzeba będzie działać również brutalnie. Pora wreszcie przywrócić godność życia na co dzień, pora przywrócić odpowiedzialność za słowo, przywrócić słowu jego wartość.

— Co w ludziach cenisz najbardziej?

— Odpowiedzialność.

— A co cię szczególnie drażni?

— I rzędzę się klamstwem.

— W twojej karierze zawodowej było wojsko, Wydawnictwo Łódzkie, „Tygodnik Piotrkowski”, telewizja...

— I pracę w telewizji wspominam chyba najchętniej. Szełował jej wówczas Władysław Orłowski. Łódź liczyła się w programie ogólnopolskim, to były piękne czasy, nie było pieniędzy, baza była kiepska, ale ludziom chciało się coś robić.

— Podobno robiłeś również za aktora?

— A jakże. Ale nie dlatego, że miałem takie ambicje, ale często brakowało pieniędzy na zaangażowanie aktorów.

— To jaka była twoja największa rola?

— Krupiera w kasynie.

— No i na co ci przyszło? Trafiałeś do „Odgłosów”.

— Tu debiutowałem i tu wróciłem.

— A ja się cieszę, bo mam kolegę, który należy do wymierającego gatunku mężczyzn-dżentelmenów, który w dodatku ciągle każe mi się uśmiechać.

— Ja po prostu widzę w kobiecie urodę życia. Uśmiech też jest ta uroda. Dlaczego go ludziom skąpić?

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ



Foto: Grzegorz Gałuski

Godzina

Zgubiona gdzieś b. pustej porze. milczysz...
Nie dajesz jej nikomu. Nie czekaj miedzy u
Z bukietem lotosów. Zaiste, nie w jego to
mocy.

Pomyśl raczej

Może spłynęła wraz z potem po trzonku
Budującej piramidę Bogu, którego nigdy nie
znasz. Lub chadza wśród legend w baśniowej
przystani.

Może szeleści dotknięta, wśród paru banknotów
Za które chcesz kupić swe życie.

Zastanów się

Nie patrz na liść zeschnięty pod swymi stopami
Spójrz na twarz. Nie skały to rzeźbione
boskim wiatrem.

Pamiętaj o przestrzeni za swymi plecami. Nie
bądź ślepy Gdy dano ci, byś mógł odwrócić swą
błądzącą twarz.

Niech ciężar beznadziei nie ugnie ci kolan
Wielu czeka już, by rzucić kamieniem. Szukaj
wyrwane.

Przesiewaj świat złotym sitem, zbieraj okrutny
Czas nie odpoczywa na schodach ratusza, a
póino już blisko.

Szukaj.



Foto: Grzegorz Galasiński

Ostre, często kpiarskie widzenie rzeczywistości ukazanej w rysunkach satyrycznych, karykaturach — ludzi i świata, to najkrócej podana charakterystyka dorobku Stanisława Błaziejewskiego, od 30 lat związanego z „Kartą” (przedtem stałego współpracownika „Odgłosów”), laureata wielu nagród krajowych i zagranicznych. W nowo otwartej galerii „Karty” (w siedzibie redakcji) czynna jest niezwykle interesująca ekspozycja prac tego wybitnego twórcy, którą serdecznie polecamy naszym czytelnikom.



Rys. Sławomir Łuczyński

Kiedy przed rokiem na zawsze dwóch cyklów tematycznych. Żegnaliśmy poetę Feliksa Rajca-Pierwszego, do którego niewątpliwie, nikt jeszcze wtedy nie sądził, że w niedalekiej przyszłości „Między wschodem a zachodem” dane nam będzie zetknąć się z „Barwy zachodu” czy też

Poeta rodzinnej ziemi

poezja, jakby utrzymaną w duchu rajczakowskim, z uporem opiewającą piękno ziemi sieradzkiej. Poezja Jana K. Szczęsnego, bo o niej mowa, wydana z końcem 1987 roku, stanowi pewien przedział czasowy w życiu tego poety i to jak można sądzić nad wyraz burzliwy. Równoległe ze studiami nad literaturą historyczną, prowadziła aktywną działalność w Grupie Literackiej Studentów Uniwersytetu Łódzkiego a także na rzecz kultury chrześcijańskiej. W tym czasie kształtują się jego poglądy na życie, dojrzewa intelektualnie, co znaj-

duje wyraz w rozwijającej się jego twórczości, ewoluującej ku przejmującej prostocie i artystycznej dyscyplinie. Zapoznając się z przedstawieniami w zbiorze utworami, dostrzegamy, że w nich jakby szukać się można w nich jakby

„Legi”, w którym poeta nie uchwycił swego, zafascynowania pięknem rodzinnego krajobrazu. Czytamy:

Trawa to której tonielem
wyszczerzona słowem
kryje zmierzch
Łódki pragną ciepła
ptaki opuszczają wieczer
w kwiatach błyszczy tła
wieczer
wiciśka się do dziupli
topoli
i tam dosypia ciemności

Drugi natomiast, tematycznie duży wyraz w rozwijającej się jego twórczości, ewoluującej ku przejmującej prostocie i artystycznej dyscyplinie. Zapoznając się z przedstawieniami w zbiorze utworami, dostrzegamy, że w nich jakby szukać się można w nich jakby

Barwne życie szarej eminencji

Fascynujące koleje życia i działalności Józefa Hieronima Retingera — jednej z najbardziej zagadkowych postaci w naszej dwudziestowiecznej literaturze — od dawna wzbudzały zainteresowanie Olgierda Terleckiego. Ten znakomity eseiista, par excellence historyk, literat z pisarskiego temperamentu i polemicznej pasji kontynuator wankowiczowsko-mackiewiczowskiej tradycji (nie waham się użyć tego określenia), autor zacytowanych książek biograficznych o Władysławie Sikorskim i Józefie Becku, szkiców z dzieł II Rzeczypospolitej — postawił sobie zadanie popularyzowania mało znanej, wielce kontrowersyjnej, postaci Józefa Hieronima Retingera.

Trudności, którym musiał stawić czoło, tak charakterystyczne dla biografii (Retingera — przyp. aut.) należy do rzędu takich, które stanowią prawdziwą udrękę dla historyków. Mnóstwo tu gwałtownych, zrywkowych, sprzeczności (...). Całe wreszcie obszary pokrywa gęsta mgła.

Z zafascynowania Olgierda Terleckiego niesłychanie barwnym i obfitującym w niesamowite „przygody” życia Józefa Retingera, chęci rozwinąć wspomnianą „mgłę”, tam gdzie było to tylko możliwe, zrodziły się przed laty szkice esejistyczne, publikowane w „Życiu Literackim”. Złożyły się one potem na książkowe wydanie pt. „Barwne życie szarej eminencji”, a teraz, już po śmierci tego niezłomnego popularyzatora najnowszej historii ojczyzny, dociera do rąk czytelników poszerzona i uzupełniona wersja książki, z nowym tytułem — „Kuzynka diabła” (wydana przez Krakowski Oddział KAW).

Warto, być może, przedstawić w ogromnym skrócie mniej znane karty z niezwykłego bogatego życiorysu bohatera książki.

Józef Hieronim Retinger urodził się 17 kwietnia 1888 roku w Krakowie. Ojcem jego był znany prawnik, młody — ówczesny profesor chemii, Olgierd Terlecki wywodził pochodzenie przodków Hieronima z Bawarii (dyplom doktora jego ojca wyssawiony był jeszcze na nazwisko Retinger).

W większości opracowań powojennych spotkać się można z informacją o semickim rodowodzie Józefa Hieronima Retingera. Ciekawe, że temu zaprzecza — tak dociekliwy w tych kwestiach — Stanisław Cat-Mackiewicz. Po śmierci ojca, dzięki wsparciu finansowemu i roztoczonej nam nimb opieki przez Władysława Żamysłowskiego (jun.), Józef Hieronim Retinger kończy studia w Paryżu. Zostaje najmłodszym w Europie doktorem filologii (dyplom na Sorbonii). Opanowuje biegle kilka języków. Podróżuje do Anglii. Dzięki swojemu protektorowi poznaje wiele czołowych osobistości z paryskiego i londyńskiego świata politycznego i artystycznego. Później jest przyjaźni z Conradem, obywatela w przygodzie wyprawy do Polski. Aresztowanie i wydalenie z Francji, następnie Anglii (po podjęciu w 1914 r. pewnych, nie w pełni wyjaśnionych, działań w sprawie polskiej). Mamy też i Mekasy, wielką przygodę meksykańską, gdzie Józef Retinger odegrał bardzo znaczącą rolę w czasie plebejskiej rewolucji, anty-klerykalnej.

Gdy rząd polski, po katastrofie francuskiej, przenosi się do Londynu, zostaje Józef Hieronim Retinger sekretarzem Rady Ministrów. Od tej chwili staje się szarą eminencją generała Władysława Sikorskiego (poznaj go wcześniej). Bierze udział w najważniejszych rozmowach dyplomatycznych, dotyczących przyszłości Polski.

T. BŁAZEJEWSKI
LAUREATEM

Przed kilku dniami ogłoszone listę dorocznych nagród Funduszu Literatury przyznawanych corocznie za utwory literackie o wysokich walorach intelektualnych i artystycznych, wybitne przekłady literackie, wartościowe i cenne prace o literaturze oraz za szczególne osiągnięcia w wydawaniu bądź upowszechnianiu literatury polskiej.

Z przyjemnością informujemy, że w dziedzinie „esej, szkice, krytyka literacka” jedno z wyróżnień otrzymał łódzki krytyk, wieloletni współpracownik naszego tygodnika — Tadeusz Błaziejewski, za wydaną w łódzkim Oddziale KAW książkę pt. „Rysopis, esej o młodej prozie”, książkę o której pisaliśmy na naszych łamach.

Gratulujemy.

DZIECI LUDZKIEGO
UMYSŁU

Po strasliwym pożarze gmachu Akademii Nauk ZSRR, w którym spłonęło 400 tys. książek a dalsze 3,6 mln uległo zniszczeniu, Lance Morrow pisał w

„Time”: „...kiedy płoną książki, ogarnia człowieka uczucie głębokiego przynębnienia. Gdy tak naprawdę książki nie są przedmiotami nieożywionymi, zaś ich śmierć, zwłaszcza od ognia i w tak wielkiej masie, ma w sobie coś z wielkiej tragedii. Książki to formy życia, dzieła ludzkiego umysłu. Słowa (na początku było Słowo) zawierają w sobie jakiś fragment mistycznego procesu tworzenia.

Rosjanie zawsze darzyli książki głęboką miłością. Literatura dawała im niezaprzeczalnie w sytuacji, kiedy prawie wszystko inne już zawiodło. W czasie oblężenia Leningradu mieszkańcy tego miasta, cierpiący głód i zimno do granic, kiedy możliwy jest nawet kanibalizm, czerpali siły słuchając przez radio głosu poetów, którzy czytali im utwory Puszkina i innych pisarzy... Dziś Rosjanie potrafią zapamiętać cały stadion, aby posłuchać recytacji poezji.

O tej namiennej miłości Rosjan do książek trudno mówić bez odrobiny ironii. Znajdąc moc oddziaływania słowa pisanego rosyjscy władcy robili książki obiektem represji. Jednak książki unicestwiane nie za pomocą ognia. Ruch wydawniczy w Rosji rozwijał się na dużą skalę

cyfry. Był może za duży jest

W nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 r. w wieku 56 lat, bez odbycia treningu, skacze do Polski po lotcie z Włoch. Jego misją, jej celem, otoczone są ścisłą tajemnicą. Z wiedzy polskich w Londynie, wie nie tylko początkowo tylko nowy premier po śmierci generała Władysława Sikorskiego — Stanisław Mikolajczyk. Dramatyczny przebieg miało opuszczenie przez niego okupowanego kraju. Termin powrotu Józefa Retingera został pierwotnie ustalony na 29 maja 1944 roku; miał wracać tzw. mostem powietrznym (operacja „Most 2”). Powrót w tym terminie nie doszedł jednak do skutku. Samolot odleciał bez Retingera, który spóźnił się (?) na start. Wygusane są na ten temat różnorodne, często sprzeczne hipotezy — m.in., że stał za tym kontrwywiad AK (chciano podobno skontrolować jego bagaż).

W powrotnym drodze, na melinę, bryczka wioząca Józefa Retingera wywróciła się do wody. Retinger odwołany później został do warszawskiej kliniki „Omega”. Po tym wypadku był na wpół sparaliżowany i nie mógł już chodzić o własnych siłach. Powrót Józefa Retingera do Londynu kolejną operacją „Most 2” — obciążony w nie mniej dramatyczne wydarzenia. Po załadunku samolotu okazało się, że nie może wystartować z podmołotego gruntu. Sparaliżowanego Retingera wnoszono i wynoszono z samolotu. Na niebezpieczną odległość zbliżył się Niemcy. Pilot angielski chciał już zrezygnować i podpalić maszynę. Z półtoragodzinnym opóźnieniem, po wielu zabiegach „Dakota” wystartowała i wylądowała 26 lipca w Brindisi. W Kairze Retinger spotkał się z Mikolajczykiem będącym w drodze do Moskwy. Powrócił do Londynu, gdzie w 1946 r. umarł, prawie w bledzie, na raka płuc.

Jak wielu innych, Olgierda Terleckiego trapiła pytanie: Czy był agentem brytyjskim? Jakże motywy kierowały jego poczynaniami? Jaki miał udział w kształtowaniu linii politycznej rządu polskiego, działającego na emigracji w Londynie i jaki wywierał wpływ na pierwszego szefa tego rządu. Autor „Kuzynka diabła” wyszczególnia arbitralne odpowiedzi na te kwestie.

Wiele osób przypisywało Retingerowi cechy wręcz diaboliczne. Celował zwłaszcza w tym, w ostatnich latach, w wypowiedziach na łamach prasy, łódzki literat — Karol Obidniak. Najpełniejszy wyraz dał temu w „Kulturze” nr 39 (13) z 29 lipca 1987 r. W artykule „Retinger i Terlecki” pisał: „Jako doradca premiera i Naczelnego Wodza odgrywał rolę diabła — przyp. aut.) w moim przekonaniu rolę najbardziej tragiczną”. Karol Obidniak formułuje również — nie mające żadnego udokumentowania w źródłach, karkołomne twierdzenie — że celem misji Retingera, zrzuconego do okupowanego kraju, było wywołanie powstania warszawskiego. Takie poglądy odrzuca zdecydowanie Olgierd Terlecki, umając je za mitomanię.

Olgierdowi Terleckiemu powiedziała się próba ukazania niepośledniej roli jaką, dzięki koneksjom w świecie polityki, odegrał Józef Hieronim Retinger w latach II wojny światowej przy boku gen. Sikorskiego (jako szara eminencja, pozostająca zawsze w jego cieniu).

Książkę Olgierda Terleckiego „Kuzynka diabła”, czyta się z dużym zainteresowaniem. Na pewno warto ją zarekomendować jako pożyteczną i interesującą lekturę.

JANUSZ KOZŁOWSKI

PESTKI
DYNII

Historia i legenda staje się sławna na cały świat hamburska dzielnica ulic Sankt Pauli. Kluby, gdzie tak niedawno zamykać można było najprzeróżniejszą seksualną rozrywkę, zmieniają się w przyzwolone restauracje, kluby muzyczne i teatralne, odwracają się od seksu, plajtuja, przenoszą się gdzie indziej... AIDS, konserwatyści, purytanie i feministki dokonują ponurego dzieła zniszczenia... Na nieskromne do niedawna ulice Sankt Pauli powraca skromność i przyzwoloność — powoli acz nieubłagane — a wraz z nimi nowi mieszkańcy, „porządni” ludzie, mieszcza-

nie... Nie tylko w Hamburgu nastąpiła zła pogoda dla miejsc, gdzie do tej pory kwitł w najlepsze seks żywy. Nawet w samym Paryżu źle się dzieje... Strach przed chorobą ogranicza ludzkie popędy, zmienia obyczajowość, prowadzi albo do monogamii, albo do seksu papierowego (wydawnictwa, kasety wideo), albo do rezygnacji z niego w ogóle... To smutne, bo przecież kultura europejska tak wiele zawdzięcza burdelom i panienkom spod czerwonej latarni... Nie zapominajmy o tym i oddajmy co cesarskie cesarzowi...

Malarsze Toulouse-Lautrec, Degas, Rouault, Rops, Bonnard, van Dongen, Picasso, poeci i pisarze Villon, Marot, Ronsard, Musset, Beaudelaire, Zola, Maupassant, Carco, Mats Orlan, Aragon... odwiedzali przybytki miłości, wprowadzali do sztuki występny, lecz podniecający świat fizycznej rozkoszy... Stworzył znakomite dzieła na płótnach, w szkicownikach, w wierszach, powieściach, pamiętnikach czerpiąc inspirację i natchnienie w domach pod czerwona latarnia... Inna sprawa, że mieli dokąd chodzić. Burdele paryskie były równie sławne, co paryskie muzea...

W 1907 roku Picasso maluje przeraźliwy obraz „Panny z Avignonu”. Ale nie jest to prawdziwy tytuł tego płótna. Pierwotny brzmiał — „Burdel avignonski”, to André Salmon zmienił go na „Panny...”, nie wiadomo zresztą dlaczego, wydając tym gwałtownie złość Picassau... Van Dongen odwiedzał domy publiczne w Rotterdamie malując tam dziewczęta; potem przenosił się do paryskich. W 1901 r. zilustrował specjalny numer „ASSIETE AU BEURRE” poświęcony prostytucji. Honorarium wyniosło aż... 800 franków! „I pomyśleć, że za franka można było w jadalni Azona na placu Ravignan zjeść obiad z chlebem, ile wlezie...” — wspominał. Wnętrze domu przy rue des Moulins i portrety jego pensjonariuszek znamy z plików i litografii Toulouse-Lautreca... Degas wykonał kilkadziesiąt monotypów z panienkami... Zachowało się kilka, resztę zniszczyła „wstydliva” rodzinka... Można by nazwiska mnożyć...

Jeśli kiedyś powstanie wyczerpująca historia domów pod czerwona latarnia — dla artystów muszą tam znaleźć się osobliwe rodziaty; dzieje burdeli, to również niezły kawał historii sztuki...

ANDRZEJ GRUN



Rys. Jarosław Grzelka

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

„Time”: „...kiedy płoną książki, ogarnia człowieka uczucie głębokiego przynębnienia. Gdy tak naprawdę książki nie są przedmiotami nieożywionymi, zaś ich śmierć, zwłaszcza od ognia i w tak wielkiej masie, ma w sobie coś z wielkiej tragedii. Książki to formy życia, dzieła ludzkiego umysłu. Słowa (na początku było Słowo) zawierają w sobie jakiś fragment mistycznego procesu tworzenia.

Rosjanie zawsze darzyli książki głęboką miłością. Literatura dawała im niezaprzeczalnie w sytuacji, kiedy prawie wszystko inne już zawiodło. W czasie oblężenia Leningradu mieszkańcy tego miasta, cierpiący głód i zimno do granic, kiedy możliwy jest nawet kanibalizm, czerpali siły słuchając przez radio głosu poetów, którzy czytali im utwory Puszkina i innych pisarzy... Dziś Rosjanie potrafią zapamiętać cały stadion, aby posłuchać recytacji poezji.

O tej namiennej miłości Rosjan do książek trudno mówić bez odrobiny ironii. Znajdąc moc oddziaływania słowa pisanego rosyjscy władcy robili książki obiektem represji. Jednak książki unicestwiane nie za pomocą ognia. Ruch wydawniczy w Rosji rozwijał się na dużą skalę

cyfry. Był może za duży jest po raz pierwszy za panowania Katarzyny Wielkiej. Ale to właśnie ona posłużyła się skorumpowaną policją do wprowadzenia w życie pierwszych w historii tego kraju przepisów określających funkcjonowanie cen wobec pewnych książek i pisarzy metody prawdziwie terrorystyczne. Osobiście cenzurował twórcę Puszki. Dostojewskiego zaś zesłał na Syberię...

ZŁOWRÓBNE ZAPISY

„Amerykanie nie traktują już książek tak serio...” — pisze Lance Morrow. — W Ameryce rzadko można spotkać się z mistycznym uwielbieniem książki. Wydaje się, że wszystko na Zachodzie można dziś powieścić w nieskończoność za pomocą komputera, na mikrofilmie, czy w inny sposób, tak więc jeśli zdarzy się, że spłonie książka, to można mieć pewność, że wiele tysięcy jej egzemplarzy zachowało się gdzieś indziej. Raczej można chyba mówić o tym, że w obiegu jest zbyt wiele słów i liczb, zbyt wiele złowróżbnych zapisów zakodowanych na płytach krzemowych w archiwach ognia. Ruch wydawniczy w Rosji rozwijał się na dużą skalę

ogóle książek. Ten nadmiar sprawia, że nie mamy już takiego szacunku dla książki. Łady w księgarniach uginają się pod ciężarem przecenionych książek. W Stanach Zjednoczonych wydaje się ponad 50 tysięcy nowych tytułów rocznie. Przeróżne lasy skarżą się, że wycina się je bezlitośnie po to, aby mogły ożyć dzieła Jackie Collins...

JUŻ SAVONAROLA

„Podczas karnawału we Florencji — kończy swoją publikację Lance Morrow — w 1497 roku fanatyczny dominikanin Giordano Savonarola był tym, który zorganizował Ognisko Próżności. Tysiące florenckich dzieci, które były zwolennikami Savonaroli, przeczesywało miasto w poszukiwaniu tego wszystkiego, co było „skłonne uznać za przedmioty nieprzyzwoite: książki, a także obrazy, lutnie, karty do gry, lustra i inne przedmioty zbytku, które następnie ułożono w stos na florenckim Placzu della Signoria. Pod tą wysoka na 20 metrów piramidą nieprzyzwoitych przedmiotów podłożono następnie ogień. Rok później Savonarola wdał się w polityczny spór z papieżem Aleksandrem VI, został ekskomunikowany, osądzony i za-

„Wydawać by się mogło, że artyście temu chodzi o zburzenie konwencji materiału i struktury plastycznej, kiedy komponuje dzieła z tak pozbawionych wzajemnego podobieństwa różnych tworzyw — kiedy odwołuje się do kaszubskich malowanych murów, układa płaszczyznę ze struny kredek, postępuje się ołowiem dla jego ciężaru i symbolu, czy też stosuje jeszcze inne rodzaje struktur niekonwencjonalnych. Nie sadzę, aby wynalazczość materii i efektu wizualnego była jedynie bodźcem dla tego artysty ważniejszą niż realizacja (...) zamysłu komentującego myśl ludzką. (...) materia „interpretująca” procesy tworzenia Szwerczyka jest spuścizną różnych kultur i różnych strukturalnych odczuwania” — napisał we wstępie do katalogu wystawy Andrzeja Szwerczyka urządzanej w Muzeum Sztuki dyrektor muzeum Ryszard Stanisławski, zaś Jaromir Jedliński, komisarz wystawy, odnotowuje pod koniec eseju opublikowanego we wspomnianym katalogu: „Gwarancją powagi własnej wypowiedzi jest w twórczości Szwerczyka intensywny kontakt z bogactwem świata, erudycja, wrażliwość, ryzyko przezeń podejmowane w życiu i w sztuce... Zacytowana część może odnosić się nie tylko do twórczości A. Szwerczyka. W tym właśnie miejscu wypada przypomnieć, że Pablo Picasso wyraził swego czasu pogląd, iż liczy się tylko sztuka

Dialogi poza czasem

współczesna, mając na myśli nie to, że powstaje ona współcześnie, ale, że jest ona teraz odczytywana, że możemy ją wspólnie odbierać, że na nią reagujemy. Twórcza rzeczywistość artysty jawi się w tym kontekście jako obecność tu i teraz, a nie jako schyłkowy gotycki Mathiasa Grünwolda na równi z Witoldem Lutosławskim. Czas, potocznie rozumiany, przestaje być pojęciem umożliwiającym porządkowanie zdarzeń. W przypadku twórczości Andrzeja Szwerczyka (ur. 1950 r., 1974-78 studiował w Wydziale Plastycznym w Uniwersytecie Śląskim, 76 — osiedla się na wsi koło Cieszanowa), ten, kto się z nią zetknie na wystawie w Muzeum Sztuki znajdzie się jakby w komfortowej sytuacji. Dziełom towarzyszy nie tylko katalog, będący czymś w rodzaju przewodnika po wrażliwości artysty, zawierający zapiski samego twórcy, lecz także film Tomisława Piotra Wasilewskiego bardzo trafnie ukazujący emocjonalne konteksty działań Szwerczyka. Ta oprawa ułatwia widzowi — odbiorcy — zadanie drogami, które tylko wskazywaliśmy przez niektórych tytuły: „Pomniki histw Franca Kafki do Feljki Bauer”, „Manuskrypty alchemiczne”, „Bazylika”, „Pijaństwo Malcolma Lowry'ego” — „Niebo”, „Ziemia obciana to trochę tak, jak chmura obciana”. W nieporównanie gorzej, pozornie, sytuacji znajduje się odbiorca prac pokazanych na wystawie w Galerii Bałuckiej. Ich autor Jacek Markunas (studia w Politechnice Łódzkiej, potem w PWSSP u prof. R. Modzelewskiego i doc. A. Pukaczewskiej, dyplom 1981 r.) zdaje się mówić: co znajdziesz, to wasze. Widz może szukać wskazań w tytułach, ale równie dobrze może wymyślać tytuły własne. Kolorowość dzieł mogłaby iść o lepięz z widokiem opustowego straganu, a jednocześnie jarmarczność znika, jeżeli tylko zechcemy pobyć wśród tych obrazów, barwnych rysunków i przestrzennych składowisk różności odrobnie, dłużej niż przez jedno przelotne spojrzenie. Inaczej niż z twórczością Szwerczyka, której konteksty chcemy odczytywać, inspiracje odkrywać, twórczość Markunasa zwraca uwagę, jest tym bardziej, im dłużej wódród niej jesteśmy. Taką „obecność” jednego obrazu zabierał wychodząc z Galerii Bałuckiej: gestnicia farb, nie więcej nie trzeba, jak tylko patrzeć, coraz bardziej patrzeć. Obie zaś wystawy sprzyjają odnotowaniu pytań o znaczenie komentarza w dziele plastycznym. Czym jest, jeżeli partnerze plastyczne, ale nie ubieżwłasności jej (Szwerczyk) i jak się zna- leż, kiedy go nie tylko odbiorcy nie dano, od- biorca go nie oczekuje (Markunas). I co zrobić jeżeli jedno i drugie jest malarstwem?

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Andrzej Szwerczyk — Muzeum Sztuki, Łódź, sierpień 1985 r.
Jacek Markunas — rysunek, malarstwo, rzeźba — Galeria Bałucka, BWA — Łódź 1988 r.

Prof. TOMASZ KIESEWETTER, zastępca dyrektora naszego miasta kompozytor, dyrygent i pedagog, długoletni przewodniczący Łódzkiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich. Ma w swym dorobku m.in. 3 symfonie, uwerturny, koncerty organowe i

„Istotna jest forma...”

Rozmowa z prof. TOMASZEM KIESEWETTEREM z łódzkiej Akademii Muzycznej.

na altówkę, liczne kompozycje kameralne, solistyczne, wokalne, balet „Królewski blazen”, operetkę „Bał samotnych”, ponad 50 ilustracji do sztuk teatralnych, wiele utworów popularnych i rozrywkowych. Z łódzka uczelnia muzyczna związany jest od 1945 roku. W ciągu ponad 30 lat pracy artystycznej miał pan profesor okazję do obserwowania rozmaitych, zmieniających się niekiedy szybko mód i tendencji kompozytorskich. Które z wartości muzycznych uważa pan w tym twórczym kalejdoskopie za trwałe, ponadczasowe?

— Szczególnie istotna, nie ulegająca — w moim przekonaniu — dewaluacji wartość muzyczna, jest forma. Ona stanowi zawsze kośćce utworu, bez niej muzyka musiałaby być po prostu bezkształtna. — A poza formą?

— Na pewno ważny jest też nastrój. Muzyka, będąc sztuką abstrakcyjną, może i powinna wywoływać określone nastroje, a za- razem oddziaływać na emocje. Oglądałem ostatnio w telewizji festiwal Pendereckiego w Krakowie (to miasto stało się dla nas- zego twórcy tym, czym Bayreuth dla Wagnera) i stwierdziłem, że to pomysł wody na mój młyn. Penderecki potrafił mianowicie bardzo umiejętnie operować nastrojem. I dlatego jego dzieła za- częły przemawiać do przeciętnej odbiorcy skutecznie już wówczas, gdy jako eksperymentator kazał np. wykonawcom dostawiać rżnąć- cą drewno. Penderecki cofnął się, jak gdyby na „góry upa- rzonej poezji” — pisze teraz na instrumencie zgodnie z ich przeznac- zeniem, a w formie nawiązuje do tradycji.

Kompozytor ten uważany był kiedyś niemal za papieża muzycz- nej awangardy. I to właśnie wówczas, gdy mówiło się o swois- tym „terrorze awangard” w sen- sie narzucania przez nią jednego tylko punktu widzenia na sprawy twórczości... Wydało mi się, że ów „ter- ror” powoli, lecz wyraźnie od- puje. Awangarda zrobiła dużo do- brą dla sztuki muzycznej, wy- pracowała pewne nowe środki techniki kompozytorskiej, ale za- pominając o rzetelnym kształto- waniu formy — znalazła się w kie- pym zaufku. Zrobiła otóż z mu-

zyki dźwiękowy taszym, w któ- rego malarstwo notabene zdawia- się wcale nie wyczuwać. Resztki „a- wanguardowego terroru” widać je- szcze w dziedzinie polityki wy- dawniczej, w której uławniała się niekiedy symptomatycznie zwyk- lej koteryjności.

— Czy to, co pan stwierdza o- znacza, że młodzi nie mają już o- choty eksperymentować?

— Młodość zawsze jest trochę szalona. Pomimo że starsi twórcy dawno zauważyli, iż — powiedz- my — totalny aleatoryzm, czyli wszechobecna przypadkowość w realizowaniu dzieła, prowadzi do- nikąd, najmłodszy ulegają takim przebrzmiałym nowinkom. Przy- kładem jest też, stanowiąca od- mianną aleatoryzmu, tzw. muzyka graficzna, pokazana na niedawnej „Musica Moderna” w łódzkiej Aka- demii Muzycznej. Muzyka graficz- na polega nie tyle na kompozycji, ile na nieskrępowanej improwiza- cji wykonawcy. Nie wiadomo, w rezultacie, czy autorem jest kom-pozytor, czy też improwizator, i komu — należałoby się tantiemy.

— Jak określiłby pan swoje miejsce w dzisiejszej, muzycznej „Wież Babel”?

— Jako twórca — jestem trochę niefortunny, bo nigdy nie zdra- dzałem wyraźnej tendencji do nowoczesności. Zawsze twierdzi- łem, że nie każdego stać na wy- twierzanie nowych dróg, wymyśla- nie systemów. Nie każdy rodzi się przecież Schoenbergiem, Hin- demithem czy Lutosławskim. Pier- wotnie chciałem nawet ograniczyć się do kapelmistrzostwa... — Które istotnie stało się po- ważną częścią pańskiej biografii artystycznej.

— Cóż, przed wojną, jeszcze ja- ko asystent Waleriana Biedzię- wa, miałem koncerty w Polskim Radiu, w Filharmonii Warszaw- skiej, w Krakowskiej i Wileńskiej oraz za granicą. W Łodzi, w la- tach 1936-39 prowadziłem wraz z Olgierdem Strazyskim orki- estrę związkową. Tuż przed Wrośniem wspólnie z Kazimie- rzem Ciesielskiewiczem, czyniliśmy wysiłki w kierunku zorganizo- wania stałej orkiestry miejskiej. Po zakończeniu działań wojen- nych dyrygowałem dorywczo w łódzkiej filharmonii i kierowałem studencką orkiestrą PWSSM, jed- nak kłopoty ze zdrowiem nie pozwoliły mi na systematyczną działalność kapelmistrzowską, wy- magającą w sumie żelaznej kon- dycji fizycznej.

— Ale wykładał pan profesor niemałą grupę dyrygentów. — Do moich uczniów należeli m.in. Arkadiusz Bazton, Janusz Przybylski, Tadeusz Blaszczyk,

Zygmunt Gzella, Tomasz Szymański, Kazimierz Urbanowski.

— Skoro już wymieniamy naz- wiska, uwzględnijmy też pańskich uczniów-kompozytorów. — Byli w mojej klasie znani dziś z estrad filharmonii i festi- wali muzyki współczesnej: Jerzy Bauer (uzupełniający później edu- kację kompozytorską w Paryżu u Nadi Boulanger i Oliviera Messia- na) oraz Bronisław Kazimierz Przybylski (który kontynuował studia u Romana Haubenstocka- Ramatiego w Wiedniu). Uczylem ponadto cenionych obecnie auto- rów muzyki teatralnej: Piotra Hertla i Bogdana Pawłowskiego, a także zwiastującego głównie z fil- mem, Piotra Marczewskiego. Cie- sze się m.in. z sukcesów tych — mówiąc niebylebnie — twórców użytkowych, gdyż sam tego ro- dzaju muzyki napisałem również wiele.

— Aczkolwiek była to często twórczość bardzo wartościowa, że wspomnę choćby o znakomitej mu- zyce do wystawionej w Łodzi „Operetki” Gombrowicza, muzyce nagrodzonej zresztą na festiwalu teatralnym we Wrocławiu i wyko- rzystanej potem przez Kazimierza Dejmka w spektaklach zagranecz- nych. Proszę mi jednak teraz powiedzieć, czy kompozytorzy rzeczy- wiście można nauczyć?

— Właściwie to nie. Można je- dynie rozwinać wrodzone predys- pozycje. Osobiście zawsze zdążyłem do tego, aby studentom przekazać jak najwięcej niezbędnego rzem- niosła kompozytorskiego, by dać im znajomość formy, instrumen- tacji itp. Reszta należała już do nich samych. Jeśli faktycznie do- chodziło do głosu głęboka i bezin- teresowna potrzeba twórczości oraz talent, wszystko układało się pomyślnie.

— Mówiliśmy dotąd raczej o muzyce zwanej poważną. Czy nie zechciałby pan profesor usłoso- kować się na koniec do współczes- nej muzyki rozrywkowej?

— Ta muzyka rozwija się — moim zdaniem — dość jednostron- nie. Istnieje nadmiar piosenek schematycznej, monotonnej, wrza- kliwej, mającej wale literacko- teksty. Za mało jest natomiast ambientnej twórczości piosenkar- skiej nawiązującej do osiągnięć Wa- rowskiego — Przybory, Koniecz- nego czy Młynarskiego. Za mało powstaje też innych gatunków. Jeśli idzie o warsztat, to w mu- zyce rozrywkowej, opartej prze- cież w całości o historyczny już teraz system dur-moll, stosuje się często harmonizację tak prymity- wną, że kolarzaka się z „nati- wnym”, amatorskim akompa- niamentem akordeonu. A przy- pominać chyba nie trzeba, że system dur-moll to także Wagner, Ryszard Strauss, Debussy. Oby kompo- zitorzy-rozrywkowicze wzięli to pod uwagę, przynajmniej na tyle, na ile pozwolą im posiadane rzemio- ła. Skromnym sygnałem nalepsze- nia sytuacji wydał mi się ostatni festiwal opolski.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST

Zamiast dewiz...

Biblioteka Uniwersytecka Łódzkiego mogła do tej pory zamawiać rocznie 200 tytułów książek za dewizy. Zapotrzebowanie, składający katedry, zakla- dy, instytuty oraz indywidualnie pracownicy nauki. Walutą wymienialną dysponuje stołeczny po- średnik: Ośrodek Rozpoznawania Wydawnictw Naukowych PAN. Instytucja ta podaje, że zakup książek napotyka na takie trudności, że bieżące zamówienia trzeba było przesunąć na następne półrocze. Ponieważ nauce obce jest pojęcie „próżni” (w nowośłach wydawniczych), więc bibliotekarze da- żą do nawiązywania nowych kontaktów, prowa- dzących do wymiany wydawnictw uczelnianych. Dziesięcioletnia tradycja współpracy w tej dzie-

dzinie z uniwersyteciem w Gießen jest przykładem do naśladowania. Zachodnie szkoły wyższe na- dają najnowszą rozprawę doktorską i habilita- cyjną. Gdy z dziedziną medycyny zgrupowały się w BUL nadmiar publikacji — biblioteka wymie- niła dublety i pozycje zbędne z innej placówki. Widoczne rezultaty dają także nawiązane zna- jomości z ambasadą francuską, nadsyłającą potrzeb- ne tytuły za złotówki. Mniej pewnym źródłem uzupełniania obcojęzycznego księgozbioru są „Mie- dzynarodowe Targi Książki”. To co proponują za- chodni wydawcy — nie wystarczy na oddzielenie wszystkich zainteresowanych książkami. Biblioteka UL wydała w ubiegłym roku 7,5 mln zł na literaturę fachową z krajów kapitalistycz- nych, tj. 2,5 raza więcej niż na pozycje polskoję- zyczne! Niezależnie od wymowy cyfr uzupełnia- jąca spontaniczna wymiana nie prowadzi do se- lektywnego gromadzenia nowinek z każdej dys- cypliny nauki. Nic nie zastąpi konkretnych za- kupów. (wk)

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

wist na szubienicy. Jego ciało spalono na stosie. Savonarola poszedł z dymem. Pożar w bibliotece leningradz- kiej był kataklizmem natural- nym. Palenie książek z rozmy- słem jest działaniem nie tylko przestępczym, ale z gruntu złym. Dlaczego? Czy bardziej naganne jest wrzucanie książki do ognia niż do zgniataki śmieci? Albo podcięcie jej na paski? Wcale nie. Jednak poddanie słowa druko- wanego nieodwracalnemu działaniu ognia i dymu, wrzucanie go w niebity, jest czymś, co nie- pokoi naszą wyobraźnię. W ogni- skach wzniesionych przez Hitlera w 1933 r. płonęły książki Kafki, Freuda, Einsteina, Zola i Prou- sta, a unoszący się dym układał się w złowieszcze kształty, zapo- wiadając upiornie chmury, jakie zaczęły wydobywać się z nazi- stowskich krematoriów parę lat później. Każdy, kto kocha książki, wie, jak trudno jest wyrzucić choćby jedną, nawet głupią, niepoważną, złą czy pełną kłamstw. O ile większa zbrodnia, większym grzechem, gwałtem zadany własnemu sumieniu jest spalanie książek.

W OCZACH FRANCUZÓW

We Francji ukazują się rocz- nie ok. 300 tys. tytułów książek,

z czego dwie trzecie pochodzi z 34 oficyn wydawniczych (na 5 tys. wydawnictw). Średni nakład książki wynosi 8 tys. egz. Co- czwartą Francuz nie czyta książ- kę, choć dzięki systemowi cen- tralnej informacji, wybrane po- zycje, po telefonicznym zamówie- niu, są dostarczane do mieszka- nia nabywcy w ciągu 48 go- dzin. „W krajach o szeroko rozwi- niętej sieci bibliotek uważa się — pisze „Le point” — że hamują one sprzedaż książek... że Fran- cja jeszcze nie dorasta do takiej rywalizacji. A więc niech żyją biblioteki! Tym bardziej że — jak wynika z danych statystycz- nych — ich bywalcy kupują więcej książek niż ktokolwiek inny. 70 proc. z nich kupuje książkę co roku, a 66 proc. pa- rą razy do roku. Same bibliote- ki są też dobrym klientem ryn- ku wydawniczego. „Zakupują dużo i wiele dzieł naraz, wy- magają dobrej oprawy i podno- szą, ogólnie biorąc, standard książek”.

Francuska sieć bibliotek to przede wszystkim las cyfr, do- tykających trzech odrębnych dzie- dzin: bibliotek uniwersyteckich, publicznych i Biblioteki Narodo- wej. Ale sytuacja nie przedsta- wia się wcale tak różowo, jeśli

porównamy ją z innymi kraja- mi.

Francuskie biblioteki uniwersy- tek nie zakupują prawie pięć ra- zy mniej książek niż takie sa- me biblioteki w Wielkiej Bryta- nii, osiem razy mniej niż w RFN i 82 razy mniej niż w USA...

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

„Mała Encyklopedia Tech- niki” — 1900 zł; Dorothy Uhnak — „Siedziwo” — 2500 zł; „Wielka Encyklopedia Pow- szeczna (13 t. PWN) — 80000 zł; „Koran” — 5800 zł; „Jan Matejko” (albumowe wydanie) — 1400 zł; „Van Eyck” (albu- mowe wydanie) — 1400 zł; Zbigniew Nienacki „Raz w ro- ku w Skirolawkach” — 2700 zł; Boeccaccio „Dekameron” (2 t.) — 1500 zł; Melchior Wań- kowicz „Na tropach smetki” — 1500 zł; Henryk Sienkiewicz „Rodzina Polanieckich” — 1300 zł; Aleksander Dumas „Dwie Diany” — 2300 zł; Michalina Wisłocka „Sztuka kochania” — 2300 zł; „Encyklopedia Popu- larna” PWN (4 t.) — 68000 zł; „Słownik języka polskiego” (3 t. PWN) — 16000 zł; Wła- dysław Stronin „Nasze zwie- rzęta” — 4000 zł.

Fraszki

RYSZARD DOROBA

TRĄBY

Szczęście to jest wielkie dla ludzkiego ucha, że są takie trąby, w które nikt nie dmucha.

CNOTA I SIŁA

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi, jeśli sika za nią stoł.

SKÓRA

Zmieni skórę w każdym czasie, gdy z niej buty uszyć da się.

LECHTAŃIE HIOBA

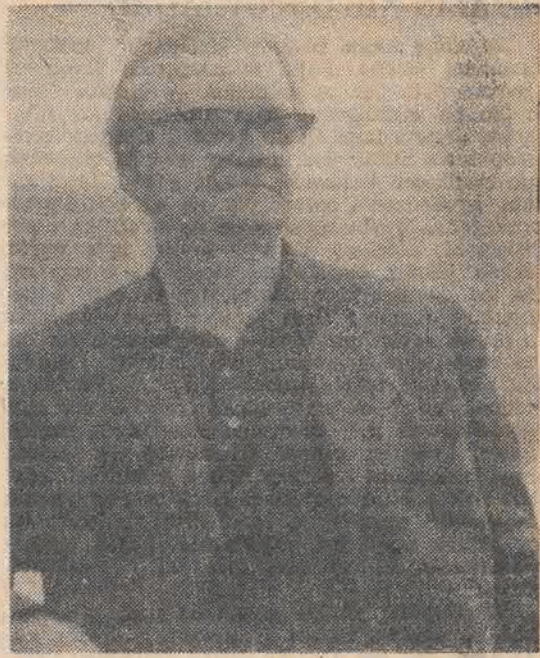
Gdy się Hioba lechce, płakać mu się nie chce.

CZYM CHATA...

Czym chata bogata? Tym, co zwodzi tatę.

MADRY POLAK

Madry Polak po szkodzi- we własnym samochodzie.



Kronika

DLA UCZCZENIA 70. ROCZNICY ODZYSKANIA PRZEZ POLSKIE NIEPODLEGŁOŚCI wydawcy przygotowują liczne publikacje, związane tematycznie z tym wydarzeniem. Staraniem „Wydawnictwa Łódzkiego” ukazały się, w tych dniach, „Moje pierwsze boje” Józefa Piłsudskiego (jeden z ewenementów wydawniczych w naszych powojennych dziejach), „Czytelnik” opublikuje m.in. biografię Marszałka Piłsudskiego, pióra wybitnego znawcy dzieł II Rzeczypospolitej — prof. Andrzeja Garlickiego.

LENINGRADZKI TEATR DRAMATYCZNY wystawił spektakl „Zeszyt Jurja Zygawa” — oparty na słynnej książce Borysa Pasternaka „Doktor Zygawa”.

PETER BROOK wyreżyseruje w Moskwie „Wisłowiwy” Antoniego Czechowa. W przedstawieniu tym weźmą udział aktorzy amerykańscy.

W WIEDNIU OTWARŁA ZOSTAŁA WYSTAWA PRAC JERZEGO DUDY-GRACZA. Artysta wystawia na niej 70 obrazów z ostatnich kilkunastu lat. Ekspozycja spotkała się z dużym zainteresowaniem wiedeńskich.

ZA WYDARZENIE ARTYSTYCZNE uznana została wyreżyserowana przez Tadeusza Łomnickiego, w warszawskim Teatrze Dramatycznym, sztuka „Zachodniomorskiego dramaturga Tankreda Dosta „Feuerbach”. W tym dramacie o ludzkiej egzystencji, o rozdźwięku między pragnieniami a rzeczywistością, wspaniała kreację stworzył twórca tego ciekawego przedstawienia.

NA XII MIĘDZYNARODOWYM BIENNALE PŁAKATU złoty i srebrny medal — w kategorii plakatu o tematyce kulturalnej — przypadł w udziale Henrykowi Tomaszewskiemu.

OGÓLNOPARODOWE ZRZESZENIE LITERATÓW WIETNAMU przyznało nagrody tłumaczom literatury obcej. Wśród laureatów znaleźli się Nguyen Huu Dung wyróżniony został za przekłady „Quo vadis?” i „W pustyni i w pałacu” Henryka Sienkiewicza.

WYDARZENIEM NA RYNKU KSIĘGARSKIM jes ukazanie się w „Czytelniku” długo oczekiwanego pięciotomowego „Dzienników” Marii Dąbrowskiej. Objętość one brzemienne w wydarzenia historyczne lata 1914-1965. Rysując ciekawym, odbiegającym od podreżni- kowych schematów portret wielkiej pisarki. Wielu czytelników wydać się mogą nawet... gorsze. Wiadomo jednak, że Maria Dąbrowska miała bardzo bogate życie prywatne, obfitujące w romanse. „Dzienniki” rodziły się w bólach. Jak uławił w „Pegazie” autor wyboru, Tadeusz Drzewnowski, lui we wstępie fazy prac redakcyjnych wydawnictwa zezadało — z różnych powodów — około 300 skreśleń. W ostatniej wersji docierającej do rąk czytelników, ingerencje cenzorskie są stosunkowo niewielkie.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI zaprasza miłośników sztuki do obejrzenia w Galerii Bałuckiej interesującej wystawy malarstwa, rysunku i rzeźby Jacka Markunasa.

ŁÓDZKI ARTYSTA PLASTYK, Tadeusz Piotura, otrzymał brązowy medal za plakat „Miesiąc Pamięci Narodowej” — na II Międzynarodowym Triennale Plakatu w japońskim mieście Toyama.

W STOLICY ZAWIAZAŁO SIĘ POLSKIE TOWARZYSTWO HERALDYCZNE. Na jego czele stanął dr Stefan K. Kuczyński. Zajmie się ono upowszechnianiem badań z dziedziny heraldyki. Myśli się również o powołaniu komisji, która by dbała o poprawność heraldyczną tworzonych herbów. Przedstawicielem jego weźmą udział w Międzynarodowym Kongresie Nauk Genealogicznych i Heraldycznych we wrześniu w Innsbrucku.

UDZIAŁ KULTURY W NAKŁADACH INWESTYCYJNYCH wykazuje tendencję spadkową. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych łożono na nią 0,5-0,4 proc. ogólnych nakładów. W ostatnich latach wskaźnik ten obniżył się do 0,3 proc.

PROGRAM ROZWOJU KULTURY DO 2000 ROKU omawiała Komisja Kultury KC PZPR. Był to pierwszy już projekt, opracowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Będzie on jeszcze konsultowany ze środowiskami twórczymi i następnie, po wniezieniu poprawek, przedłożony zostanie Sejmowi.

MAREK KOTERSKI, znany z filmów o psychologicznych przesłaniach („Życie wewnętrzne”, „Dom wariatów”) realizuje obecnie nowy film, pt. „Porno”. Obfitował on będzie w śmiały sceny erotyczne. Do próbnych zdjęć wybrano — z ogłoszenia — 25 spośród 40 kandydatów, chętnych wystąpić w scenach ze strapieciem.

Opracował: JAK

STALIN NIE ODPOWIAŁ

Na zimę nasze namioty okładano grubymi zwalami śniegu. Palić w piecykach żelaznych można było bez ograniczenia — trzeba było tylko po zakończeniu dnia roboczego przynieść sobie drewno z lasu. Czerdziesięć i pięćdziesięciostopniowe mrozy nie należały w tych okolicach do rzadkości. Uciekać nie było dokąd, toteż zakaz wychodzenia poza druty nie był ściśle przestrzegany. Wystarczyło pójść do strażnika i powiedzieć: „Idę po drwa” i można było wyjść. Jeżeli jednak chciało się zjeść coś więcej niż to, co dawano w stołówce, trzeba było z początku przynieść drewno gospodarzowi któregoś z drewnianych domków — otrzymywało się za to kawał chleba, większy lub mniejszy, zależnie od objętości przyniesionej wiązki. Ponieważ jednak urzędnicy przyjeżdżali „tam” — aby zbliżyć gotówkę, nie byli więc zbyt szczerzy i skapili nawet kawałek chleba. Znajdowali się wśród nich naturalnie i dobrzy ludzie, u których pracowaliśmy bardzo chętnie, gdyż była to jedyna możliwość zdobycia dodatkowego pożywienia; ci jednak mieli już przeważnie swoich stałych dostawców, którzy przynosili im i pilowali drwa.

Zdarzały się i takie wypadki: kiedy posyłano nas po drzewo razem z „urkami”, myśmy szli do lasu, oni zaś czekali gdzieś w pobliżu obozu i odbierali nam nasze wiązki pod pozorem, że pomagają je nieść. A że nie wolno było wracać do obozu bez drzewa, musieliśmy jeszcze raz dratować trzy kilometry w głąb lasu. A nieraz (zależnie od tego, na kogo się trafiło) i drzewo odbierali, i jeszcze nas przy tym bili.

Mojm sąsiadem na przyty był niejaki Michajło Iwanycz, architekt z Ukrainy, który przybył do obozu o rok wcześniej niż ja. Pewnego wieczoru powiedział mi:

— Patrzę ja na ciebie, Aleksandrze Wasiliewiczu, i widzę, żeś od razu zaczął nieprawidłowo. Zbyt ostro zabrałeś się do roboty, przedko się tu wykończysz. Pamiętaj, żebyś nie wiem jak pracował, i tak stu procent nie wyrobisz, i będziesz jadł zupkę trzeciego gatunku. A kryminalni nie pracując otrzymują gatunek pierwszy. Bo to, co ty wydobędziesz, zapiszą na siebie, a swoje — na ciebie. Tak to było i tak to będzie. Widzę też, że jesteś bardzo krnąbrny, często wskazujesz „urkom” na ich oszustwa i spierasz się z nimi. Wierzę mi, to do niczego dobrego nie doprowadzi, nie wychowasz tych lajdaków, tylko obrócisz ich przeciwko sobie, czym sam wyrządzisz sobie największą krzywdę. „Urkiwie” to banda, która trzyma się razem. Straż i administracja są po ich stronie. I jeszcze ciszej dodał: — Nasz brygadysta to zdeklarowany bandyta, on jest ich przywódcą. Co im rozkaże, to z tobą zrobią.

— Sam widzę, że nie czeka mnie tu nic dobrego — odpowiedziałem. — Ale nie mogę się pogodzić z tym znęcaniem się.

— Możesz się nie godzić, tylko nie wszczynaj z nimi kłótni, bo to... mogła. A to przecież najgorsze.

— Nie mogę, wierzę mi. Ustupuję tylko przed przemocą.

— To jest właśnie przemoc. Pamiętaj, uprzedziłem ci — powiedział Michajło — a zrobisz, jak zechcesz.

Minęła jesień, nastąpiła surowa zima. Słowa Michajła Iwanycza potwierdziły się. Ci, którzy pracowali ze mną i wydobywali mniej niż ja, zostali przeniesieni do wnętrza szybu, gdzie wiatr tak nie hulał i gdzie było względnie ciepło. Ja zaś i tacy jak ja pozostali na powierzchni.

Mroź i silny wiatr robiły swoje. Sił miałem coraz mniej, pracować było coraz trudniej — ledwo mogłymi dociągnąć wagonetkę do urwiska. Moim stałym i najgorętszym marzeniem było znaleźć się jak najprędzej w namiocie pod dziurawą koldrą. Ale i na przyty zimno przenikało mnie na wskroś, chwytalo to za brudne nogi, to za plecy, i nie pozwalało zasnąć. Zasnąć przeszkadzały także sennie mruczenia ludzi dochodzące ze wszystkich stron. Czegoż się tam nie nasłuchiwałem: „Kolejka, śpij, syneczku”, „Najdroższa, przysłaś...”. A niektórzy ciężko wzdychali lub krzyśleli: „Nie jestem wrogiem, nie jestem wrogiem!”

Wkrótce spadło na mnie nieszczęście: spuchły mi nogi i zaczęły wypadać zęby. Nogi miałem jak bele. Myślałem, że mam żelazny organizm — tymczasem zdrowie zaczęło zawodzić. Jeśli zachoruję obłożnie, będzie źle: koniec wiadomy... Poszedłem do lekarza. Obowiązkowo lekarz pełnił tu felczer skazany za jakąś drobność na dziesięć lat. Był to porządny człowiek. Wciągnął mnie na listę inwalidów i urządził jako dozorcę w leniej placzarni. Praca ta uważana była za przywilej: nie trzeba było pchać ciężkiej taczki ani wagonetki, tylko pilnować, aby nie rozkradziono zebranych suchych gałęzi przeznaczonych do ogrzewania namiotów.

Jako dozorca przepracowałem dwa tygodnie. Siedząc w szalase zrobionym ze śniegu podtrzymywałem w nim niewielkie ognisko. Miałem kilof i siekiere, którymi odłupywałem kawały drzewa z pniaków, znośliem je potem do swej śniegowej ziemianki i podtrzymywałem ogień.

Siedząc tak często przy ognisku w moim śniegowym domu z włazem zamiast drzwi i czując, jak przyjemne ciepło widzi się pod kaftanem pograżonym w rozmyślanie. O czym mógł rozmyślać na wpół żywy człowiek ukryty wśród śniegu przed pięćdziesięciostopniowymi mrozami? Naturalnie, jak wszyscy moi towarzysze niedoli, myślałem o dotychczasowym życiu, o rodzinie i bliskich, o tym, czy uda mi się kiedykolwiek wydosłać stąd na wolność.

W myśli ogarniałem spojrzeniem całe swoje życie. Pieć lat służby żołnierskiej w armii carskiej, potem komitet biedoty i rada gminna, służba w Armii Czerwonej — od szeregowca do dowódcy dywizji. Różnych miałem dowódców, ale prawie wszyscy byli ze mnie zadowoleni, chociaż charakter miałem, to mówiono, niezbyt miły. Organizacja partyjna zawsze uważała, że właściwie rozumiem swoje obowiązki komunisty. Toteż, wdzięczny partii i rządowi radzieckiemu za okazane mi zaufanie, poświęciłem wszystkie swoje siły dla dobra socjalistycznej ojczyzny, wielokrotnie ryzykując przy tym życiem. I po raz setny zapytywałem siebie: za jakie przewinienia znalazłem się tutaj? Myślałem zresztą nie tylko o sobie. O ileż wolniej — myślałem — rozwijać się będzie teraz nasz kraj pozbawiony tak wielu agronomów, uczonych, lekarzy, architektów, inżynierów, partyjnych i bezpartyjnych pracowników, których tak troskliwie i z takim trudem wyhodowała nasza partia, a którzy siedzą teraz w

Represje stalinowskie w 2 połowie lat trzydziestych bardzo osłabiły armię radziecką. Obliczenia generała-lejtnanta A. Todorskiego są wstrząsające. Spośród pięciu marszałków zginęło trzech (M. Tuchaczewski, A. Jegorow, W. Blucher), spośród pięciu dowódców pierwszej rangi — trzech, dziesięciu dowódców armii drugiej rangi — wszyscy, pięćdziesięciu siedmiu dowódców korpusu — pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu sześciu dowódców dywizji — stu pięćdziesięciu czterech, czterystu pięćdziesięciu sześciu pułkowników — czterystu jeden, spośród szesnastu komisarzy wojskowych pierwszej i drugiej rangi na szczeblu armii — wszyscy, dwudziestu ośmiu komisarzy korpusu — dwudziestu pięciu, sześćdziesięciu czterech komisarzy dywizji — pięćdziesięciu ośmiu. („Ogoniok”, 26/1987, s. 6)

Generał armii Aleksander Wasiliewicz Gorbatow (ur. 9 marca 1891 r.) przed wojną dowodził dywizją. W październiku

1938 r. został aresztowany, a w maju 1939 r. niewinnie skazany na 15 lat więzienia plus 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu w Kołymskim Kraju.

Podczas wojny dowodził 3 armią w bitwie pod Kurskiem, walkach na terenie Białorusi, Polski i Prus Wschodnich. W kwietniu 1945 r. otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie był komendantem Berlina, dowódcą wojsk powietrzno-desantowych, dowódcą Nadbaltyckiego Okręgu Wojskowego (1954—58), a następnie wojskowym inspektorem i doradcą. Jego wspomnienia pt. „Lata pokoju i wojny” opublikowało w niewielkim nakładzie (10 tys. egzemplarzy) wydawnictwo MON. Drukujemy piątą rozdział pt. „Tak było”. Mamy nadzieję, że autentyczna relacja gen. A. W. Gorbatowa zainteresuje naszych Czytelników.



Aleksander Gorbatow

(4)

więzieniach lub pchać taczki i wagonetki w kopalniach...

Z obozu wiele razy pisałem do prokuratury, do Sądu Najwyższego i do Stalina. Pierwsze dwie instancje odpowiadały: „Sprawie nie nadano biegu”. Stalin w ogóle nie odpowiadał.

Był u nas w obozie niejaki „ultanow”, człowiek słaby fizycznie i ogromnie zamknięty w sobie. Swoimi myślami i przeżyciami z nikim się nie dzielił. Do ciężkiej pracy nie był przyzwyczajony. Lajdak brygadysta przyczepiał się doń często, a nieraz „popierał” swoje argumenty potężnym szturchaniem. Jakoś raz ujrzałem Sultanova z dala od namiotów, podszedłem do niego i zapytałem:

— Czemu masz łzy w oczach?

— W więzieniu znęcały się nad nimi uczone malpy, tu znęcają się szakale. Jeśli pomyśleć...

— Umilkł, a potem dodał: — Otrzymałem list. Krewini zawiadamiają, że odwiedził moje dzieci w Domu Dziecka. Czują się dobrze. A od żony nie ma wiadomości.

Z namiotu wyszedł brygadysta i krzyknął: „Ordynarij!”

— Co wy tam robicie we dwójkę? Co to za sekret? Skarżysz się dowódcy dywizji? — zapytał ze złością Sultanowa. — Szkoda gadać. On już swoje odrobił, skończyła się jego władza. Teraz my tu rządymy i będziemy rządzić.

Kontynuowaliśmy naszą przechadzkę.

— Samemu, bez przyjaciół, trudno tu żyć — przekonywałem go. — Spójrz dookoła; nikomu tu nie jest słodko, ale każdy stara się do kogoś zbliżyć, należeć do mniejszej lub większej grupy. A ty wciąż sam i sam. Człowiek samotny nigdzie nie znajduje oparcia.

Pewnego zimowego bardzo chłodnego dnia wiatr nagle zaczął wyć i huczeć, śnieg zawirował tak, że w odległości dziesięciu kroków nie było widać. Wstrzymano pracę na powierzchni: wicher przewracał ludzi. Zanim jeszcze zaczęła się wichura, Sultanow poszedł do lasu po drwa. Na noc nie wrócił, rano zaś znalazłono jego zwłoki — zamarzył w odległości pięćdziesięciu kroków od obozu: tuż obok leżały drwa. Razem z nim pogrzebano innego jeszcze więźnia, który także zamarzył tej nocy.

W pogrzebie wzięło udział pięciu więźniów łącznie z tymi, którym kazano wykopać mogiłę: ze straży i administracji nie było nikogo.

Nad mogiłą ktoś rzekł:

— Tacierpił się biedak.

Inny dodał:

— Zawsze był sam, teraz są we dwójkę i nie już ich nie rozłączy.

Wróciliśmy w smutnym nastroju. Ktoś powiedział:

— Są wśród nas różni ludzie. Jedni zamykają się w sobie jakby na kłódke i cierpią w samotności. Inni, chociaż z nikim się nie przyjaźnią, nie tracą otuchy: potrafią się z każdym dogadać i przystosować do okoliczności. Są też tacy, którzy najchętniej łączą się w

grupy. Tym jest najlepiej: zawsze znajdą kogoś, kto ich podtrzyma...

Doszły nas pogłoski o aresztowaniu Jeżowa i jego „opryczników”. Większość więźniów od razu w to uwierzyła. Mówili, że Jeżow i jego ludzie zostali po prostu przekupieni przez wrogów. Pogłoski te podniosły wszystkich na duchu. Mówiono nawet, że wkrótce zacznie się masowa rewizja spraw. Ja również poddałem się tym nastrojom, wierzyłem, że niedługo wyjdę na wolność.

Tylko drobna część więźniów nie przypisywała tym pogłoskom żadnego znaczenia.

Niestety, oni właśnie mieli rację: oczekiwane zmiany nie nastąpiły.

Minęła zima, mrozy zelżały. Niestety, wielu naszych kolegów zimy tej nie przeżyło.

Otrzymałem przesyłkę, co prawda porządnie naruszoną; wszystko, co w niej pozostało do zjedzenia, zjedliśmy razem — cały nasz zwarty kolektyw. Otrzymałem także list. Żona próbowała ukryć przede mną, że nie należało się spodziewać żadnych zmian w naszym losie, ale przeczytałem to między wierszami.

„Urkiwie” kilkakrotnie robili nałot na mój śniegowy domek i zabierali moje zapasy drewna, te z takim trudem rozszczępiłem pniaki, a na podziękowanie kłeli mnie najordynarniejszymi słowami albo też bili do nieprzytomności.

Pracę miałem niestruzną i nieraz dziękowałem w duchu felczerowi. Mimo to nogi puchły mi w dalszym ciągu, były jak bele, a kolana zupełnie zesztywniały. Musiałem znowu pójść do felczera. Teraz uznał mnie oficjalnie za inwalidę, włączył do akt i napisał wniosek o konieczności przeniesienia mnie z Maldiaku do innego obozu odległego o dwadzieścia trzy kilometry od Magadanu.

Wszystko zależało od komendanta obozu. Na szczęście komendant zatwierdził akt i w końcu marca 1940 roku znalazłem się pod Magadanem. To właśnie, i tylko to, uratowało mnie od niechybnej śmierci.

Ku memu wielkiemu żalowi zapominałem nazwiska felczera, który pracował wówczas w Maldiaku. Ale uczucie wdzięczności zachowałem dla niego na zawsze.

Kiedy po raz pierwszy przybyłem z Władywostoku do Magadanu, wydało mi się, że jego okolice są surowe i dzikie. Ale teraz, po pobycie w Maldiaku, wydały mi się niezwykle przytulne, powietrze zaś takie, jak gdyby w listopadzie z północnych okolic przybył do Soczi.

Umieszczono nas w barakach dużego obozu, leżącego u podnóża gór. Byliśmy osłabieni chorobą i długą ciężką drogą. Przez cztery dni nie posyłano nas na robotę.

Leżąc na przytych wspominaliśmy swego brygadystę z Maldiaku, który miał sześć wyroków, w tym cztery za zabójstwo. Często naszym papugą powtarzał nam: „Nakładaj szybko, ncha! szybko!” — i groził:

„Za taką robotę komendant nie da wam ani

zupy, ani chleba”. Sam nigdy w życiu nie pracował, ale nas zapędzał do pracy. Miał nam za złe, żeśmy uczyli ludzi żyć według radzieckich praw, i chętnie się, że teraz on jest naszym carem i bogiem, że jego rozkaz zastępuje tu i konstytucję i prawo, potem zaś kończy cynicznie: „Zgęchniecie — nie ma nieszczęścia, sprawdzą innych. Takich wrogów, jak wy, w Rosji jest dużo!” Tu, pod Magadanem, prawdziwym wychnieniem była dla nas nieobecność tego lotra.

Szybko, niczym sen, przemknęły cztery dni odpoczynku. Potem znowu wzięliśmy się do roboty — nosiliśmy i wlekli z gor obrzynie pnie drzew.

Czytelnikowi trudno będzie wyobrazić sobie, jak to zboczami gór, rozciągnięty na cztery kilometry, wleczli się sznur wynędzniałych ludzi, cieni a nie ludzi, którzy wyciągnawszy szyję niczym żurawie w locie, ostatkiem siły ciągnęli obrzynie pnie. Ciężko jest ciągnąć ładunek z gór, jeszcze ciężiej — po równej płaszczyźnie, przy najmniejszym zaś wzniesieniu nie można go w ogóle ruszyć z miejsca. Ludzie potykają się, padają, wstają i znowu padają, ale ładunek rusza z miejsca dopiero wtedy, kiedy pomoże ktoś idący z tyłu. W ten sposób pnie docierają do obozu.

Z dnia na dzień coraz trudniej pracować. Wieczorami więźniowie zastanawiają się, dlaczego tak się dzieje. Jedni mówią: „Koniec z nami, braciśzkowie”. Inni zapewniają: „Wszystkiemu winna ta długo oczekiwana wiosna; śnieg za bardzo zwilgotniał, dlatego ciągnąć jest tak trudno i nogi od tego bardziej boją”.

„Przyczyna wszystkiego jest zła strawa — oświadczył ktoś autorytatywnie. — Nie jest wcale lepsza niż w Maldiaku, a praca jest równie ciężka”.

Wciąż co robić? Zgłosić, że jestem chory — nie wolno: zmniejszą rację chleba, a czy będą leczyć? Na wszystkie choroby było jedno lekarstwo — wywar z igiel sosnowych. Wtedy pozostaje już tylko jedno — śmierć! A więc ciągnij, póki możesz...

Kiedyś w czasie krótkiego odpoczynku opowiadaliśmy sobie nawzajem o dawnym życiu. Opowiadałem i ja. Jeden z moich znajomych ze statku, wykwalifikowany inżynier Leonid Loginow, zapytał mnie:

— No, a teraz, Aleksandrze Wasiliewiczu, nie żałujesz, żeś tak ucziwie pracował, że tak się w życiu starałeś? Czy wyrok „śądu Sze-miaka” nie wpłynął na zmianę twoich poglądów? (Sąd Szemiaki — sąd niesprawiedliwy; nazwa pochodzi od księcia halickiego Dymitra Szemiaki i związana jest z satyryczną opowieścią rosyjską pt. „Sąd Szemiaki”, która dochowała się w odpisach siedemnasto- i osiemnastowiecznych i przedstawiała obyczaje panujące w sądach feudalnych — przyp. tłum.).

— Nie, Leonidzie. Gdyby trzeba było zacząć życie na nowo, powtórzyłbym wszystko jeszcze raz, nawet gdybym wiedział, że znajdę się w Kraju Kołymskim. Jeśli wyjdę na wolność, będę znowu służył w wojsku, chociaż jako nadliczbowy w kompanii lub szwadronie. A sędziowie? Czegoż od nich wymagać? Ktoś im pewnie tak rozkazał...

— Takiej właśnie odpowiedzi spodziewałem się od ciebie — rzekł Loginow i dodał: — Ja tak samo. Zgodziłbym się przez całe życie być zwykłym robotnikiem, byleby tylko na wolności i byle wiedziało, że jestem niewinny.

Pewnego razu śniło mi się, że nadszedł nakaz natychmiastowego zwolnienia Gorbatowa. Ze wszyscy o tym wiedzą, ale mają dni i tygodnie i nikt mnie oficjalnie nie zawiadamia. Jakżeż kłamał tutajże władze! Kiedy z rana rozległo się wołanie „pobudka!”, byłem szczęśliwy, że to tylko sen. W przeciwnym razie przypłaciłbym moje ostre słowa przedłużeniem terminu kary.

Tegoż dnia przydarzyła mi się bardzo przykra historia. Po otrzymaniu od żony kolejnego przekazu pieniężnego złakoniłem się i postanowiłem kupić u jednego z „urków” puszkę konserw rybnych. Podczas gdy wymyślałem pieniądze z chusteczki, podeszli do nas jeszcze dwaj kryminalni, wyrwali mi z rąk chustkę z pieniędzmi i przy akompaniamencie śmiechu pozostałych „urków” ukryli się w tłumie ludzi idących do stołówek.

Zabolało mnie to strasznie. I nie tyle żal mi było pieniędzy, ile paczki listów od żony i jej fotografii, którą ci lajdacy wyrwali mi z ręki razem z pieniędzmi. A przecież każdy list odczytywałem po wiele razy, a gdy zostawałem sam, oglądałem fotografie... Lotrów tych spotkałem później jeszcze nie raz i prosiłem, aby mi przynajmniej zwrócili fotografię, ale śmiali się tylko w odpowiedzi.

Kiedy otworzyłem puszkę, okazało się, że napełniona była nie rybą, ale piaskiem.

Ludzie różnie reagują na ciężką pracę fizyczną. Jedni ledwo dowlóżyli się po pracy, od razu zasypiają, chociaż sen ich jest niespokojny; inni przewracają się z boku na bok i długo nie mogą zmusić oka. Ja również sypiałem źle. Podczas pracy nie było czasu na rozmyślanie, toteż w nocy przy białym świetle lampki rozmyślałem o przeszłości, o dniu dzisiejszym i o tym, co mnie jeszcze czeka w życiu.

Wspominałem też więzienie lefortowskie. Marzyłem wówczas, aby jak najszybciej dostać się do jakiegoś obozu i pracować na świeżym powietrzu! Ale nigdy nie przypuszczałem, że istnieją takie obozy jak nasz. Teraz, głodny, leżąc na przyty marzyłem o tym, jak dobrze byłoby dostać się do więzienia, choćby na kilka dni, poleżeć, odpocząć w cieple, najęść się do syta chleba.

Myślałem też o żonie, o tym jak jej ciężko, jak wiele, biedaczka, wycierpiała: straciła ojca, brata i męża. Przypominałem sobie, jak razem współczuliśmy naszym znajomym, kiedy zostali aresztowani, nie przeczuwając, że i nas spotka niezadługo podobne nieszczęście.

C.D.N.

Tłumaczył:
STEFAN KLONOWSKI

Niedługo ukaże się trzecie wydanie „Inkarnacji”, będzie ono inne od dwóch poprzednich. Będzie wzbogacone o dodatkowy rozdział, w którym autor przedstawia to, co działo się po napisaniu książki. W poprzednim numerze „Odgłosów” wydrukowaliśmy pierwszą część tego rozdziału. Obecnie publikujemy część drugą, która nosi formę Rozdziału I nowej książki. Czy taka książka powstanie? Autor kończy ten rozdział literkami: C.D.M. To znaczy ciąg dalszy możliwy...

Rozdział I

Czy w człowieku istnieje siła żywa, także p. jego śmierci, zdolna do uśmiercania innych? Czy siła tej, jeżeli istnieje, można stawiać zadanie pozabawienia życia ludzi? Na przykład tych, którzy w jakiś sposób przyczynili się do naszej śmierci. Albo tych, co pośmiertny spokój nam zakłócają.

Siła taka nie istnieje!
Nie istnieje? A Tutanchamon...
Pytania ze świata metafizyki. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat nie znalazłem na nie odpowiedzi. Pogodziłem się z tym. Ileż mi nawiedzała, a nawiedzała często, tłumacząc to moją skłonnością do spekulacji myślowej oderwanej od rzeczywistości. Innego wytłumaczenia dla zdarzeń, w jakich brałem udział, nie znajduję. Wanda też nie, ale podchodził do tych zjawisk z innego punktu widzenia. Przy całej swojej kobiecej uczuciowości jest męsko realistyczna: dwa razy dwa to nie jest zawsze cztery. Wzrusza ramionami. Tutanchamon? Gdyby, powiada, wzajemna „życzenia” ludzi miały się po ich śmierci spełniać, świat byłby dawno bezludną planetą.

Mówiąc to spogląda na mnie raczej dziwnie.

Nazywam się Vern C. Yannings. Profesor doktor Vern C. Yannings. Jestem wojskowym psychologiem z zawodu, obecnie na emeryturze. Życie moje nie upłynęło monotonnie. Sam zawodowo dostarczałem mi codziennie wrażeń zmuszających mnie do rozstrząsania motywów wyboru przez człowieka takiej czy innej postawy w sytuacjach oddziaływających się na niego psychicznie, decydujących o jego życiu. Psychologia to profesja spowiednika ludzkich dusz. Pomyłka w diagnozie może równać się w skutkach błędowi kardiochirurga dokonującego zabiegu na otwartym sercu.

Niektórzy nie widzą mojej specjalności aż tak poważnie. Dowodzą, że duszy ludzkiej nie da się odczytać jak abecadla. Za ocenę charakteru człowieka na podstawie jego mowy wiedzą zawsze na manowce, gdyż w każdym kontakcie z innymi ludźmi człowiek kłamie. Nie myślałem: człowiek kłamie. Nie przyjmuję tylko do wiadomości, że kłamstwo jest narzędziem obronnym, po zderzeniu którejś z nich staje się kryształową przejrzystością. Kwestia jest więc „rozbrojenia” człowieka. Dla wytrawnego psychologa to nie jest problem, bo w końcu wszyscy mówimy językiem natury.

Pracę w sferach zbrojnych rozpocząłem po obronie mego doktoratu na uniwersytecie Columbia. Bardzo wcześnie zainteresowałem się rozbieżnością między myślami a słowami człowieka. Już w szkole średniej byłem zaskoczony, że „znachora myśli”. Często przeprowadzałem z kolegami testy psychologiczne. Życie wewnętrzne dorastających dziewcząt jest bogatsze niż chłopców. Szybko się przekonałem, że obraca się wokół jednego tematu: miłości. Zdumiewała mnie ich predyspozycja do maskowania swoich myśli. Jeszcze wówczas nie wyznawałem się na zawłóściach psychologii funkcjonalnej, nie zdawałem sobie sprawy z wagi dominującego u ich poczytności czynnika płci, z zaprogramowanej w ich podświadomości sztuki wabienia poprzez odpychanie. Dekodowanie psychiki dziewcząt rychło mnie zmęczyło. Arseniał środków ich obrony i ataku ich w zasadzie ubogi, łatwo o dorobienie uniwersalnego klucza; podniosłem poprzeczkę tej zabawy na rozpracowanie psychiki człowieka z jego wizerunku tylko. Z samego odbicia twarzy, widzianej na żywo lub na papierze. Moja praca dyplomowa na ten temat opublikowana w „Psychological Review” wywołała spory rezonans.

Psychologia w Stanach jest intratnym zawodem. Owianym nimbem wiedzy tajemnej, intymnej, jak wszystko, co nie do końca sprawdane, działającym na wyobraźnię. Popyt na psychologów dzisiaj jest ogromny. Nie ma sfery produkcji, handlu, marketingu, reklamy, które by nie korzystały z naszej pomocy, przed wojną, jednak było to dopiero raczkowanie na rynku zatrudnienia. Tym większe wrażenie wywarła na mnie oferta pracy, jaka wpłynęła z instytucji z powołania zupełnie nie interesującej się sprawami ducha człowieka.

Fama o mnie wyszła poza bramę uczelni już na studiach. Patrzone na mnie trochę jak na dziwolę, trochę jak na iluzjonistę cyrkowego. Rozgłosu przysłała mi ogłoszona w prasie fachowej opinia o rzekomych porządkach synka powietrznego zdobywcy Atlantyku pułkownika Lindberga, Brunona Hauptmanna, wyrokiem sądu straconego na krześle elektrycznym. Było to moim zdaniem zabójstwo niewinnego człowieka dokonane w aurore prawa tylko dla zadośćuczynienia rozpetanej przez prasę histerii. Człowiek o twarzy Hauptmanna, o jego skromności, rezerwie do otoczenia, dowodziłem, mógł się dopuścić popełnienia przestępstwa pospolitego, nigdy zbrodni na małym dziecku. Opinię uzasadniłem psychoanalizą Hauptmanna dokonaną na podstawie filmu nakreślonego w sali rozpraw oraz sprawozdań z przewodu sądowego. Dużo uwagi poświęciłem absolutnemu novum w psychologii: zachowaniu się obiektu badań na ławie oskarżonych i w celi więzienia. Samej dynamice ruchu. Psychologia dotąd opierała się głównie na artykulacji mózgu, czyli mowy, gdy ją skupiłem się na artykulacji ciała, czyli ruchu. Zdobyłem sobie duży rozgłos. Nie szczędzono mi uznania. Złotych epitatów też nie, ale to naturalne.

Nigdy bym nie przypuszczał, że od pierwszej publikacji w „Psychological Review”, mimo ataków oponentów, metody moje będą bacznie śledzone przez specjalistów z Wojskowego Ośrodka Badań Psychologicznych Armii Stanów Zjednoczonych. Wojskowe eufemizmy: „gdzieś w Europie”, „gdzieś w Azji” — nazywano w ośrodku miejsce rozgrywania się jakichś ważnych zdarzeń. Obiekt badań nazywał się „przypadkiem” lub krył się pod kryptonimem w rodzaju „Damokles”, „Delfin”, „Hybryda”. Moje zadanie postawiono od razu jasno: — Przedmiotem badań, oddalonym stąd o cztery tysiące mil, z którym pan nie będzie miał fizycznego kontaktu ani w trakcie badań, ani być może w ogóle, będą czelowe osobowości polityczne i wojskowe Trzeciej Rzeszy. Sześćdziesiąt zadań omówimy później. Co pan na to? Tak rozpoczęła się największa przygoda w moim życiu zawodowym, jak się okazało dotąd nie zakończona.

LEONARD

(2)

On

Moim przyjacielem, zatrudnionym obecnie w naszej ambasadzie w Warszawie, przywiózł mi powieść wydaną niedawno w Polsce. Szata graficzna, zupełnie niefractionska okładka insynuująca temat wojny na Pacyfiku nie zwróciłyby jego uwagi, gdyby nie znajomość zdarzeń, wokół których fałda powieści się obraca. Tytuł książki też raczej niejaki: „Inkarnacja”. Pod tytułem ten można podciągnąć wiele rzeczy. No i ten język. Na szczęście moja żona, Wanda, włada polskim i książkę mi przeczytała.

Przedsiadaliśmy nad magnetofonem cztery tygodnie. Jak w ciemnej sali kina, zapatrzeni w napięciu w ekran, na którym przewijały się znane mi obrazy, już zamierzającą przeszłość, nagle ożyła. Scenariusz do tego filmu, od pierwszego do ostatniego kadru zdawałoby się nieprawdopodobny, wymyślony przez rozstrojona głowę napisało życie.

Książka sygnowana jest pseudonimem Leonard. Już Scott Fergusson, znając mój udział w tej sprawie, zwrócił się do wydawcy o bliższe dane o autorze. Pseudonim jest zastrzeżony, dowiedział się, może napisać list, wydawca dostarczy go autorowi. Scott napisał, odpowiedź nie nadeszła.

Nie wiem, kim jest autor. Pamięć mam nadal dobrą. Uczestników procesu, przedstawicieli różnych narodowości, było wielu. Nie przypominam sobie jednak nikogo o takim nazwisku czy imieniu. Jedno jest pewne: Autor, kimkolwiek jest, doskonale się zapoznał ze sprawą, z jej stroną oficjalną i pozakulisową, nawet z zaplecem rodzinnym oskarżonych.

Jeżeli o to chodzi, można by powiedzieć, że książka jest wszystkim z wyjątkiem fikcji literackiej sensu stricto. Związek autora z tematem obranym za fabułę kończy się salwą plutonu egzekucyjnego. Prawu staje się zadość, świadkowie mogą pakować manatki. Tymczasem, o czym autor zdaje się nie wiedzieć, ledwie zwłoki rozstrzelanych przykryto ziemią...

W książce mamy akcje, mamy sylwetki bohaterów, z obu stron barykady, mamy motywy ich postępowania, mamy wreszcie finał, do jakiego musiało dojść. Nie mamy natomiast nic z udziału sił pozarozumowych, jakie się po procesie odczuwały.

Jedni mówią, że to kwestia wiary, ja — że wiedzy. Mój przeciwnik, kiedy napomniaka o mnie, mówi tolerancyjnie oko. Nigdy nie wypowiadałem się publicznie na temat życia pozarozumowego. Powściągliwość w sprawach nie dających się empirycznie udowodnić jest cechą dużej wagi. Ale siły pozarozumowe, czyli rozum ludzki nie pojęcie, to coś całkowicie innego. Zresztą czas pokaze.

Zastanawia mnie uznany za zaginionego kapitan Ulrich Inna, sądzony in absentia. Wcielony w zastrzelonego przez niego Martina Straga, o czym ja z kolei do chwili przeczytania książki nie wiedziałem. Zastanawia mnie, jak daleko ta część fabuły jest fikcją, jak daleko prawdą? Ukryta przed sądem w imię zachowania twarzą wywiadu brytyjskiego — jak pisze Leonard.

Tysiąc pytań.
Tutanchamon też zwrócił ludziom w głowie. Morze wątpliwości. A gdyby tak ja odpowiedział na nie? Zdaniami Wandy los rzucił mi wyzwanie.

Albo wówczas musiałbym wyjechać do Murepy. Dlaczego by nie? — mówi Wanda. Nie jesteśmy jeszcze tacy starzy, chętnie mi potowarzyszy. Przy okazji zwiedziłaby swoje rodzinne strony w Polsce. A może pokusiłbym się o spotkanie z tym Leonardem? Słuszyłaby mi jako tłumacza...

Ta jej żarząca energia! Sześćdziesiąt lat, a werva dziewczyny. I zdrowie. Ta kobieta nie chorowała nawet na grype, na którą ja zapadam każdego roku przynajmniej raz. Już teraz nie da mi spokoju.

Mam w sobie opokę. Jestem hieną ementarną przed rozkopaniem grobów dawno przez czas zaspanych. I chciałbym rzucić się w wir tej zagadki, i coś mi od tego powstrzymuje. Jak gdyby w obawie, że siła, co tyłu uśmierdza, sięgnie po mnie, jedynego na tym świecie mogącego wytknąć ją palcem. Bo to jej sprawka! To pasmo niewytłumaczalnej śmierci obciąża tylko ją.

Pamiętam twarz bohaterów z ławy oskarżonych. Ludzi u progu życia zaledwie, już z góry przeznaczonych na unicestwienie. Ale jeszcze żywych. Włazł mogących ludziś się okrucieństwem nadejść. Żal mi każdego z nich prawie jednakowo. Prawie, bo inaczej osadza się zbrodniarza dającego upust żądzy zabijania, z premedytacją, jak zabijał, nieprzytomnie urodziwy lekarz okretowy i inaczej żołnierza wykonującego rozkaz. Włazł nie wiem, co naprawdę doprowadziło do dominacji w ich działaniu czynności emocjonalnych, skrajnie efektywnych nad czynnościami kontrolnymi. Regulacja i kierowanie. Akademickie dzielenie

włosa na cetero dobro a zło. Sekunda rozstrzelenia kompasu i białe ustępie miejsca czar-nemu. Dlaczego to zrobił? Tajemnica mózgu. Dlaczego zrobił tak, a nie inaczej? Tajemnica mózgu. Włazł noszą w sobie tragicznie niekna, jakby zrodzona do ukrzyżowania twarz dowódcy okrętu, który ten zgubny rozkaz wydał. Z świadomej inspiracji swoich wysoko postawionych przełożonych wydał, z nakazu sfanatyzowanego serca, którego podseptuowi się podporządkował, czy w rezultacie zwyczajnego załamania nerwowego, do jakiego żołnierz nie ma prawa. W którym z nich — pozostał dwójce oskarżonych, typem bez wyrazu, siły tej nie przypisuje — ona przyczaiła się i czekała swojej chwili?

Pamiętam ich oczy. Myślę o pierwszej dwójce tylko, o dowódcy okrętu i o lekarzu. Takich oczu się nie zapomina. Gdybym nie znał powodu, dla którego ich właściciele znaleźli się na debowych deskach ławy oskarżonych, nigdy bym ich o popełnienie ich zbrodni nie posa-dził. Natura wyposażyła ich tak hojnie. Zmobilizowanie ich pod broń tak śmiertelną dla zła, jaką okazała się u-bootwarffe, wydaje się albo złośliwością karmiów, albo nieporozumieniem. Jeżeli którykolwiek z mężczyzn winien być w imię zachowania gatunku w tej wojnie oszczędzony, to ci dwaj, jak gdyby stworzeni dla prokreacji. Piękna, zedławszy oświata głowa dowódcy okrętu przyjmująca z otwartymi oczami razy oskarżycieli i schyłony w uniku przed ciosami czub Rubensowego cherubina w czarnej bluzie z insygniami lekarza okrętowego na rękawie. Niewiarygodne. Przez cały czas procesu, podczas każdej rozmowy w cztery oczy przeprowadzonej z nimi w celi więzienia od myśli tej nie mogłem się uwolnić.

Wanda śmieje się. Nie jest pewna, czy przypadkiem moja fascynacja osobowością dowódcy okrętu nie jest tak niszcząca siłą. Że niby z sympatii do niego wykorzystuje moją niezwykłą predyspozycję do zemsty na ludziach, którzy w jakiś sposób przyczynili się do jego śmierci. Mówi to żartem, ale głos mi się nie podoba. Wolałbym, aby mi się mylił.

Nie znam ich grobów. Nie widziałem ich. Z myślą o przyszłości tego narodu tragicznych legend postanowieniem sądu wojennego miejsce pochowania zwłok rozstrzelanych nie zostało początkowo podane do publicznej wiadomości. Teraz nie jest już tajemnicą. Mieszczą się w kwatery żołnierzy niemieckich poległych w drugiej wojnie światowej na cmentarzu głównym w Hamburgu. Chcę je zobaczyć!

Lecimy via Londyn. Krótka aklimatyzacja wśród Anglików dobrze nam zrobi. Ale nie tylko o aklimatyzację chodzi.

Wyspy brytyjskie poznałem w czterdziestym szóstym roku, niedługo po procesie czołowych nazistów w Norymberdze. Mogłem zostać w Europie dłużej. Proces w Hamburgu przysłał mi sławy. Otrzymałem liczne propozycje zatrudnienia w instytucjach alianckich parających się przywróceniem staremu kontynentowi pacjenta recydywisty sparaliżowanego rozmiarami swojej katastrofy. O wyregulowanie za pomocą psychologii jego spazmowej orientacji politycznej chodziło. Dziękuję, dosyć, powiedziałem. Pacjentowi aplikowano nową kurację wstrząsową, nie chciałem babrać się w tej nieudolnej partaninie.

Z lotniska Heathrow takśkawa do hotelu, przysnę, głęboko przespana noc zapowiadająca dobre samopoczucie w dzień, po śniadaniu takśkawa do przytłaczającego neoklasycystycznym monumentalizmem kompleksu gmachów British Admiralty; Wanda w tym czasie obiecała pokazać mi swoje najbliższe magazyny. Czarnałubowa towarzysząca podróży, nie wyobrażam sobie tutaj bez niej. A ja kombinowałem nad pozostawieniem jej w domu.

The British Admiralty! To tu wobec dziennikarzy z całego wolnego wówczas świata, ostrzeżono żeglarzy przed zrychającym na nich w głębinach smokiem, który dopuszcza się najcięższych zbrodni na morzu. To stąd prawa ręka premiera Churchilla, książe Reginald Marly-Stanford ogłosił światu pięć nazwisk ludzi odpowiedzialnych na tej zbrodni i rzucił słowieszcze dla nich: „Gdziekolwiek by się skryli, nie ujdą”. To tu, w dostojności marmurowych kolumn wspierających masywne sklepienia gabinetów, jeszcze przed ukonstytuowaniem się składu sędziowskiego trybunału, zaprojektowano kształt wyroku, którego wszystkie wyjścia z sali rozpraw w Curio Haus prowadzić będą pod lufy plutonu egzekucyjnego.

Pamiętam. Wszystkie pamiętam. Niczego nie zapomniamsz.
Uprowadzony o moim przylocie dyrektor Alan B. Tylor już na mnie czekał. Powieści „Inkarnacja” nie zna. Nie o niej nie słyszał — wydawcy zaażelną kurtyny nie reklamują się. Polski pisarz wziął sobie na wzięcie ten temat?

Dziękuję mi nieprzyjemne uczucie, że już u progu mojej wędrówki znalazłem się w hallu duchów pełnym drzwi donikąd. Żadnej tablicy informacyjnej, nikogo do zapytania o drogę. U Anglików zawsze tak. I wiem, że od Tylora niczego się nie dowiem.

Oznajmił sekretarce, aby nikogo do gabinetu nie wpuszczala ani łączyła na niego telefonów. Wymieniliśmy zaledwie grzeczności, a już go nie lubię. To stuprocentowy Anglik, żadna mieszkanka z wysp brytyjskich. Nic w nim ze szkockiego ciepła, nie z irlandzkiego ognia: w żyłach woda, w oczach lód. Anglik. Wy-starczy spojrzeć na wystrój: granatowy garnitur w stalowe paski nieprzerwanie tutaj modne od czasu zawarcia entente cordiale z Francuzami, błękitna koszula z ciemnogranatowymi krawatem, przerznięta w wyświecone czarne pobyty z tępymi ucłętymi nosami idealne do reklam pasty do obuwia. Rude włosy przyproszone siwizną, na serdecznym placu prawej ręki złoty sygnet z inicjałami królewskiej akademii morskiej. Widzę go w mundurze oficera byłej armii kolonialnej w Azji, w Afryce, w spalonych słońcem enklawach posiadłości brytyjskich w Ameryce Południowej. Widzę go posagowo wynoszonego w korkowym kaszu przeciwniecznym wśród zgłębionych grzbietów czarnych robotników na plantacji orzeszków ziemnych w Nigerii. Widzę go w khaki bluzie urzędniczą Korony na którejś z wyseppek Karaibów czy Oceanii otoczonego czeradą kolorowej służby. Zawsze ze szpicrutą w rękę go widzę. Mi-

na wieki, a oni pozostaną sobą. The world's rulers!

Ogląda niewydarzoną okładkę książki ze zwykłego kartonu, niewidzącymi oczyma przebiega kilka stron nieczytelnego dla niego tekstu, po czym w notesiku zapisuje sobie tytuł książki i wydawcę.

Ta ich powolność!
Podczas wojny Tylor był dorastającym młodzieńcem, zna ją z podręczników szkolnych. Ale z moją charakterystyką przywódców partii nazistowskiej i wyższych dowódców wojskowych Trzeciej Rzeszy zapoznał się najprawdopodobniej dopiero przed moim przyjazdem. Jako człowieka Royal Navy zainteresowało go, jak opisałem osobę wielkiego admirała Readera. Niezwykle trafnie: konfunkturalista, który nie przetrzyma nerwowo pierwszej klęski dowodzonej przez niego Kriegsmarine. Dzisiaj wszyscy są mądrzy. Wszyscy wiedzą wszystko o tych ludziach, o ich moralnej i politycznej klęsce, nie każdy jednak wie, że moja psychoanaliza, sporządzona na odległość, opublikowana została na rok przed wybuchem wojny...

Spogląda na mnie trochę jak na czarnoskórnika. „Szarlata”, „czarna magia”, „niebezpieczny hipnotyzysta” — te głosy o mnie są mu na pewno znane. Poszedłbym w zakład, że rozmawiając ze mną będzie unikał skrzyżowania się ze mną oczami.

Jeżeli wie o mnie więcej niżeli o twórcy nowych metod badawczych w psychologii obdarzonym, jak niektórzy pisali, „szóstym zmysłem”, to również wie, że książka ta otworzyła mi dostęp do wybitnych osobowości naszej polityki, ze sztuką teatralną „W obliczu Najwyższego”, napisana na kanwie moich rozmów z oskarżonymi przeprowadzanych w cztery oczy w celach więzienia, nie tylko że nie schodziła przez lata ze scen Broadwayu i Londynu, ale także przeleciała niechlubną etykietkę sympatyka nazistów. Bo bredni na temat moich „eksperymentów”, jeśli nawet mu znanych, chyba nie traktuje poważnie. Złośliwość ludzka nie zna granic. Rozpetana przeciwko mnie nagonka prasowa za rzekome nadużywanie moich predyspozycji telepatycznych, pomimo przegranej przez moich przeciwników sprawy sądowej o zniesławienie, kosztowała mnie sporo nerwów. Choć moja reputacja zawodowa na tym zyskała.

Ludzie u nas są strasznie niewyrobieni politycznie. Chcieliby się demokratyzacji naszymi sposobami, nie zdając sobie sprawy, jak łatwo nam manipulować. Nasze ukochane dziecko — wielkoserijna produkcja przemysłowa obliczona nie na garstkę wybrańców a masy odbiła się na naszym sposobie myślenia, wbrew ogólnemu mniemaniu, bardzo podatnemu na odgórne sterowanie. Staliśmy się konsumentami hasła. Czy pustych w środku, nieważne. Jele gotowych do spożycia na zimno. Staliśmy się zadowolili o nasz dobrobyt, skorzy do identyfikowania innych, prężnych gospodarko, z wrogimi nam konkurentami. Trony były zawsze niepodzielne, a idee nietolerancyjne.

Herezja jest bliźniaczą siostrą prawomyslności. Do cel więzienia w Hamburgu wszedł autor „Psychology in Politics” nie mający wyobrażenia o ciśnieniu z zewnątrz, jakiego może być poddany człowiek na wojnie, wyszedł tworca „W obliczu Najwyższego”. Nie wszystkim się podobał. Tak zwany lud w owym czasie sądził krwi, podeszła gdy ja w sztuce. Tej opisałem dzień ujrany przez ślepcę, który nagle odyskał wzrok. Czy dobrze jasność tego dnia opisałem, niech na to odpowie przejmująca cisza na sali podczas spektaklu i zainwazione oczy widzów.

Propaganda żeruje na umysłowości znajdującej się w stanie wzmożonego nastroju. Zmyśl krytycyzmu daje wtedy pierwszeństwo emocji, ta zaś widzi sprawy albo czarno, albo biało. Byle było i ja przekroczyłem bramę więzienia podbiechany tak trucizną. Kiedy jednak zajrzałem w obłode dusze tych ludzi, kiedy dzień w dzień przebywałem z nimi, wkradłem się w ich zaufanie, stałem się niejako ich spowiednikiem, pragnąc godnie wywiązać się z zadania, nie mogłem nie uznać także ich prawa do ludzkiej ulomności. Czyż to nie Chrystus na krzyżu zapowiedział złoćnicy, że jeszcze dziś będzie z nim w raju?

Taylor widział moją sztukę, dotyczyła wszak ludzi morza. Najprawdopodobniej odebrał ją po swojemu — przebaczenie wrogom Angliji pozostawiają z reguły Bogu, do krytyki pod swoim adresem odwracają się pięciami. Nikt ich w tym nie pokona. W obłudzie upokorowanej w naiwną, dziecięcą wręcz szczerość też nie.

Sprawę śmierci członków składu sędziowskiego i ludzi biorących udział w egzekucji oficerów okrętu podwodnego pozwolił sobie poruszyć już na progu naszej rozmowy. — Co ja na to?

— Nie — odparłem spokojnie.
— Nie podniósł oczu z książki.
— Nie wydawał się panu zagadkowe?
— Te samobójstwa, nagłe śmierci?
— Czy nie można tu mówić o swolstej serii? „Swolstej”, jeżeli tego słowa dobrze zrozumiałem, czyli ingerencji sił pozarozumowych. — Nie wierzę w powielaną w literaturze brukowej zemstę zaa grobu. Ludzie zawsze targali się na własne życie, ginęli w wypadkach. Nie widzę w tym nic zagadkowego.

— Ale ta fatalna sekwencja — upierał się. — Wyższy sędzia sztabowy marynarki wojennej i główny obrońca, człowiek zdrowy na ciele i umyśle, znany ze swojej rozwagi, kilka miesięcy po wykonaniu wyroku popełnia samobójstwo; śmierć w nie ustalonych okolicznościach sędziego pomocniczego, który obstawał przy najwyższym wymiarze kary także dla głównego inżyniera okrętu; obrońca Hackego, dokładnie w trzecią rocznicę rozstrzelania skazanych traci życie w wypadku samochodowym; żołnierz, który wiał skazanych do palu, ginie od samostraża swego karabinu...

Wzruszyłem ramionami.
Pogratulował mi sukcesu. Wielka sztuka. Oczywiście, pogłaskał wasa, ma drobne zastrzeżenia, ale w sumie wielka. W każdym razie ciekawa.

Schylłem w podziękowaniu głowę.
Przekartkował tytułowe strony „Inkarnacji”. — A co do tej powieści...

C.D.M.

— W tym roku obchodził pan jubileusz 35-lecia pracy scenicznej, zgorzknieniem. Przecież bardzo wiele aktorów nosi w sobie przeświadczenie, że jeżeli nie grają znaczących ról, są niepotrzebni w teatrze. Czują się bardzo nieszczeniwi z tego powodu. Ja do nich z pewnością nie należę. Zawsze czulem się dowartościowany i potrzebny. Nie zmarnowałem swojego życia pozostając na scenie. Było mi bardzo miło, gdy otrzymałem Honorową Odznakę m. Łodzi (1984) oraz Medal z okazji 40-lecia PRL.

— Był pan bliskim współpracownikiem Kazimierza Dejmka, często zastępował go pan w czasie prób, podczas jego licznych, służbowych wyjazdów...
— Dyrektor Dejmek z ogromnym zaufaniem odnosił się do mojej pracy. To prawda, że często sam-

— W środowisku teatralnym cieszy się pan opinią „Mistrza Epizodu”...

— W stwierdzeniu tym jest chyba trochę przesady. Ogromnie cieszy mnie możliwość zagrania każ-

„Nie ma małych ról”

— rozmowa ze STANISŁAWEM SZYMCZYKIEM, aktorem Teatru Nowego.

deja postaci. Dla mnie nie ma małych ról. We wszystkim co robim, wkładam dużo serca. Odnosiłem wrażenie, że mój wysiłek jest doceniany przez publiczność. Widzi pan, ja z ogromnym szacunkiem odnoszę się do pracy artystów cyrkowych. Jeżeli któryś z nich nie dostrzega swojego „numeru”, to nie widzę go na arenie. Podobnie jest z epizodem. Jeżeli w małej roli aktor nie zafunkcjonuje w świadomości widza, to po prostu nie ma roli. Byłoby mi wstyd, gdybym nie potrafił udzielić takiego zadania.

— Czy nie tęskni pan do ról pierwszoplanowych?

— Każdy aktor tęskni do takich ról. Leży to w istocie zawodu aktorskiego, więc i mnie to uczucie jest bliskie. W pierwszym okresie mojej pracy scenicznej, gdy często zmieniałem teatry, grałem wspaniałe kreacje np. Mazepę z dramatu Juliusza Słowackiego, Maurycego w sztuce Dębala pt. „Kobieta twojej młodości”. Były to jednak teatry głównie obywatelskie, prowincjonalne. W Łodzi takich możliwości nie miałem. Może dlatego, że chętniej robiłem coś dla innych a mniej dla siebie. Zawsze byłem bardzo oddany teatrowi, choć nie ukrywam, że bywały i chwile wątpliwości. Na szczęście potrafiłem szczerze cieszyć się tymi małymi

działami prowadząc próbę, szczególnie „muzyczne”. Współpraca z nim dostarczała mi ogromnej satysfakcji, wzmacniając tym samym poczucie własnej przydatności w teatrze, tak dalece, że gdy nawet dostawałem propozycje zagrania w jakimś filmie — odmawiałem wzięcia w nim udziału. Teatr był dla mnie ważniejszy.

— Czy z perspektywy czasu żałuje pan, że zbyt rzadko gościł na ekranie. Film, telewizja ułatwiają zdobyć popularność, bardzo ważną w zawodzie aktora.

— Nie, nie żałuję — spodziewała się pani, że będę trochę rozgoryczony?

— Obawiałam się tego.

— Proszę pani, miałem ogromną frajdę z grania w teatrze. Wystarczy, że wspomnę choćby takie role jak: ojciec Albertynki w „Operetce”, Alojzego Dedejko w „Kowal, pieniądze i gwiazdy”, Ganzalino w „Mieszkanu Zojki”, Smigalskiego w „Zemście” czy Starostę w „Rodzinie”. Były to role, które dostarczyły mi wielu ciepłych wrażeń, doświadczeń uznania od publiczności, zwróciły uwagę krytyków. Na film i telewizję zabrakło już czasu, zwłaszcza że w teatrze ciągle działało się coś ważnego.

— Podobno szczególnie lubi pan dziecięcą publiczność.

— Granie w bajkach jest najcien-



niejszym przeżyciem. Dzieci są publicznością niezwykle wymagającą, wrażliwą i żywo reagującą. Kiedy podchodzi się do proscenium a dzieciarnia głośno komentuje każdy krok aktora — to ma się ochotę dać z siebie wszystko. Dorosli nie potrafili tak zagrać aktora do gry. Jestem bardzo dumny z roli Marszałka Dworu w bajce Oskara Wilde'a „Chłopiec z gwiazd”. Dzieciaki pysnie się bawili...

— Czy zawsze był pan aktorem charakterystycznym?

— Tak. Od początku mojej drogi zawodowej obsadzany byłem w rolach charakterystycznych. Jest to zgodne z moimi predyspozycjami zarówno psychicznymi jak i fizycznymi warunkami, w jakie wyposażała mnie natura. Najlepiej czuję się w tego typu rolach i nawet, gdy postać nie ma wyraźnie określonych cech, to i tak wyposażam ją w pewną charakterystyczność.

— Od trzech lat jest pan na rencie, a mimo to nie został się pan z teatrem...

— Zdrowie przyczyniło się do osłabienia mojej aktywności, ale nie wyobrażałem sobie rozstania z teatrem. Podjąłem zatem w wymiarze pół etatu pracę koordynatora działalności artystycznej teatru. Poza tym cieszę się ogromnie możliwością grania od czasu do czasu swoich epizodów.

— W jakich spektaklach bierze pan udział?

— Obecnie gram w sztukach: „Człowiek jak człowiek”, „Skapcu”, „Próbki”, „Horsztyński”...

Rozmawiała:

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Pejzaż z meblem” — pod tym przewrotnym tytułem filmu czechosłowackiego w reżyserii Karela Smíčka, który dziś proponujemy, kryje się jednak głębsze treści adresowane nie tylko do młodszej widowni. Zresztą i sam temat filmu jest niebanalny — świadome ojcostwo, tym trudniejsze, że bohater początkujący student konserwatorium podejmuje odpowiedzialną opiekę nad dzieckiem nie swoim, podrzuconym mu przez przygodną partnerkę. Taka decyzja, rzecz zrozumiała, wpływa na jego dalsze losy — uzdolniony pianista, u progu kariery artystycznej!...

W rolach głównych występują: Vladimír Javorský, Yveta Kormanová i in.

W numerze 16 „Odgłosy” z 18.06.1988 roku starałem się przedstawić Czytelnikom sprawozdanie z wystąpienia 157 świadków obrony w toczącym się od dłuższego czasu przy drzwiach zamkniętych procesie: film krótki kontra wielkie kinematografie. Wystąpienie to miało miejsce przed Główną Komisją Selekcyjną XXVIII Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, a świadkami byli, oczywiście, filmy.

Jednak zaskakujące przewodem za 1988 rok miało dokonać się podczas samego Festiwalu, na który dopuszczono 46 świadków, zgodnie z sumieniem Komisji, najlepszych i najbardziej przekonujących.

Decyzje jury zaskoczyły wszystkich. Dlaczego jedni docenili to, czego nie docenili inni? Czy polski film krótkometrażowy skazany jest na zagładę?

Wyrok

RYSZARD NAKONIECZNY



Kadr z filmu „Precursor”

Przygrywka.

Sam Festiwal nie wyróżniał się niczym specjalnym. Nie było gwiazd w luksusowych toaletach, ani kandydatek na gwiazdy w prowokującym neologizmie. Ścisłe mówiąc były i te i te, tyle tylko, że na ekranie: w filmie Pawła Włodarskiego „Cannes to Cannes”. Wszystko zdeterminowały projekcje, trwające, z przerwami na konferencje prasowe i posiłki, od rana do wieczora. W końcu dla tych, którzy film krótki lubią i chcą oglądać, była to jedyna szansa.

Trzeba zresztą przyznać, że publiczność od czasu do czasu zdradzała lekkie oszołomienie tym faktem. Podczas rozmów z autorami filmów często padały pytania, które powinny być adresowane do kogoś innego. Andrzeja Brzozowskiego, na przykład, tworząc film „Hotel”, który próbował dać syntezę dziejów Polski posługując się jako pretekstem historią warszawskiego „Bristolu”, jakaś pani indagowała o stan robót konserwatorskich na tym zaskutym obiekcie, na co zdezorientowany reżyser w końcu odparł, że jego dzieło nie nazywa się „Hotel Bristol”, ale po prostu „Hotel”, między innymi po to, aby nie kierowano do niego takich pytań.

W ogóle bardziej interesowano się rzeczywistością, która stała się dla filmów, niż artystycznymi wyzwaniami twórców. I nie ma w tym niczego złego, choć próżność artystów narazona była w ten sposób na ciężką próbę.

W tym samym tonie przebiegało Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Dyskutowano o „białych plamach”, czy też „czarnych dziurach” — jak kto woli. Rozmowa jednak niezbędnie się jakoś kłóła, zwłaszcza że spotkania nie zaszczepiły swoją obecnością prawie nikt z Wysockich Wład, co zresztą niektórzy uważali za najbardziej znaczący fakt obrad. Mieli rację, czy nie, trudno na razie powiedzieć, nie da się jednak ukryć, że autentyczny niepokój do sali „Kuchni”, gdzie odbywało się spotkanie, wniosła jedynie znana w środowisku Iwona Zajączkówna, która usiłowała gwałtownie zdobyć jakiś aparat fotograficzny.

Niestety, Iwona Zajączkówna w końcu dopięła swego — jeden z włoskich dziennikarzy pożyczyl jej „Canon” — i nawet na to drobne urozmańcenie nie można było później liczyć.

Swoją drogą o wszystkich, którzy wyobrażają sobie na temat filmowców Bóg wie co, powinni chociaż raz udać się do Krakowa w okresie Festiwalu i przekonać na własne oczy, że w tym gnieździe rozpusty nawet po solidnej porcji alkoholu (na którą zresztą stać było niewielu: butelka piwa w hotelu „Cracovia” kosztowała od 400 do 800 złotych) wyłącznie rozmawia się o filmie.

Sentencja.

Jury obradowało zaskakująco długo i dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek zaczęło

się po „Cracovi” roznosić pierwsze przecieki. Były one zresztą tak niewiarygodne, że mało kto dawał im wiarę: Grand Prix: „Szychta” Jerzego Kaliny, banalna i nie dokończona impresja oparta na ikonografii obiegowych banknotów NBP, jeden z najważniejszych Lajkoników dla „Pro toto” Andrzeja Tłkwa, zgrabnej relacji z procesu produkcji zapalek... Ogólni faworyci na samym dole puli nagród, albo wręcz bez niczego...

I wszystko to potwierdziło się na drugi dzień w oficjalnie wydrukowanym komunikacie. Nie dziwnego, że na konferencji prasowej, na piętrze kina „Kijów”, było pełno. Każdy chciał usłyszeć motywację werdyktu, tym bardziej, że jeden z członków jury zgłosił od niego votum separatim.

Przewodniczący, Krzysztof Teodor Toeplitz, zaczął od stwierdzenia, że nigdy jeszcze żadne orzeczenie jury nie cieszyło się ogólnym aplauzem i znacznie istotniejsze jest w tej sytuacji, aby było ono przynajmniej wyraźne, w sensie odbicia opinii jurorów i ich osobowości. Ponure podejrzenia na ten ostatni temat zaczęły kiełkować w uczestnikach konferencji już wcześniej, teraz jednak każde słowo Przewodniczącego dodatkowo je umacniało. Otóż, oświadczył KTT, Grand Prix przyznano „Szychcie”, gdyż zajmuje się ona tematem głównie dziś interesującym Polaków, czyli pieniędzmi, jeśli zaś chodzi o „Prototo”, to cała głęboka filozofia tego filmu mieści się w ostatniej scenie, w której leżąca w łóżku panienka beztrudno zdmuchuje zapalnicę zapaloną właśnie przez spoczywającego obok niej mężczyznę. W tym punkcie inny z jurorów dodał, że polskie zapalniczki są przeciętnie co osma i nieodpowiedzialnie ich zdmuchiwanie nie jest w gruncie rzeczy czymś tak błahym, jakby się na pozór wydawało. Przewodniczący zaś, nagabywany o filmy Grzegorza Królikiewicza, wyjaśnił, że reżyserowi temu należy się bezwarunkowo szacunek za poszukiwanie nowych form wyrazu, ale w wypadku jego filmu „Precursor”, przedstawiającego postać prof. Mazurę, autora cybernetycznej teorii charakteru, wydaje się on zbyt trudny i zawiśnięty i nie wszystko z niego zrozumiał. Było to jedyne wyjaśnienie KTT, która nikogo nie zaskoczyła.

Apelacja.

Mądrzy ludzie wiedzą, że nagrody nie są najważniejsze. Jeszcze jednak mądrzejsi nie dadzą się przekonać, że jeśli w wysięgu złotwisa z zającem nagrodę dostaje ten pierwszy, to wszystko jest w porządku. Wrażenie to zostało zresztą potwierdzone parę dni później, kiedy jury Międzynarodowego Festiwalu, jednoznacznie i bez dyskusji, jak oświadczył jego Przewodniczący, przyznało Grand Prix „Scianom” Piotra Dumala, jednemu z tych filmów, którego jury Festiwalu Ogólnopolskiego w ogóle nie zauważyło.

Jak to się dzieje, że jeden zespół fachowców uznaje za zdecydowanie najwybitniejszy film, utwór, który inny zespół fachowców wyrzuca w ogóle poza nawias swoich rozważań?

Trochę światła rzucają na tę sprawę wrażenia pofestiwalowe, wydrukowane przez Krzysztofa Teodora Toeplitza w „Polityce” (nr 24/1988). Dają one, po przyznaniu, że różne postacie filmu dokumentalnego odgrywają na świecie coraz większą rolę i że pracujący w wytwórniach krótkiego metrażu dokumentalisty reprezentują wysoką klasę zawodową i artystyczną, do konkluzji, że film krótki winien być przypisany telewizji i podporządkowany jej wymaganiom i stylowi. Opinia ta brzmienie mniej zaskakujące niż krakowski werdykt. Jej zasadniczym argumentem bowiem jest to, że filmów krótkich oglądać nie można, bo nie ma gdzie, telewizję zaś oglądać się musi, na tej samej zasadzie, na jakiej musi się korzystać z usług PKP. KTT zapomina przy tym dodatkowo, że na banić od widowni skazał film krótki nie kto inny, tylko państwowy mecenas, który do dziś zresztą (w drugim etapie reformy) utrudnia, albo wręcz zabrania wytwórniom, wzięcia w pełni w swoje ręce rozpowszechniania i sprzedaży własnych produktów.

Ciekawe, czy gdyby ktoś zabronił KTT publikowania felietonów w „Polityce” i następnie wywodził, że ponieważ w „Polityce” nikt go nie czyta, powinien przejść do pracy w „Świeższczyku”, który ma całe rzesze czytelników, przyjąłby on takie rozumowanie bez sprzeciwu?

Poza tą zewnętrzną tezę kryje się jednak coś znacznie bardziej niebezpiecznego. Choć wszędzie zdarzają się dzieła wybitne i knoty, to jednak już na pierwszy rzut oka widać różnicę między filmami produkowanymi w telewizji i wytwórniach krótkiego metrażu. (Komisja Selekcyjna zresztą spośród filmów telewizyjnych zakwalifikowała do konkursu tylko 6, spośród których jury nagrodziło zaledwie 1). Telewizja z konieczności nastawiona jest przede wszystkim na widza masowego, film krótki liczy na odbiór indywidualny. Telewizja daje zwykłe, przykrojone do najszerszych gustów, materiały dokumentalne, często niemal bezosobowe (choć przecież odpowiednio formowane), film krótki jest prezentacją rzeczywistości za pośrednictwem twórcy; jest spotkaniem widza z artystą, czy po prostu z drugim człowiekiem, spotkaniem wielowymiarowym. Nie ma sensu tych dwu rzeczy sobie przeciwstawiać; transmisja z meczu hokejowego nie wyklucza sensu filmu „Hokej” Bohdana Dziworskiego, przeciwnie, film ten może spowodować u kibica szerszy odbiór następnych transmisji. Itd., itd., itd.

Można, oczywiście, postulować, aby w orkiestrze symfonicznej pozostawiono tylko gitary i perkusję, argumentując, że są to instrumenty najpopularniejsze i mające zwolenników. Tyłko kto wtedy zagra Mozarta? Albo Mahlera? Chyba że idzie o to, żeby przestano ich grać...

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

Dziesiątki nagród krajowych i zagranicznych, których ukoronowaniem był „Oscar” (za „Tango” Zbigniewa Rybczyńskiego), oto 40-letni dorobek twórców z Tuszynka. Oczywiście Tuszynski niewiele mówi, natomiast „Se-Ma-For”, czyli Studio Małych Form Filmowych, które mieści się w Tuszynku wyjaśnia wszystko. W swoim dorobku filmowcy z Tuszynka posiadają ponad 2000 tytułów, wśród nich szereg znanych, wieloodcinkowych seriali, że przypomniemy 53 odcinki „Misia Colargola” (we współpracy z Francją), 72 odcinki „Opowiadania z doliny Muminków” (we współpracy z Austrią), „Przygody misia Uszatka”, które poznały dzieci we wszystkich krajach świata, czy wreszcie „Zaczarowany ołówek”, „Trzy misie”, „Przygody wróbla świrka” i in.

„Jeniec Europy” to tytuł filmu o Napoleonie, który realizować będzie Jerzy Kawalerowicz we współpracy z francuską firmą Cine-Alliance S.A. Umowę podpisał niedawno w Paryżu dyr. Zespołów Polskich Producentów Filmowych Jerzy Rutowicz i Serge Silbermann (znany producent filmów Davida Leana, Luisa Bunuela i Akira Kurosawy).

W ostatnich tygodniach telewizja nie rozpieszczała nas oferowanym repertuarem filmowym. Jak zapowiada „Antena” filmów i seriali będziemy mieli jednak tego lata pod dostatkiem. W programie wstępnym oglądać będziemy oczywiście seriale, po „Przechodni na prowinie” obejrzymy hiszpańskie „Złote obrączki”. W środy wyświetlane będą filmy z cyklu: „Zwierciadło czasu”, a w nim m.in. „Goniec”, „Prywatne życie Olgi Iwanowej”. W czwartki — kryminały, aktualnie serial czechosłowacki

pt. „Sprawy majora Zemana”. W plątki będziemy mieli okazję obejrzeć polskie filmy z lat 80. Soboty także zapowiadają się ciekawie — obejrzymy m.in. „Łek wysokości”, „Był sobie łajdak”, sławny „Rół”, zaś w kinie nocnym „Inspektor Belamy”. Dwójka nie zamierza być gorsza. Da nam posmakować pięć odcinków osławionego „Dallas”, cykl najlepszych filmów Jeanne Moreau, a więc „Królową Margaret”, „Trzy dni do przeżycia”, „Winda na szafot”, „Kochankowie” i „Nieśmiertelną historię”.

„Niemał wszyscy moi przyjaciele zmarli...” — powiedział dziennikarz z „Le Nouvel Observateur” Glenn Ford, słynny partner równie słynnej Rity Hayworth w „Gildzie”. — Ale gdyby pani wiedziała jak niedługo żyliśmy! Mój dom sąsiadował z domem Rity Hayworth. A przecież wie pani jak bardzo ją kochałem. Chciałem się z nią ożenić. Między naszymi domami nigdy nie było ogrodzenia. Rósł tylko krzak czerwonych róż. Kiedy siedziałem do niej, zawsze zrywałam jedną różę. Ona robiła tak samo... Tak bardzo ją kochałem, że i teraz codziennie stawiam czerwona różę przed jej portretem. Nikt nie wie, jaka ona była naprawdę — najwspanialsza, najdelikatniejsza ze wszystkich znanych mi kobiet. Po śmierci Rity jej dom kupił amerykański miliarderek. W ciągu trzech dni sprowadziła buldożery, które zniszczyły różane krzewy. Widziałem, jak wyrzuca się wszystkie rzeczy Rity, jej szpilkę, meble, które tak lubiła. A na tym samym miejscu owa dama kazała wzniesić jakieś udające japońszczyznę straszidło. Teraz nawet nie patrzę w tamtą stronę...”

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

NA PRZEDPOLACH POLSKIEGO MARKSIZMU

Ukazała się książka Andrzeja Feliksa Grabskiego „Joachim Lelewel i demokracja niemiecka”, dotycząca polskich związków z marksizmem na długo przed okresem uznanym jako początek ruchu robotniczego na ziemiach polskich. Chodzi tu o wybitnego historyka i działacza społecznego — Joachima Lelewela, współpracującego ze środowiskiem radykalnej i komunistycznej emigracji niemieckiej z Karolem Marksem na czele.

Zdaniem autora, kontakty Lelewela z Marksem miały znaczenie „dla rozwoju własnych poglądów młodego środowiska komunistycznego z jednej, zaś społeczno-politycznych zapamiętań Lelewela z drugiej strony”.

Podkreśla A. F. Grabski, iż stosunki między polską lewicą społeczną a rodzajem się ruchem komunistycznym — to zapominamy, czy może niedoceniamy, a przecież pierwszy rozdział w dziełach polskiego ruchu robotniczego i socjalistycznego. Jest to oczywiście — twierdzi autor — zważywszy iż „własna filozofia społeczna polskiego historyka-demokraty miała charakter agrarnej utopii o charakterze socjalistycznym”.

Początki współpracy Joachima Lelewela z niemiecką opozycją demokratyczną, to połowa lat trzydziestych XIX stulecia, kiedy to społeczeństwo niemieckie było pod wrażeniem rewolucyjnych wydarzeń, a jednocześnie klęska powstania listopadowego spowodowała polską emigrację na Zachód, co stworzyło większe możliwości kontaktów polsko-niemieckich. Współpraca z niemieckimi demokratami nawiązywał Joachim Lelewel wielokrotnie. Po raz pierwszy uczynił to po powstaniu listopadowym, występując jako przywódca Komitetu Narodowego Polskiego.

Jesienią 1847 roku nawiązał Joachim Lelewel po raz drugi współpracę ze środowiskami radykalnej i komunistycznej emigracji niemieckiej. I nie ulega wątpliwości — pisze autor — że kontakty z Polakami, jakie rownieży się w stolicy Belgii, między komunistami a Lelewel i jego współpracownikami, sprzyjały zainteresowaniu się młodego ruchu komunistycznego sprawą polską i wypracowaniu przezeń swego własnego wobec niej stanowiska, które znalazło wyraz w znanych wypowiedziach czołowych działaczy ruchu z K. Marksem i F. Engelsem na czele, a następnie na kartach Manifestu Partii Komunistycznej.

Na szczególną uwagę zasługuje, sędze, myśl autora iż bruckelskie kontakty Joachima Lelewela z niemieckim środowiskiem komunistycznym to pierwszy etap — współdziałania polskich działaczy z komunistami i że być może należałoby cofnąć nieco w czasie początki polskiego ruchu robotniczego. Świadczył za tym może fakt, iż w 1880 roku byli członkami Rady Generalnej i Międzynarodówki — Marks, Engels, Lafargue oraz Lessner skierowali do uczestników generalnego mitingu posłanie, w którym mówili między innymi o poparciu jakiego udzielił komunistom Joachim Lelewel.

Współpraca Lelewela z Marksem nie oznaczała oczywiście iżby był jego wyznawcą, były to jednak — co jest rzeczą niezmiennie ważną — historycznie pierwsze polskie związki z ruchem proletariackim.

„Joachim Lelewel i demokracja niemiecka” — to książka niezbędna dla każdego interesującego się problematyką polskiej lewicy. Szkoda tylko, że jej wielkie walory naukowe nie idą w parze z nakładem — zaledwie osiemset egzemplarzy.

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

SKARBY NA ŚMIETNIKU W CENTRUM ŁODZI

Powołana przez prezydenta m. Łodzi komisja badająca okoliczności skandalicznej eksmisji dobytek z mieszkania Wawy Morejno — ostatniego łódzkiego rabina, mieszkającego obecnie w Nowym Jorku — zakończyła pracę i ogłosiła komunikat. Ukazał się on w poprzednim numerze „Odgłosów”.

I oto, komisja ta udowodniła mi, że jestem niedoukiem, nie potrafię bowiem odróżnić zwykłego śmiecia od ważnego dokumentu, zniszczonej gazety od unikatowej księgi, wyszczerbionego talerza od mosiężnej plectki do znakowania rytualnie czyszczonego mięsa, tytki tekturowej od zwoju Tory, a druków za telefon od banknotów z łódzkiego getta.

Komisja stwierdza, że wyrzucono m.in. „luźne kartki nie mające znamion korespondencji”. Otwieram więc teczkę z uratowanymi dokumentami i trzymając w ręku dziesiątki kopert i listów — zastanawiam się, co bardziej mogłoby znamionować korespondencję, niż znaczek i adres na kopercie, a nagłówek na papierze firmowym (np. „State of Israel. Ministry of Religions. Haifa. Israel”), z podpisami u dołu, z prawej strony arkuśka. Albo: „Do Obywatela Ambasadora Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Moskwie” z 10.12.1963 r. Albo: „Do Rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, na ręce Premiera Willi’ego Stoph’a w Berlinie”. Czy może śmieciem jest dokument wydany przez przedstawicielstwo dyplomatyczne Chile w Rumunii, zajmujące się interesami Polaków przebywających w tym kraju w czasie okupacji (swoją drogą: ciekawostka historyczna)? Czy śmieciem są ogólnopolskie księgi urodzeń z lat 50-tych i 60-tych Żydów ortodoksyjnych (chłopców) i dane dotyczące ceremonii rytualnych?

Choć zbiór uratowanych przeze mnie dokumentów — obejmuje kilkadziesiąt pozycji, jest dość skromny w porównaniu z tym, co zgromadził inni „penetrzy” niezwykłego śmietnika w centrum miasta. Oni też ulegli zbiorowemu zaćmieniu mózgu, biorąc nie niewarte papiery za rzadkie dokumenty o wartości archiwalnej. Zaczemnie jednak trwa, bo do dziś cenne akta nie przemieniły się u nikogo w popiół, starą ceratę, lub nie prane skarpety. Dziwne.

Chcę przypomnieć, że w przeddzień naszego odkrycia, wywołano na podwórzu podobną stertę papierów; te spalili jednak gospodarz domu, obawiając się mandatu za nieporządek w posesji, ileż „bezwartościowej makulatury” przepadało na zawsze!!!

„Polityka” (nr 26 z 25.06.1988 r.) opisuje oburzenie naczelnika dzielnicy Łódź—Śródmieście Jana Markiewicza: „Zadanych skarbów nie wyrzucono na śmietnik. Jedynie makulaturę, kurz i brud. (...) Żadni sensacji dziennikarze, zamiast powiadomić władze o dziejącym się nieprawidłowości, roztrąbili aferę po gazetach”.

Zastępca naczelnika, Aleksander Sowa, wg „Przeglądu Tygodniowego” (nr 26 z 26.06.1988 r.) „nie umie po prostu wytłumaczyć faktu, że w dniu eksmisji na podwórku znajdowały się przedmioty ważne dla wyznawców religii mojżeszowej. Sprawa — według Aleksandra Sowy — jest tym bardziej skomplikowana, że wszyscy członkowie ekipy eksmisyjnej oświadczyli na piśmie, iż niczego cennego nie wyrzucali”.

Cud! — chciałoby się zawołać — cud! cud!

Komisja nie zwróciła się do mnie, ani, za moim pośrednictwem, do nikogo z posiadaczy znalezionych dokumentów o za-

prezentowanie ich, jeno ogłosiła w komunikacie, że „nie potwierdziła zarzutu o celowym wyrzuceniu na śmietnik przedmiotów stanowiących wartość historyczną lub kolekcjonerską”. Właściwie, co do słowa „celowym” — to się zgadza. Nikt bowiem z dziennikarzy nie użył tego słowa. Pozostała część zarzutu, mimo niepotwierdzenia go przez komisję, podtrzymuję.

W swojej publikacji na łamach „Odgłosów” napisałem, że nie budzi moich wątpliwości zasadność i konieczność działań eksmisyjnych. Budzi je natomiast sposób potraktowania mienia, a także fakt 12-letniego pielegnowania pustostanu. Dziś jednak, dodałbym pytanie, czy i strona formalno-prawna nie wzbudziła zastrzeżeń komisji, bowiem art. 125 §1 Kodeksu Cywilnego mówi o przedawnieniu mocy wyroku w takich sprawach po 10 latach. A od prawomocnego orzeczenia o eksmisji minęło lat 12. Prezydent miasta, wobec niepotwierdzenia zarzutów stawianych przez reporterów „Kuriera Polskiego” i „Odgłosów”, skierował sprawę do wyjaśnienia przez Prokuraturę Wojewódzką. A na ten, dość istotny szczegół, Prokuratura niechybnie zwróci uwagę.

Zwróci zapewne uwagę na pospiech ekipy eksmisyjnej, o którym reporter „Kuriera Polskiego” tak napisał:

— „Jak się dowiedzieliśmy — przebywający w Stanach Zjednoczonych Wawa M., powołując się na swój tytuł naczelnego rabina Łodzi, przysłał z Nowego Jorku do 1 Wydziału Cywilnego Sądu Rejonowego w Łodzi pismo zatytułowane „Skarga i pozew”. Podaje on m.in., że dopiero 24 maja br. otrzymał wysłany 22 kwietnia z Łodzi zwykły list ustanowionej w charakterze jego pełnomocnika pracownicy PGM Łódź—Śródmieście, która mu wyznaczyła termin odpowiedzi w sprawie zamierzonej eksmisji do 30 maja. Tymczasem, jak wiadomo choćby z ustaleń komisji (...) do realizacji czynności eksmisyjnych przystąpiono już 10 maja... Ale i ten „szczegół” jaskrawo ilustrujący pospiech, prezydenta komisja „jakoś” pominęła, dochodząc do autorytatywnej konkluzji, że „eksmisja pod względem administracyjno-prawnym nie budzi zastrzeżeń”.

„Trudno też — kontynuuje „Kurier Polski” — uznać za dowód wystarczającej troski wyrzucenie prawie sześciu tysięcy starych tomów do 157 zwykłych worków i umieszczenie ich w magazynie piwnicznym PGM Łódź—Śródmieście”.

Fakt, iż trzy dni po owej sobocie spędzonej na śmietniku (we wtorek 17 maja br.), leciały z okien II piętra na bruk biblioteczne regaly, rozwalając się na drzazgi, można by skwitować takim oto zdaniem z komunikatu prezydenckiej komisji: „osoby uczestniczące w niej (eksmisji) — przyp. MK) wykazały maksimum dobrej woli, by zabezpieczyć jej przebieg i mienie Wawy M.”.

Obw opatrność uchroniła mnie w przyszłości przed dobrą wolą urzędników.

MAREK KOPROWSKI

NA DĄBROWIE NIC SIĘ NIE DZIEJE

Władze dzielnicy, a szczególnie ludzie odpowiedzialni za kampanię wyborczą w dzielnicy mieszkaniowej Dąbrowa nie wywiązali się należycie z tych ważnych obowiązków, nie dopinowali prac związanych z kampanią wyborczą, świadczy o tym i to, że nie wzięli pod uwagę zgłoszeń Rady Osiedla i Terenowej Organizacji PZPR, kandydatów na radnych, a same charakterystyki kandydatów nie zawsze były zgodne z prawdą, a to przecież podważa zaufanie do władz dzielnicy.

Nie zblizono też mieszkańcom osiedla Dąbrowa ludzi, na których będą głosować, tych ludzi przeciętny mieszkaniec ul. Galczyńskiego, czy ul. Umińskiego nie zna, a przecież taka była naczelna idea, aby teraz przy nowej ordynacji wyborczej i przy tych ważnych zmianach, jakie dokonują się w Polsce, poważnie tym razem potraktować nas wyborców. Kampania wyborcza była wielką szansą, aby przekonać ludzi, że istotnie zmienili się w Polsce na lepsze. Ale dzielnica Łódź—Górna żyje jeszcze po staremu, o czym świadczy spotkanie z kandydatami na radnych, a postawa władz dzielnicy mówi nam, że zmiany jakie dokonują się wokół nie dotarły do nich, a problemy ważne, jakimi żyje Polska nie opanowały ich umysłów.

Jestem pod wrażeniem przemówienia W. Jaruzelskiego na Plenum KC PZPR, ale tu w Łodzi, w moim osiedlu Dąbrowa nic się nie dzieje, głęboka, daleka to prowincja, a władze dzielnicy są nie przygotowane w swej świadomości do wielkich przemian. Taką jest prawda. Prawdą jest też i to, że ludzie są zniechęceni, zawiedzeni, stąd ten zastój i obojętność. Obawiam się, że znów dużo pada słów, ale pozbawionych treści.

A.D.

(Nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji)

„W SZKOLE DZIEJE SIĘ NIEDOBRZE”

Treść opublikowanego w waszym piśmie listu Ob. J.K. stanowiłaby niewątpliwie ważny głos w dyskusji na temat oświaty, gdyby nie występujące w nim nieścisłości. Chcemy wskazać te fragmenty listu, które zawierają niezgodne z prawdą treści oraz wyrażają obraz pracy Rady Pedagogicznej i władz oświatowych.

1) Fakt preferowania przez władze oświatowe i szkołę nauczycieli czynnych zawodowo i absolwentów wyższych uczelni nie powinien budzić żadnych wątpliwości. Nauczyciele emerytowani podejmują pracę dydaktyczną, jeśli w szkole lub na terenie dzielnicy istnieją braki kadrowe. Ruch kadrowy w oświacie odbywa się w sposób rozważny i przemyślany, a nie jest, jak sugeruje Ob. J.K. dziełem przypadku lub czystej złości woli.

2) Funkcjonowanie w XXX LO grupy nauczania indywidualnego sportowców, liczących od 1 do 6 uczniów nie zakłada trybu pracy pozostałych klas i nie wymaga blokowania pomieszczeń dydaktycznych. Absurdem jest twierdzenie, iż lekcje prowadzi się na korytarzach, bowiem ilość sal lekcyjnych jest wystarczająca do przyjęcia 19 oddziałów w nieco wydłużonym czasie pracy.

3) Jest zasada, że opiekun pracowni prowadzi zajęcia w swoim gabinecie. Jako wyssane z palca należy zatem traktować twierdzenie Ob. J.K. o niewykorzystaniu bazy szkoły. Środki audiowizualne stosujemy w procesie lekcyjnym tylko wówczas, kiedy jest to uzasadnione potrzebą lekcji. Dzieje się tak również w pracowni języka rosyjskiego, o której pisze Ob. J.K. Używanie pomocy naukowych tylko dla samego ich uruchomienia jest kuglarstwem dydaktycznym, którego Rada Pedagogiczna XXX LO nie uprawia.

4) Ob. J.K. operuje wyciągniętą z lamusa tezą, jakoby powodzenie w pracy organizacji młodzieżowych zależało od dysponowania przez nie odpowiednim pomieszczeniem. ZSMP w naszej szkole liczy 42 członków, 30 uczniów pracuje w drużynach harcerskich w innych szkołach. Trudno się zatem dziwić, że pomieszczenie służące do tych zajęć organizmowi młodzieżowemu przeznaczono na izbę lekcyjną. Problem niewielkiej liczby członków organizacji młodzieżowych jest przedmiotem stałej troski Rady Pedagogicznej.

5) Trudno oceniać pracę szkoły z zewnątrz, nie dysponując konkretnymi danymi. Ob. J.K. stosuje dość pokrętną metodę łączenia sprzecznych wartości i dochodzi do wniosku, że szkoła pracuje słabo. Tymczasem w roku 1986 maturę zdało 89 proc. abiturientów, a na studia dostało się 73,2 proc. W roku 1987 maturę otrzymało 93,3 proc. absolwentów, a na studia dostało się 71,9 proc. Wyniki te są wyższe od średniej wojewódzkiej.

6) Ob. J.K. nie interesuje cel i wychowawcze skutki wymiany z Francją. Poszukując taniej sensacji wznosi się na szczyty nieczelności i złej woli. Do Francji wyjechały OSOBY ZAFROSZONE PRZEZ STRONĘ FRANCUSKĄ, ponosząc PEŁNE KOSZTY WYJAZDU (ca. 87.000.— zł). Jedyny bezpłatny bilet przeznaczono dla nauczycielek-tłumaczek. Trudno również kwestionować fakt, że dla nawiązania stałej współpracy udaje się do Francji przedstawicieli władz oświatowych i dyrektor szkoły, ponosząc zresztą koszty tej, jak to określił Ob. J.K., „prywatnej wycieczki”.

Należałoby wreszcie zastanowić się, czemu służą podobne enuncjacje. Niewątpliwie nie podniesieniu na wyższy poziom pracy szkoły, bowiem nie osiągnie się tego operując półprawdami. Wachlarz spraw, poruszonych przez Ob. J.K. jest niezwykle szeroki, tak szeroki, że intencje autora już od początku wydają się jasne. Pragniemy wyrazić zdziwienie, że redakcja poczytnego i zajmującego ważne miejsce na mapie kulturalnej Łodzi tygodnika nie usiłowała sprawdzić przynajmniej części zawartych w liście zarzutów PRZED JEGO OPUBLIKOWANIEM.

Trwa społeczna dyskusja na temat reformy oświaty. Ob. J.K. stanął poza tą dyskusją pisząc donos, którego ton i charakter przywodzi na myśl dawno minione czasy.

RADA PEDAGOGICZNA XXX LO
(25 podpisów)

OD REDAKCJI: Wielokrotnie już wyjaśnialiśmy, że na kolumnie „Polemiki — Listy — Opinie” zamieszczamy listy i wypowiedzi na zasadzie wzajemnego zaufania, jak również na zasadzie „wolnej trybuny”. Listów, polemik i opinii NIE SPRAWDZAMY przed opublikowaniem, gdyż miałyby się to z celem, jaki przyświeca tej kolumnie, jak również byłoby niemożliwe. Cały zespół redakcyjny musiałby tylko jednym zajmować się. Na tej kolumnie zamieszczamy też materiały, z którymi w pełni, a często całkowicie nie zgadzamy się, co zaznaczamy redakcyjnym komentarzem.

Każda krytyka jest subiektywna, a często wyrażana w imię czyjegoś interesu. Nie jest to jednak powód, aby krytyki nie popierać i nie upowszechniać. Tłumienie krytyki przyniosło już sporo szkody. Nigdy jednak nie odmawiamy możliwości zabrania głosu krytykowanym. Czasami przecież niezupełnie słusznie.

„DOSKONAŁY SPOSÓB NA NAIWNYCH STUDENTÓW”

W „Odgłosach” nr 22/88 ukazał się artykuł Jolanty Pol pt. „Doskonały sposób na naiwnych studentów”. Autorka krytykuje działania prezesa oraz przepisy funkcjonujące w powstałej w kwietniu 1986 roku Młodzieżowej Spółdzielni Pracy, której nazwy nie wymienia. Przytacza natomiast konkretne fakty, daty i wypowiedzi zainteresowanych, dowodząc o wiarygodności podanych im faktów.

Pragnę poinformować, że w Łodzi działa kilka spółdzielni o statusie „młodzieżowej”. Skuteczność ich działania opiera się na szybkości i jakości świadczonych usług, a przede wszystkim na wiarygodności wobec klienta. Artykuł, który mówi o nieprawidłowościach występujących w bliżej nie określonej Młodzieżowej Spółdzielni Pracy, wiarygodności tej nie utwierdza. Dziwić się należy, że autorka podając dokładne fakty przemilała nazwę spółdzielni. Dlaczego nie wprost (vide „Wprost”)? Czyżby obawa przed „abonamentem Prezesa S”?

W kwietniu 1987 r. powstała Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy „Pryzmat”. Podobnieisto dał osobom nieorientowanym nasawać może skojarzenia dla niej nieprzychylnie. W imieniu Zarządu spółdzielni „Pryzmat” protestuję przeciwko ujawnianiu prawd polowicznych, i domagam się podania nazwy opisanej w artykule Jolanty Pol Młodzieżowej Spółdzielni Pracy.

mgr JERZY CZUBAK

Oświadczam, że mój artykuł nie dotyczy spółdzielni „Pryzmat” i prezesa tej spółdzielni. Moim celem, co pragnę podkreślić, chce uprzedzić ataki innych potencjalnych adwersarzy, było zasygnalizowanie kilku społecznie ważnych problemów.

Nadużyta w spółdzielniach studenckich nie są sprawą wyjątkową, w związku z czym ujawnienie nazwy tej konkretnej spółdzielni nie było zgodne z moją intencją. Chciałam, by artykuł ten był przestrogą dla studentów, którzy często bezkrytycznie przyjmują każdą ofertę pracy, nie uświadamiając sobie, że ich praca nie jest prawnie chroniona, gdyż pracują na umowę — zlecenie.

JOLANTA POL

TELEFON: 36-77-70

Stosownie do przesłanego nam pisma nr 822/88 odnoszącego się do sygnałów zawartych w rubryce „Masz temat dla reportera” Odgłosy nr 23 z 4.06 br. informujemy, że krytyka dotycząca braku przystanku autobusowego przy stacji kolejowej na Zabieńcu odnosi się do Woj. Dyr. Dróg Miejskich, która dokonuje aktualnie modernizacji wjazdu od strony ulicy Limanowskiego, aby złączyć istniejący tam łuk. Dokąd WDDM nie zgłosi do odbioru wykonanych prac adaptacyjnych, MPK nie może usytuować swego przystanku.

W sprawie kasowników już wielokrotnie wyjaśnialiśmy, powołując się na doświadczenie. komunikacji miejskiej, że nie należy obniżać ich usytuowania, ponieważ zagroziłoby to bezpieczeństwu podróżnych (np. podczas hamowania).

Ilość kasowników w środkach komunikacji nie powinna budzić zastrzeżeń: w tramwajach jest 5—6 w zależności od typu wagonu, w autobusach przegubowych — 6, w wozach krótkich typu — 6, w jelnach, berlietach typu M11 — 5 kasowników. Jest to zgodne z normą branżową.

W kolejnej kwestii poruszanej przez Waszego Czytelnika, co do wykorzystania linii 79, wyjaśniamy, że obsługuje ona trzy duże osiedla: Zgierska—Stefana, Pojezierska oraz Radogoszcz—Zachód. Kursują na tej trasie 3 autobusy, co 15 minut. Ograniczenie tej linii przez zabranie choćby jednego autobusu, równałoby się jej likwidacji, a co wówczas powiedziałoby mieszkańcy osiedla Radogoszcz—Zachód?

Autobusy linii 78 w momencie odjazdu z pl. Wolności są napelnione w takim samym stopniu jak te z linii 79, ale częstotliwość kursowania na linii 78 wynosi 4,5 min., nie widzimy więc powodu wzmocnienia obsługi na tej trasie.

mgr DANUTA SALAMACHA
(Rzecznik prasowy MPK)



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

7 lipca — BOGDA MADEJ — godz. 10—15.

**14 lipca — EUGENIUSZ IWANICKI — godzi-
na 10—15.**

**Na okres letni dyżury przy telefonie będą trwały o godzinie
krócej.**

Pan R.D. (nazwisko do wiad. redakcji) informuje nas, że mimo jego osobistych interwencji oraz wbrew opinii wielu zdenerwowa-
nych lokatorów nikt z kompetentnych urzędników nie reaguje
na fakt mycia samochodów przez ich właścicieli, którzy zużywają
masę wody, lecz płacą za nią tyle, co inni mieszkańcy. Licznik w
bloku lub w posesji jest jeden, wobec czego ubodzy reńcisci pla-
cą za wodę zużytą przez zamożnych posiadaczy samochodów. Mo-
że by tak więc wydzielić na osiedlu hydrant, założyć licznik i
niech tam każdy płaci za użytą wodę do mycia auta.

Pani Irena Izabella Pokorska ze Zgierza uważa, że forma kry-
tyki, jaką stosuje p. B. Gadomski wobec p. V. Villas, jest dla
niej nie do przyjęcia. Domaga się taktu, wyrozumiałości i szan-
unku dla kobiety, bez względu na to, czy jest ona piosenkarką,
ministrzem czy tkaczką.

Pan Jerzy Dembowski wyraził wdzięczność R. Binkowskiemu
za zamieszczenie informacji o jego trudnej sytuacji życiowej (jest
samotny, sparaliżowany), dzięki czemu uzyskał wreszcie telefon
i łączność ze światem. No cóż, sygnały z dyżuru reporterskiego
w „Ogłosach” niekiedy odnoszą pożądany skutek.

Pan Jan Tajdos dziwi się, że Łódź jest wielkim ośrodkiem

przemysłu i kultury, wydaje wiele dzienników i czasopism, a na
liście nagrodzonych przez prezesa RSW w Warszawie znalazł się
tylko jeden łódzianin, i to nie dziennikarz, tylko pracownik tech-
niczny. Wydaje się, proszę pana, że Łódź leży zbyt blisko War-
szawy, aby można było w tej masie dziennikarskiej wyróżnić
ktoś co robi i na ile zasługuje.

Ponadto p. Tajdos stwierdza, że wiele nazw łódzkich ulic nie-
wiele mówi przeciętnemu obywatelowi, zwłaszcza młodemu, o
patronach tych ulic. Dlatego też p. Tajdos proponuje nazwiska
ludzi z nowszej historii, np. Maczka, Sosnkowskiego czy nawet
Andersa. Kto wie, proszę pana, wszystko jest możliwe, bo jak
dobrze pójdzie, to będziemy też mieć ulicę Rydza-Smigłego i Pił-
sudskiego.

Natomiast p. Janina Jaworska przyjechała z Rzeszowskiego do
rodziny w Łodzi, pokazano jej szpital Centrum Zdrowia Matki
Polski i teraz nie wie, co ma powiedzieć o tym wszystkim po
powrocie do domu. Bo szpital jest piękny, ale ten pomnik kobie-
ty przypomina raczej Arabkę i krząta słuchy, że ważne osobisto-
ści nie przyjeżdżają na otwarcie szpitala, żeby na to nie patrzeć.
Być może są to plotki, bo ważne osobistości nie mówily nie pu-
blicznie na ten temat. Faktem natomiast jest, że artysta rzeźbiarz
tak właśnie widzi Polkę i ma prawo do takich wizji.

Pan W.N. (nazwisko do wiad. redakcji), rencista, inż. z wy-
kształcenia, sam wykonał przyczepę bagażową, bo wie, jak i z
czego to zrobić. A poza tym inżynier ma działkę letniskową za
miastem, gdzie pragnie postawić domek. No i jak chce zawieźć
na tę działkę dwa worki cementu, musi wynajmować żuka i bu-
lić grube tysiące. Okazuje się, że możesz mieć, bracie, znakomitą
przyczepę odpowiadającą wszelkim wymogom, z pozytywną opi-
nią na przeglądzie ale jeśli zrobisz ją sam i nie masz kwitu z
państwowego sklepu na ramę, koło, ośkę i inny element, to ci
jej w Wydziale Komunikacji nie zarejestrują. A przecież w re-
formie tysiące ludzi próbuje tanim kosztem zbudować coś dla sie-
bie, wybierając elementy i części na złomowiskach, wykorzystu-
jąc części zniszczone tepe, bo tak właśnie trzeba. I dlatego biurokra-
cja wspiera każdą inicjatywę ludzką tak gorąco, że płakać się
chce ze wzruszenia.

Jedna z pracownic ZOZ w Śródmieściu (prosząc o nieujaw-
nianie nazwiska, ale je podając) kieruje pod adresem kierowni-
ctwa redakcji pytanie, czemu w „Ogłosach” nie pisuje już Ed-
ward Bryl oraz czy jest szansa, aby ten autor wrócił na łamy,
gdyż według naszej Czytelniczki w pełni na to zasługuje. Dyżurny
reporter spełnia prośbę Czytelniczki, a o sprawie zadecydują si-
ły wyższe.

Pani Genowefa Nikodemka prosi, aby któryś z odpowiedzial-
nych urzędników pofatygowal się w godzinach szczytu do wiaduk-
tu nad ulicą Srebrzyńską. Schody są tak strome i zdewastowane,
że pokonanie ich wymaga siły i cyrkowej zręczności. Ludzie star-
si i ulomni narażeni są na połamanie nóg lub skrócenie karku,
matki z trudem wciągają wózki z niemowlętami. Ostatnio, gdyby
nie przypadkowa pomoc, z wiaduktu spadłby człowiek o kulach.
Kto zagroził przejazd na Srebrzyńskiej — pyta p. Nikodemka.

Przy ulicy Lagiewnickiej 118 znajduje się duży pawilon z prze-
znaczeniem na usługi i naprawy, które jednak wykonuje się ty-
lko częściowo. Pan Stefan Woźniczak zaniósł tam do naprawy od-
kurzac, lecz go wysłano oświadczając, że naprawia się tylko
duże silniki z zakładów pracy. I rzeczywiście, stoi tam tablica z
informacją o rodzaju usług w zakresie napraw sprzętu gospodar-
stwa domowego, tylko że prawie wszystkie zalepione są plastrami.
A przecież, jak postuluje pan Woźniczak, duże silniki można na-
prawić w szopie, w pawilonie zaś pralki, lodówki, odkurzacze itd.

Mieszkaniec Główna, którego nazwisko pozostało do wiadomości
redakcji, został pobity przez dwóch napastników i obrabowany
z zegarka „Atlantic Super” i 250 zł w gotówce. Decyzja proku-
ratora sprawa nie znalazła się w sądzie, lecz w kolegium, które
jednego z rabusiów ukarało grzywną, a drugiego nie, chociaż był
również winny rozboju. Poszkodowany pyta, czy prawo jest rów-
ne dla wszystkich, czy tylko dla równiejszych?

RYSZARD BINKOWSKI

Czy Polakom dobrze żyłoby się w Chinach?

Móc porównywać — jak to dużo

ANTEK LI — tak brzmi polska wersja jego
nazwiska. Jest obywatelem Chin, studiującym
w swoim kraju polonistykę, który obecnie
w Polsce przebywa na praktyce.

— Jak! przypadek sprawił, że zostałeś
polonistą?

— W Chinach w czasie nauki w szkole już
trochę czytałem, była to zarówno polska lite-
ratura, jak i książki o Polsce. Czytając je bar-
dzo zainteresowałem się Polską, chciałem wie-
dzieć, jaki to jest kraj, jacy jego mieszkańcy.
Głównie czytałem polską literaturę piękna. Do
tej pory najwyraźniej pamiętam trzecią część
„Dziadów” Adama Mickiewicza, jestem tym u-
tworem zafascynowany.

— Czy czytając dzieła Adama Mickiewicza,
stworzyłeś sobie obraz Polski, Polaków, a po
przebyciu do naszego kraju twoje przypuszcze-
nia się potwierdziły?

— Oczywiście, Adam Mickiewicz pomógł mi
bardzo poznać Polskę.

— Czy tak doskonale oddanie przez tego po-
etę charakteru narodowego Polaków może
świadczyc o jego literackim geniuszu?

— Tak Mickiewicz jest naprawdę genialnym
pisarzem i uważam, że w całej literaturze
europejskiej nie ma mu równego. Takie jest
moje zdanie.

— Czy w poznawaniu przez ciebie polskiej
literatury był ktoś, kto ci w tym pomagał?

— Nie. W szkole sam czytałem, dlatego też
podjęcie nauki języka polskiego było świadomym
wyбором, natomiast dopiero na studiach
zetrząsnąłem się ze znajcami Polski i polskiej
kultury. Byli to głównie tłumacze polskich u-
tworów.

— W Europie już od wielu lat obserwuje się
fascynację kulturą Dalekiego Wschodu. Czy
Chińczycy w podobny sposób interesują się
kulturą europejską?

— Ja to zauważyłem i wydaje mi się, że
nie da się tego porównać. Zainteresowanie
Europa w Chinach rozpoczęło się na początku
tego wieku i polegało na czerpaniu z Europy
tego, co Chiny „może” się przydać. W Europie
występuje zjawisko fascynacji naszą kulturą
na zasadzie jak najdokładniejszego kopiowania
przejawów tej kultury na europejskim gruncie.
Przy czym zainteresowanie to dotyczy raczej
tylko religii chińskiej i rzeczy mniej ważnych
jak np.: Kung-fu, natomiast o prawdziwej
kulturze naszego kraju przeciętny Polak wie
tylko tyle, że jest bardzo bogata, ale w czym
to bogactwo się przejawia, już nie jest w
stanie określić.

Zainteresowanie w Europie Dalekim Wscho-

dem jest pewną życiową alternatywą, jeszcze
jednym sposobem życia.

My asymilujemy przydatne nam pierwiastki
europejskie. Chińczyk zafascynowany kulturą
Zachodu nie odrzuca tej, w której się wycho-
wał, a wielu Europejczyków odrzuca własną
kulturę na rzecz innej. Dobrym przykładem
na to jest przyjęcie się w Chinach buddyzmu z
Indii. Buddyzm chiński znacznie się różni od
buddyzmu indyjskiego, przyjął się w pewnej
rzeczywistości i w nią wtopił, wcale jej nie
negując.

Dla Chińczyków całkowite zeuropelizowanie
jest niemożliwe, nasza kultura tak głęboko w
nas tkwi, że poprzez kontakt z Europą może-
my ją wzbogacić. Mieszkańcy Chin pobierają
tylko to, co potrzebują z obcej kultury nie i-
zolując się od tej, na gruncie której się wy-
chowali.

— Jak ci zapewne wiadomo, większość spo-
łeczeństwa polskiego uważa się za wierzących
katolików a Kościół katolicki w Polsce cieszy
się bardzo dużym autorytetem. Czy w twoim
kraju religia w życiu społecznym pełni podob-
ną rolę jak u nas?

— Nie, w Polsce katolicyzm, to jest wynik
historii, u nas to nie wystąpiło. W Chinach
podobną rolę pełni filozofia Konfucjusza,
jednakże Chińczycy nie traktują jej jako religii
ale jako pewien zbiór zasad dobrego postę-
powania. Nasze życie opiera się bardziej na
zasadach filozofii a nie na zasadach religii,
którą wyznajemy. W Chinach nie wszyscy
taoizm uważają za religię, ale bardziej jako
sposób na życie.

— Czy poznanie języka polskiego pozwoliło
ci lepiej zrozumieć nasz kraj?

— Nie tylko Polskę, ale i Chiny. Tu w
Polsce moja ojczyzna wygląda inaczej niż gdy
się w niej przebywa. Patkę na nią z zupełnie
innej perspektywy a jest to bardzo ciekawe
spójrzeć na Chiny z punktu widzenia Polaka.
Od czasu do czasu zastanawiam się, dlaczego
wy tak myślicie o Chinach, czy wasz pogląd
je słuszny. Z drugiej strony widząc sposób
postępowania Polaków, próbuję dojść, dlaczego
u nas jest inaczej.

— Można więc powiedzieć, że lepiej znasz
Chiny niż niejeden twój rodak stale przebywa-
jący w kraju.

— Tak, na pewno, ja mogę porównywać.
— Jak sądzisz, czy Polakom dobrze żyłoby
się w Chinach?

— To jest bardzo trudne pytanie. Chyba nie.

Rozmawiała:

MARZENA KJEWSKA

Święto „Głosu Robotniczego”

Przez dwa dni (25 i 26 czer-
wca br.) trwało doroczne świę-
to „Głosu Robotniczego” i choć
pogoda była kapryśna (raz słoń-
ce, raz ulewa z piorunami)
mieszkańcy Łodzi bawili się do
późnych godzin w Parku Kul-
tury i Wypoczynku na Zdro-
wiu. Największym powodzeniem
cieszyły się występy estradowe
(Radiowy Klub Masztańskiego,
cała plejada popularnych arty-
stów teatru i filmu, znane ze-
spoly muzyczne, kapela pod-
wórkowej) tym bardziej, że kon-
feransierami byli spikerzy pol-
skiej TV.

Wielkie zainteresowanie
wzbudziły także imprezy spor-
towe, szczególnie wysścigowe
Motocyklowe Mistrzostwa Pol-
ski zgromadziły na Retkini,
gdzie były rozgrywane, tysiące
kibiców.

Nie zawiedli tym razem han-
dlowcy i gastronomia, których
stoiska cieszyły się nie mniej-
szym powodzeniem niż występy
estradowe czy pokaz starych
samochodów i motocykli.

Do spotkania za rok!



ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO
MANNO
w Łodzi, ul. Wólczańska 123

— znani producenci atrakcyjnych wyrobów dziewiarskich, uruchamiający obec-
nie nowe wydziały produkcyjne

Z A T R U D N I A

pracowników o wysokich kwalifikacjach, oferując atrakcyjne wynagrodzenie:

- * SZWACZKI,
- * DZIEWIARZY INTERLOKOWYCH,
- * PRASOWACZKI,
- * ŚLUSARZY,
- * PALACZY,
- * SPECJALISTĘ DS. PLANOWANIA (wymagana znajomość zagadnień),
- * SPECJALISTĘ DS. NORMOWANIA

Zakłady zapewniają wszystkim swoim pracownikom oraz ich rodzinom bogaty
wachtarz świadczeń socjalnych.
Warunki pracy i płacy do omówienia w dziale kadry i szkolenia, ul. Wólc-
zańska 123, pok. 16, tel. 36 64-55, wew. 233.
Nie zatrudniamy osób po porzuceniu poprzedniego miejsca pracy.

4313/K

Jedną z łódzkich gazet napisała kilkanaście dni temu: „Jest autorem największego sukcesu łódzkiego „Se-Ma-Fora” od czasu zdobycia Oscara dla „Tanga” Rybczyńskiego i to jest prawdziwy komplement. Ale Piotr Dumala, młody, bo zaledwie 32-letni reżyser, autor „Scian”, które uhonorowane zostały na początku czerwca 1988 r. Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, w pełni na niego zasłużył. Z sześciu filmów, które zrobił w burzliwych przecięt latach osiemdziesiątych, wyróżnienia i liczne nagrody zdobyło pięć. Do tego wszystkie — poza jedną pozycją — powstały w łódzkim „Se-Ma-Forze”. Tu też debiutował po ukończeniu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w r. 1983 „Lycantropia” będąc zresztą uczniem jakiegoś znanego w dziejach polskiej animacji Daniela Szczuchury.

Nie ulega więc wątpliwości, że jego twórczość jest kontynuacją najcenniejszych poszukiwań w dziejach łódzkiego „Se-Ma-Fora”, wpisując się na listę obok pozycji zrealizowanych przez twórców tak wybitnych jak jego mistrz-Szczuchura, już wspomniany; Kotowski, Schabenbeck, Rybczyński, Lenartowicz i inni. A przecież nie ma w utworach tego młodego twórcy, laureata zresztą Nagrody Młodych Im. S. Wyspiańskiego, nic z naśladowstwa poprzedników. Od samego początku Piotr Dumala idzie własną drogą, formując charakter pisma niepowtarzalny i szalenie oryginalny. Można zresztą już dziś powiedzieć, że jego filmy, a wymienię wszystkie: „Lycantropia”, „Czarny Kapturek” 1, „Czarny Kapturek” 2, „Latające włosy”, „Lagodna”, „Sciany” są w jakiś sposób rozpoznawalne wśród innych. I to też chyba rzecz niezmiennie cenna.

Czy do Łodzi po ukończeniu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych trafił przypadkiem? Nie. Urzeczony filmem od dawna (kiedyś pracował przez krótki czas po skończeniu Liceum Plastycznego w „Miniaturach” jako animator) przez ostatnie dwa lata studiował w ASP problemy kina animowanego pod kierunkiem Daniela Szczuchury w jego pracowni. I mimo, że dyplom na Wydziale Konserwacji Dziej Sztuki ze specjalnością Konserwacji Rzeźby Kamiennej zakładał wykonanie biustu w marmurze z

Ruchome obrazy

Piotra Dumalę sny i marzenia

Carrary, a także rysunek (Dumala przedstawił osiem arkuszy brylolu wypełnionych... komiksami opartymi na motywach „Zbrodni i kary” Dostojewskiego), zdecydował się jeszcze na zrobienie filmu pt. „Lycantropia” właśnie w Łodzi. Bo z nią był związany Daniel Szczuchura. Musiał jednak młody reżyser znaleźć odpowiednie warunki do pracy, a także pewien rodzaj sympatycznych zachęt, że w niedługi czas zdecydował się zrobić rzecz następną, która zresztą przyniosła mu ogólnopolską sławę. W tym zresztą obrazie, a nosił on tytuł „Czarny kapturek” Dumala zaprezentował po raz pierwszy całą paletę swoich możliwości twórczych i coś, co można określić jako jego własny styl.

A cechuje go przede wszystkim upodobanie do posługiwania się czarnym humorem, elementami horroru, zresztą szalenie precyzyjnie wyważonymi, skłonnością do używania chwytów i środków właściwych burlesce. Przyjrzyjmy się bowiem, ile w tej historii — co tym, jak mały człowieczek zjada dużego wilka, jest dynamizmu, ile się dzieje, jak kalejdoskopowo zmieniają się sytuacje. Do tego Dumala wrecz ostentacyjnie ucieka na ekranie od tekstu, od dialogu. Opowiada bardzo precyzyjnie, ale za pomocą obrazu, prawie jak w pantomimie, wyważając każdy element, czasem świadomie przerysowując gest, ruch. Do tematu „Kapturek”, który jest mówiąc ogólnie protestem przeciw agresji w świecie, wrócił zresztą jeszcze raz, by pogłębić wykorzystane już raz środki, by zrobić jakby kolejny wariant sprawy.

Ala przecież Piotr Dumala to także liryczne, nastrojowe „Latające włosy” będące pewnego rodzaju zaskoczeniem. Wykorzystując gipsowe płyty, malując na nich i drapiąc je Dumala uzyskuje niezwykle fakturę obrazu, który przecież opowiada właściwie o miłości, sławiając jakby jeden z najważniejszych i najbardziej wymownych elementów kobiecej urody. Po „Kapturekach” taka zmiana nastroju, taka afirmacja świata, mogła wzbudzić zaskoczenie. I wzbudziła.

Następny ważnym obrazem była „Lagodna”. Tu zmierzyl się młody reżyser z najtrudniejszym pod słońcem tematem, nie ukrywając zresztą w rozmowie z przedstawicielką „Odgłosów” tego, iż „im bardziej jakiś temat nie nadaje się na film, tym jest ciekawszy do realizacji”. Przenieść na ekran twórczość Fiodora Dostojewskiego znacząco nie zagubił znaczenia psychologicznego i filozoficznego jego opowieści o dwojgu ludziach żyjących obok siebie i zupełnie się nie rozumiejących. Oddał napięcie towarzyszące temu życiu, pokazał pewną psychologię, bez której cały dramat nie osiągnąłby pełni wyrazu. I mimo że powstał film właściwie bez tekstu, Piotr Dumala osiąga sukces. Tu rozwija jeszcze bardziej technikę malowania i drapania na gipsowych płytach, zagłębia dramatyzm i po raz pierwszy przywiązuje taką wagę do prawdy szczegółu. Ten kto ogląda „Lagodną” przez długi czas nie mógł uwolnić się od jakże sugestywnych zbliżeń oczu, czy muchy sennie poruszającej się po jakimś przedmiocie. Ale najważniejsze było to, iż Piotr Dumala potrafi osiągnąć ten nastrój skupienia i powagi na ekranie, który znacząco tylko utwór edytujący sugestywnie na widza.

I wreszcie przyszła pora na realizację „Scian”. Tu jak w snogocie o Rossini Dumala decyduje się, po przypadkowym wywołaniu 100 metrów już nakręconej taśmy, na inny wariant scenariusza. Gdy w pierwszej wersji, film oscylował w kierunku „Latających włosów”, w drugiej był bliższy „Lagodnej”, ale też tylko z pozoru. O ile film wg Fiodora Dostojewskiego zrealizowany był w konwencji realistycznej, w ostatniej wersji „Sciany” posługiwały się elementami surrealizmu. Nikt właściwie przy tym nie wie, jak interpretować to rzecz o człowieku młotającym się w zamknięciu — czy jako metaforę ludzkiego zniewolenia czy snu o wolności — co zresztą należy poczytać za zaletę. Sam reżyser mówi, że jest to film o marzeniach człowieka, zamkniętych „klatka” głowy. Dla nas ważne jest to, iż udało się uzyskać młodym twórcom głęboki wymiar filozoficzny, a jednocześnie przedstawić swego bohatera w sposób szalenie interesujący od strony plastycznej, i zarazem bardzo skondensowany.

Teraz Piotr Dumala kreśli kolejny film w „Se-Ma-Forze”. Nosi przewrotny tytuł „Wolność nogi” i jak mówi reżyser, będzie prezentował prawo różnych części organizmu do wolności... gestu. Ale oczywiście tak zawsze, warstwa literacka, choć przywiązuje do niej Dumala tak wielkie znaczenie, jest tylko skierowaniem myślenia na odpowiednie tory. W filmach Dumalę wszystko jest obrazem. I to obrazem tak sugestywnym, iż nie można przejść obok niego obojętnie.

Przybył w łódzkim „Se-Ma-Forze” twórca godny swoich wielkich poprzedników. Naprawdę.

MAŁGORZATA KARBOWIAK

NR 28 (1580), 9 LIPCA 1988 R.

1 Lewym okiem

Jedno „za”, jedno „przeciw”

Jak się pożyje trochę dłużej to nierzadko zauważymy, że pewne tematy wracają na forum dyskusji publicznej co kilka lub kilkanaście lat z regularnością płam na słońcu. Dyskusja nad takim tematem zaczyna się — nie wiadomo dlaczego i kończy — nie wiadomo jak. Dla przykładu parę takich tematów: czy stosować karę śmierci, czy nie stosować, czy dzieci w szkołach powinny nosić mundurki czy lepiej nie nosić, czy powołać Akademię Literatury, przy tym ostatnim temacie ogłasza się zazwyczaj ankietę pod hasłem: „kogo byś do takiej akademii wybrał?”. W tej chwili też mamy taką ankietę ogłoszoną przez tygodnik „Kultura”. Jest to za mojej pamięci co najmniej dziesiąty raz — stanowi zresztą dobrą zabawę intelektualną i nie mam przeciwko takiej zabawie.

Co zaś do mundurków szkolnych to ogłaszam bez dłuższych wstępów, że jestem „za”. Niech nasze pociechy rywalizują ze sobą, zwiastują w szkole średniej, w zakresie postępów w nauce, inteligencji, dobrego wychowania, a nie ciuchów z zagranicznej wyprzedaży. Nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie dowolność stylu ubierania się można łatwo poczytać za jedną z fundamentalnych wolności człowieka, wprowadzono w pewnym rejonie, tymczasem na próbę, właśnie mundurki szkolne. Co dziwniejsze olbrzymia większość rodziców głosowała za umundurowaniem młodzieży, a więc za ograniczeniem słynnych wolności osobistych. Mundurki wprowadzono, eksperyment się udał i podobno ma być rozszerzony na dalsze okazy. Cóż, z prasy, a zwłaszcza z filmów, możemy wynioskować, że szczególnie w tym kraju wysięg strojności wśród młodołatów iaskrawo daje się zauważyć. Na pewno też ciąży na kieszonkach rodziców i to oni skłonni są ograniczyć wybujałą indywidualność swych pociech i nakłonić je do wdziania zgrzebnych mundurków.

Zjawisko owego wysięgu strojności jest dobrze znane także i u nas. Zwiastują o młodziutkich, podrasztających panienkach może stać się przyczyną różnych kompleksów, niezdrowych zawiści, poczucia krzywdy. Myślę, że jeśli nie wprowadzenie mundurków, w którymś z tych słów znaczeniu, to przynajmniej jakieś ograniczenie swobody ubierania się, jakieś ujednolicenie ubiorów chłopców i dziewczeczych mogłoby pozytywnie zaważyć na procesie wychowawczym.

Skoro mowa o sprawach szkolnych to ostatnio spotyka się w prasie głosy na temat uruchomienia szkół prywatnych w naszym kraju. Wyowiedzieli się już na ten temat pozytywnie tędzy publicyści, mimo to jakiś niepokój iaskracie mnie, gdy słyszę o prywatnych szkołach podstawowych i średnich. Muszę znowu sięgnąć pamięcią do Polski przedwojennej, bo przecież nie można niczego ocenić, nie uciekając się do porównania. Wtedy szkół prywatnych istniało sporo i w opinii publicznej były to szkoły drugo, a nawet trzeciorzędne. Oczywiście przeprasza tu absolutów tych szkół, bo niektóre miały bardzo wysoką markę. Na ogół jednak mówiło się, że kto nie zdołał ułożyć swej pociechy w gimnazjum państwowym, ten posyłał dzieciaka z konieczności do szkoły prywatnej. Tam można było zawsze podejrzewać o względy nauczycielskie i dyrekcyjne dla dzieci bardziej zamożnych i lepiej placących. Tam zresztą dyrekcja ubiegala się o jak najliczniejszą frekwencję, a to znaczy, że chciała nie być zbyt uciążliwa, ułatwiała dziecku naukę, obniżala wymagania. Podejrzewało się nawet o kupowanie dobrych stopni i promocji. Ambitny nauczyciel chętniej zatrudniał się w szkolnictwie państwowym, mimo że tam płace były niższe, ale satysfakcja wi-

docznie większa, prestiż społeczny większy.

Żeby takie rzeczy mniej jak gdyby się licza, decyduje o wszystkim pieniądź, można więc obawiać się, że w prywatnych szkołach znalazłoby się najlepsze nauczyciele. Tam byłoby zresztą na pewno najlepsze warunki — baseny, prysznice, mniej liczne klasy, przy tym wszystkim jednak pozostaje obawa czy poziom byłby lepszy, czy znowu nie zagrałyby względypekuniarne, chęć zdobycia większej liczby uczniów. W dzisiejszym stanie rzeczy, być może, szkoły te byłyby lepsze od państwowych, co zresztą w mojej ocenie wcale nie przemawia na rzecz powoływania szkół prywatnych. Dlatego bowiem dzieci najzamożniejszych rodziców mają mieć wszystkie atłasowe od najmłodszych lat życia, a ich rówieśnicy, może zdolniejsi i bardziej wartościowi, tłoczyc się w szkolnictwie powszechnym? Start powinien być równy, przynajmniej w dzieciństwie. Naprawdę, zostawmy już chociażby te enklawę sprawiedliwości społecznej.

Nie chciałbym aby moje wnuki już w dzieciństwie poczuły się dziećmi piątej kategorii, skazanymi z góry na ograniczone perspektywy życiowe tylko dlatego, że ich rodzice nie mogliby płacić wielu tysięcy złotych miesięcznie opłat szkolnych.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Sport

Bezbrzeżna łagodność „dobrych wujków”

Nie napiszę nie nowego, jeśli przypomnę coraz częściej powtarzaną prawdę, że przepisy, ustawy i postanowienia mamy nadzwyczajne, ale praktyka jest podła. A przypominać o tym dlatego, że oto ludzie mądrzy, w przepisy zapatrzeni, martwią się strasznie o pieniądze dla sportu. Uważają oni, że Komitet do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej powinien wystąpić z wnioskiem o przygotowanie i uchwalenie ustawy o sposobie finansowania sportu i kultury fizycznej. Również niektórzy posłowie są podobnego zdania. Uważają oni, że skoro Sejm PRL uchwalił taką ustawę, to automatycznie zmieni się rzeczywistość, aby być w zgodzie z prawem. Wierzę w dobre intencje ludzi mądrych i bez wątplenia uczciwych, ale wątpię, czy nawet najlepsza w świecie ustawa zmieni zabagnioną rzeczywistość.

Niektórzy powiadają, że nasze prawo powinno zezwalać na fundowanie potentatom i nie tylko potentatom przemysłowym i handlowym różnych pożytecznych rzeczy. Na przykład dużą fabrykę czy kopalnię اسپiegrzem klubowi i ten grosz wydany na rozwój sportu odlicza się tej fabryce czy kopalni od sumy płaconych przez nie podatków. W końcu — powiadają — niektórzy — pieniądze zamiast najpierw iść do Skarbu Państwa, a później trafić do klubów, jako dofinansowanie, od razu idą pod właściwy adres, a urzędnicy wykonują tylko niezbędne buchalteryczne czynności. Ale to jest zbyt proste, aby było możliwe. Zaraz zaczynają urzędnicy bać się, że kluby niebawem wzbogacą się. Lepiej więc uprawiać fikcję i lewe kasy.

Jak to się robi? Nie prostszego. Daje się w fabryce zaufanym ludziom premie, potem się im je odbiera — też przez zaufanego człowieka — z tego powstaje fundusz, którym dyrektor fabryki może obdarzyć zawodników po meczu. Z tego płaci się za niezbędne drużyny punkty. Jak

twierdzą wjażenniczani punkt kosztuje 2 miliony złotych. Z tego „lewego funduszu” płaci się za transfery i tak dalej. Robi się prezenty sędziom. Mając taki fundusz w „lewej kieszeni” można grać rolę „dobrego wujka”. Kłóż nie pokocha takiego „wujka”, który ma „lewe pieniądze”, w „lewej kieszeni” z „lewego funduszu”? I co na to pomoże najlepsza w świecie ustawa, jeśli w najprostszy, a możliwych, sposób nie rozwiąże tego, aby „lewa kasa” stała się kasą legalną?

I już wcale nie chodzi o to, że takie „lewe operacje” dla zdobycia „lewych pieniędzy” są wielce niemoralne. Chodzi natomiast o to, że te „operacje” pozwalają na utrzymywanie fikcji. I właśnie ta fikcja demoralizuje. Już nie starszych ludzi, którzy „najeli” się za działaczy, ale młodych ludzi, którzy mają być naszą chlubą i przyszłością. Oto reprezentanci Polski w pilce nożnej do lat 17 okradają w biały dzień sklep w RFN, do którego zostali zaproszeni, aby zrobili zakupy z... 20-procentową zniżką. Kiedy karano ich dyskwalifikacją, trenerzy rwali włosy z głowy i błagali o litość. Litość? Dla kogo? Przecież ci młodzi ludzie wiedzą, że dla nich jest wszystko, że oni są „panami”, dla których nikt z niczym się nie liczy.

Młodzi ludzie biegają po boisku i nawet nie usiłują udawać, że grają. Oni bowiem wiedzą, że ich w Polsce są najlepsi, że ich chętnie „kupią” na Zachodzie, że tu się nie muszą wysilać, bo lepszych nie ma. Robią też wszystko, aby jak najmniej konfrontować swoje umiejętności z zagranicznymi zawodowcami, bo wówczas wyłaziłby nicyzm z worka, że są niedźmiernymi amatorami, którzy tylko udają zawodowców. Ale są wśród nich gracze utalentowani, którzy potrafia grać. Za granicą, oczywiście. I ci robią wszystko, poza boiskiem najczęściej, aby na Zachód trafić. Jak Marek Leśniak choćby i teraz Grzegorz Wiek z LKS.

Historię dezercji Marka Leśniaka opisałem szeroko, nie ma powodu do tego wracać. Ale warto przypomnieć, że „pomogli” mu w tym „dobrzy wujkowie” ze Szczecina, którzy nie tylko załatwili mu wszystko, co potrzeba do życia w Szczecinie, ale studia według indywidualnego toku oraz urlop dziekański — w drodze wyjątku wprawdzie — aby do wojska chłopaka nie wzięli, aby mógł za Zachód dezercjonować. Potem pojechał tam przedstawiciel władz sportowych i dał gwarancję, że dezercjowi nie się w PRL nie stanie. Czyżby te wszystkie czynności były dokonywane w myśl obowiązujących w PRL przepisów, czy też te przepisy i prawa były uchylane „w drodze wyjątku”? Raz już zdarzyło się, że prokurator zastrzegł, że polski paszport nie może otrzymać paszportu, ale on otrzymał paszport i zbiegł do Szwecji, bo mu w PRL sąd groził. „Dobrzy wujkowie” zawsze pomagają.

Ciekawam, jacy to „dobrzy wujkowie” z Łodzi pomogą teraz w wnioskowaniu Grzegorza Wiek z LKS? I kto będzie następny? Łagodność „wujków” sprzyja bowiem dezercjom. Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

BOGDA MADEJ

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

Jeśli już mamy stanowić nową prawdę w sporcie, to postarajmy się należało o takie prawa, które uniemożliwiłyby działalność „dobrych wujków”. Ale w to ja już — niestety — nie wierzę!

małym list od Czytelnika, pana Wojciecha Kołodzieja z Łodzi. Bardzo dziękuję. Pan Kołodziej doczytał się w moim tekście, że popieram jazdę na gapi i drwi sobie ze mnie, proponując, aby kontrolerzy MPK wręczali nagrody złapanym gapowiczom.

Drogi Panie. Wyraźnie napisałem, że jestem przeciw korzysztaniu z środków komunikacji masowej za darmo, czyli z pańskiej i mojej m. in. kieszeni. Myślę tu zresztą nie tylko o gapowiczach... Ale jednocześnie jestem przeciw kontrolerskim łapankom i bezwzględnemu egzekwowaniu wysokich opłat za przejazd bez biletu. Myślę, że kontroler (lub jego zwierzchnik) może i powinien obniżyć wysokość tej opłaty lub zrezygnować z niej w określonych przypadkach: można przecież odróżnić poważnego obywatela, który tylko zapomnił kupić czy skasować bilet od ewancielczaka, który robi sobie z jazdy na gapi sport.

W dalszej części listu mój adwersarz dworuje sobie z moich pomysłów dotyczących darmowego lub co najmniej taniego zakładania telefonów oraz wypłacania odszkodowania pasażerom PKP lub PKS, w stosunku do których te przedsiębiorstwa nie wywazyły się z umowy, tj. nie przewiozły ich w sposób zagwarantowany rodzajem biletu (pociąg pośpieszny wolniejszy od osobowego itp.).

Nie ma zgody drogi panie. Uparcie obstaje przy egzekwowaniu takich obowiązków od przewoźnika jak i opłatę za założenie telefonu nadal uważam za zawyżoną i niezgodną z handlową logiką i poczytelnością przyzwyczajeni.

Dziękuję panu za troskę o moje zdrowie, za własną sklerozę jakoś sobie poradzę, czego życzę także wszystkim cierpiącym na tę łagodną w gruncie rzeczy przypadłość, ewoluującą czasem zanikiem pamięci, a czasem wyświecającą (i wypisywaniem) tzw. dubów smalonych. Pozdrowienia.

Już chciałem dalszą część tego felietonu poświęcić jakimś zdarzeniom zabawnym i pogodnym, kiedy dosadła mnie informacja również z pocztowo-telegraficznej łaski. Oto znana i zasłużona wielce łódzka poczta ogłosiła dumnie, że wykończyła będzie usługi super-ekspresowe! Mianowicie super-ekspres polega na tym, że poczta nasza wspaniała jest w stanie doreczyć przesyłkę miejscową (b) już następnego dnia, pod warunkiem wszakże, iż nadawca przyniesie to przesyłkę (list, przekaz, nieduża paczka) osobiście do urzędu pocztowego w... Ale! Włókniarzy i zapłaci za ten cymes 500 zł (słownie: pięćset).

Proszę szanownej poczty naszej! Proszę drogiego i szanownego pana kierownika Służby Pocztowej Czesława Ciesielskiego! Czy nie można byłoby poczekać z tym do pierwszego kwietnia? Przecież to czyste kpiny. Czy pan kierownik wyobraża sobie, że ktoś, kto pilnie chce wysłać pismo, dajmy na to do sądu przy placu Dąbrowskiego, a mieszka na Chojnach lub Władysławie skrzyżstwie z takiego „ułatwienia”? Będzie się tłukł do dworca Kaliskiego zamiast zwyczajnie i po prostu polecać do sądu? (Urząd Miasta, redakcji, banku itp.). A cała przyjemność za głupie — przepraszam NBP — pięć stów?

Domniemuje, że poczta chce się wylać na dochodowość i europejską zupełnie nowoczesność. Tymczasem zwracanie się ośmieszają. Zwykli listy, który tylko jeden, dwa dni szedł do Warszawy to jeszcze nie jest taka odległa przeszłość. Ludzie — m. in. ja, AK — pamiętają takie rewelacje. Tylko że wrzucało się ten list do zwykłej skrzynki i naklejało znaczek za kilkadziesiąt groszy.

Usługa super-ekspresowa to — podobno — eksperyment. Przypomina się stary kawał o człowieku, który chodził na nogach w kraju, którego mieszkańcy zwykli chodzić na rekach. Zyskał sobie — no bardzo odważnego, a nawet trochę niebezpiecznego eksperymentatora...

Zupełnie — darmo mam do zaproponowania parę równie eksperymentalnych rozwiązań: dostawa porannej gazety razem z mlekiem i bułeczkami pod drzwi mieszkanca, telefoniczne zamawianie zakupów, biletów do kina i do teatru, itp., itd. Podobno są kraje, gdzie można to załatwić. Uwierzyć trudno, prawda?

ANDRZEJ KAROL

Ryzykowny eksperyment

Po felietonie zatytułowanym „Przewrotność i... mam nadzieję — również figlarnie, „Stalinizm w tramwaju” (nr 26/88) otrzy-

ODGŁOSY 15

Tymczasem pierwsze oddziały wojsk Piastuna nadszły wcześniej niż oczekiwano. Uniemożliwiło to zebranie w mieście odpowiedniej ilości zboża. Oddziały Piastuna przechwyciły kilka karawan wozów wypełnionych zbożem oraz trzy wielkie stada bydła, które gnał do miasta. Atak na gród jednak nie następował — mówiono, że żołnierze i poszczególnie oddziały czekają na przyświe głównej sili na czele z Piastunem, władcą Polan, bo tak siebie teraz nazywali. W mieście nastroje nie były dobre, wielu kupców po prostu uciekało w stronę Słazan i do grodu Wrocław, zabierając wozy z rodzinami oraz to co się dało z dobytku. Nikt nie potrafił powiedzieć, ilu ich wpadło w ręce grasujących wokół miasta Polan, ilu zabito, a ich majątek rozgrabiono. W tej sytuacji, gdy na dalekim horyzoncie — bo ziemia tu była równinna i od dawna wycięta lasy w pobliżu Kalisii — pokazywały się nowe wojska w czerwonych kubicach, załazły w słońcu hełmy i pancerze, Ibraim zwołał radę starszych i zaproponował poselstwo do Piastuna z propozycją opłacenia trybutu.

Przez całą drogę pod Kalisję, Dago jechał milczący, choć miał u swego boku Zylfikę i Herimę. Gdy na noc rozstawiono dla niego biały namiot, zamykał się w nim i nie dopuszczał do siebie nikogo. Raz tylko zażądał od Herimy podania mu wyrzutowanych na kory brzozy zarysów Kraju Ludzi Skrzydlatych oraz Słazan, co było znakiem, że rozważa wszystkie skutki wojny z Kalisją.

O Słazanach wiedział Dago dość sporo z informacji, jakie posiadała kancelaria cesarza Rhomajów. Mieli oni ponoć kiedyś stworzyć potężne państwo złożone nie tylko ze Słazan, ale Dziadoszyców, Trzebówian i Bohran. Dla zabezpieczenia się od Sorgów po obydwu stronach rzeki Bober zbudowali potężny wał wzmocniony fosami i tak długi, że przez dwa dni jazdy konnej nie można go było obejrzeć od początku do końca. Miały owe ludy wspólne miejsce święte — Górę Słazę — gdzie kult słońca oddawano jeszcze w pradawnych czasach oelttyckich. W Rocznikach Fuldajskich zapisano, że Słazanie mieli wiele grodów, a najpotężniejszym był Wrocław, dokąd zmierzali karawany kupieckie z Wielkiej Morawy, z Italii, od Franków. Z Wrocławia prowadzili dwa szlaki kupieckie — jeden przez Karaków aż do Kijewa, drugi przez Kalisję aż na północ, do Estów i do Kurów. Potężnymi grodami rządzili też bezpośrednio graniczący z ziemiami Kalisii — Słazanie w Miliczy. Już samo zbliżanie się pierwszych oddziałów armii Piastuna do Kalisii, a więc w bezpośrednie sąsiedztwo granicy Słazan musiało wywołać tam popłoch oraz zjednoczenie się poszczególnych opoli, zorganizowanie armii, która jeśli nie teraz, to w przyszłości mogła wkroczyć do państwa Polan i to w najbardziej nieodpowiedniej dla Piastuna chwili. Czy miał prawo Piastun liczyć, że nie zdradzą go wtedy Duninowie z Poznania albo Łabędzie z Ładu?

Z bogatymi darami wysłał więc Herimę do grodu w Miliczy, aby zapewnić tamtejszych Słazan, że zatrzyma się na ręce Baryczy, a potem zawróci do Gniazda. Posłał też dary do władcy Miliczy, niejakiego Stojmira, starosty bez synów, ale z siedmioma córkami. Zaproponował Piastun, aby starosta Stojmir wydał swoje córki za mąż za dwóch synów Awdańca, któremu to rodowi on, Piastun nadał ziemię i wioski aż po Obrę. Co zaś dotyczy samego Stojmira, to nie żąda od niego żadnego trybutu, ale tylko zwykłego hołdu i wzięcia w piastowanie.

Zabezpieczył się więc Dago od strony Słazan, aby móc swobodnie i całkowicie rozprawić się z nie zdobytą dotąd przebogata Kalisją. Nie wiedział, że władca Kalisii, stał posłów do wszystkich rodowych opoli Słazan i nawet ich przywódcy zebrali się na Słazę odbywając w tej sprawie specjalną radę. Zbyt jednak duża była w nich gorączka z niską nagrodą, jaką od Kalisjan otrzymali, gdy przysłali im z pomocą i uderzyli od tyłu na wojska Karaka i. Nie kwapili się tedy, aby i tym razem zebrać swoje drużyny, wybrać jednego wodzów i pójść na pomoc Kalisii. Niewiele zresztą wiedzieli o owym przedziwnym Piastunie, który tak szybko zdobył Kruzwic i Gniazdo, księżnę Helgundę rozsiadł mieczami żołnierzy i hołd przyjął od Duninów i Łabędzów. Czy

warto było takiemu człowiekowi, który ich o swoim pokoku zapewniał, narażać się dla obrony Kalisii, niewdzięcznej za okazaną jej nie tak dawno pomoc? Co innego, gdyby ów Piastun chciał przekroczyć rzekę Baryczą i zająć jakieś opole. Ale on o małżeństwach miedzy Słazanami i Polanami chciał mówić, sół z żup kujawskich obiecywał...

Nie pozostało więc nic innego władcy Kalisii, Ibraimowi, jak wybrać się z poselstwem do Piastuna, którego niezmiernie wojska ujrzał na horyzoncie. Białą brodę swoją wyszczotkował Ibraim, bogate w złoto szaty założył i na czele dwudziestu tak samo strojnych jeźdźców wybrał się do obozu Piastuna, do jego białego namiotu. A tam zobaczył na pościelonym tronie Popiołowoskich, który przywieszono aż tutaj na wozie — młodego mężczyznę z gołą białą głową i Świętą Andalą na włosach. Złoty pancerz miał Piastun i białym płaszczem był okryty.

wołał żołnierze Dagona.

Pojął teraz Ibraim, że źle uczynił przyjmując do siebie księżnę, dając jej drogę szaty i eskortę na drogę do państwa Visulan. Należało ją zatrzymać a teraz wydać temu wojusku. Ale skąd mógł wiedzieć, że tak się rzeczy potoczą, wyschną bagna i moczary, Kalisia stanie otworem dla najazdu.

— Przyznaj przynajmniej, że gościeś nie księżną Helgundę, ale kobietę do niej podobną, to jest Łzę-Helgundę — zaproponował mu Piastun.

— Ale Ibraim był przede wszystkim kupcem, u którego słowo liczyło się więcej niż życie. Na jedno jego słowo w dalekim Wrocławiu można było otrzymać towary i złoto, on także zawierał inni kupcom tylko biorąc od nich słowo. Miedzy kupcami słowo prawdziwe było najważniejsze. Odszedł więc dumnie:

— To była prawdziwa księżna Helgunda. Poznałem ją, gdyż kilka razy się z nią spot-

Patrzył na nich Dago a pogardą i splunął im pod nogi! — O czym mówić z głupcami, którzy nie widzą dalej niż koniec własnej włóczni? Jeśli nie stanie Kalisii, kupcy z Wrocławia będą musieli budować składy w Poznaniu albo w Gnieźnie, tam otwierając swoje targowiska.

Następnego dnia o świcie rozkazał Piastun pięciuset swoim tarczownikom uderzyć na najsłabiej zabezpieczoną część podgrodzia od strony niemal suchych teraz bagien. A gdy tarczownicy wdrapali się na wały i zdołali otworzyć główną bramę, wdarło się w nią trzystu saurumackich wojowników i rozpoczęło rzeź, o jakiej dotąd na tej ziemi nie słyszano. Trzy dni i trzy noce płonęła Kalisia. Tysiące ludzi, kobiet, mężczyzn i dzieci — wzięto w niewolę. Zrabowano ogromne łupy. Żołnierze stali się tak bogaci, że złoto było tańsze niż dotąd srebro, a srebro było tańsze niż dotąd bywała słoma.

grodu oblegał.

— Kto uwierzy, że jestem księżną Helgundą i mam prawo do tronu Popiołowoskich, jeśli Piastun będzie głową i języki ucinął? — pytała Helgunda swego młodego małżonka.

— Prawda i wiara jest zawsze po stronie silniejszych — powiedział jej Karak. — Urodzi się mi dzieci, a one też będą miały prawo do tronu w Gnieźnie. Nabiorę wtedy dość siły, aby uderzyć na Piastuna. Tobie oddam jego głowę i jego język.

W grodzie Karaka nikt dawniej nie widział żony Popiołowoskiego, dlatego nikt nie mógł mieć całkowitej pewności, że Karak wziął sobie za żonę księżną Helgundę, a nie — jak to powiadali uciekinierzy z Kalisii — jakąś Łzę-Helgundę, ją winiac za zemstę Piastuna na Kalisii. Trzy głowy musiał uciąć Karak, a także trzy języki, zanim przestano głośno mówić o jego żonie jako fałszywej księżnej. Myśli jednak

Tak pojął Dago, że nigdy nie będzie mógł zaufać możnym, których sam możnymi nie uczynił, gdyż są oni jak ryś, co leży przywiązany na gałęzi w puszczy i w każdej chwili gotów jest skoczyć na plecy swojej ofiary. A że obrzydło już Dagonowi przelewanie krwi ludzkiej zaproponował Czarnemu Łabędziowi, aby w swoim namiocie uczył dla całego swego rodu wydał i Dagona na nią zaprosił w celu omówienia sprawy łupów. Zamiast Dagona na ową ucztę przyszedł jednak tylko Herim z dzbanem wina zatrutego przez Zydala, jego powiernika i wykonawcę wyroków śmierci. Rozlał Zydala wino do kubków wszystkich biesiadujących, nie wyłączając Herimę, ale gdy tamci kubki opróżnili, on tego nie uczynił.

— Dłaczego z nami nie wypieś? — zapytał Herimę ów Czarny Łabędź.

Odpowiedział mu Herim:

— Słabo stawiał się w walce przeciw Kalisii i mało wzięliście łupów. Ale jak to się słyszy, zapomnieliście o trzystu numizmatach, które dał wam Ibraim. Nie wracacie więc do domów aż tak ubodzy jak to opowiadacie.

Przerazili się jego słów. Niektórzy z Łabędzów chwycili za miecze, aby zabić Herimę, który ich o zdradę oskarżał. Trucizna jednak już działała, zaczęli wymiotować winem i złością, padać na stoły i na ziemię, umierając w straszliwych męczarniach.

W tym czasie dwaj synowie Awdańca zdobyli Ład bez żadnej walki, zabił pozostałych tam Łabędzów, starych i młodych, także kobiety Łabędzów i ich dzieci. Lestkowie zaś Dagona rozpoczęli polowanie po całej krainie Łabędzów, po ich grodach i gródkach, wsiach i wioskach, mordując każdego kto tylko zwał się Łabędziem albo kogo Łabędziem zwano. Oszczędzono tylko jednego — Łabędzia Rudego, który w niedzielnym gródku nad Wartą siedział i przez innych Łabędzów był pogardzany, ponieważ mówiono, że w ogóle żadnym Łabędziem nie jest, ale z niewolnika się poczuł i tylko matkę miał z Łabędzów. Tego oto człowieka przed oblicze Dagona sprowadzono, a ten go skrajem swego płaszcza okrył i dał biały płaszcz wojewody, aby drużyną Łabędzów oddał dowodzą. Niestety, wojsko Łabędzów na wieść o śmierci swych panów i o ujawnieniu ich zdrady, rozproszyło się po lasach i prawie rok trwało nim na powrót zebrał je Łabędź Rudy i do Gniazda przyprowadził, gdzie jeszcze raz, na oczach innych wodzów, swoje dłonie włożył w dłonie Piastuna, wierność mu poprzysiągł i ponownie skrajem jego płaszcza został okryty. Tak więc ocalał ród Łabędzów, do dawniej jednak zamożności już nigdy nie powrócił, gdyż Ład i inne dawne grody Łabędzów przeleli Awdańce.

Wielka okazała się zachłanność starego Awdańca i jego synów na wszelką ziemię i grody. Nie dość im było Giełca, Ładu oraz ziem aż po rzekę Obrę, dlatego korzystając z zamieszania, jakie wywołała rozprawa z rodem Łabędzów, oskarżyli także o sprzysiężanie Kalisii niejakiego Czestrama z grodu Czestram, napadli go, zabili i gród uznali za własny. Widząc zaś, że Awdańce do wielkiej dochodzą potęgi i sięgnęli już po rzekę Baryczę, gdyż Czestram leżał między Obrą i Baryczą, tak Herim jak i Spicimir wykazali przed Piastunem, iż fałszywe było oskarżenie owego Czestrama o zdradę. Dlatego rozgniewał się Dago Piastun na Awdańców, odebrał im Czestram i nadał gród niejakiemu Czestrowi, zwyktemu Lestkowi, który razem z nim, ramię w ramieniu dzielnie stawał przy zdobywaniu Kalisii. Błagali Awdańce, aby im jednak oddał ów gród w Czestramiu, ponieważ nad Baryczą znajdują się dymanarki potrzebne do wyrobu żelaza, a oni, jako kowale, w żelazie się kochała, mówili również, że warownia w Czestramiu i ziemię między Obrą i Baryczą będą ich oddzielać od Stojmira w Miliczy, a przecież za tęcią będą go mieli synowie kowala Awdańca. Piastun jednak okazał się nieugięty i potwierdził swoje nadanie dla Czestława, zobowiązując go, aby kupców jadących z Wrocławia otaczał opieką po przekroczeniu rzeki Baryczy, dopóki nie dotrą do Obrę i ziem Awdańców. Bał się bowiem Piastun rosnącej potęgi Awdańców i nie chciał, aby władali tak wielką ziemią jak i on sam władał.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Obok niego stała kobieta w męskim stroju wojownika z łukiem o złotych okuciach, dwóch wojowników w białych płaszczach oraz najmniejszych z Duninów i Łabędzów, a także kanciera, który sięm piórem pisał na rulonach kory brzozy.

Sklonił się Ibraim i rzekł do Piastuna:

— Co cię sprowadza pod Kalisję, panie? Chcesz złota, drogich kamieni, niewolnie, drogich szat i sukna?

Powiedział mu Piastun:

— Sprowadza mnie tu ogromna krzywda jaką ja, imój lud, od Kalisjan doznałem. Oto przebrała się miara krzywd ludu od księżnej i możnych. Ukorzyliśmy ich, a księżną Helgundę i jej syna Aslaka rozsiadło wojsko mieczami. Tymczasem ty, Ibraimie, jakąś nową Helgundę wynalazłeś, a to znaczy, że musiał być jakoby Łzę-Helgunda. Zamieszanie więc w moim państwie chcesz czynić, bo wygubiliśmy ród Popiołowoskich, a ty go znówu tworzysz.

— To była prawdziwa księżna Helgunda. Odesłałem ją księciu Visulan, ponieważ jest z nim zaręczona — odrzekł Ibraim.

Wówczas wyszedł Piastun przed swój namiot i wezwał do siebie dziesiątki żołnierzy. Zapytał ich:

— Czy to wy rozsiekaliście mieczami księżną Helgundę i jej syna Aslaka, gubiąc ród Popiołowoskich?

— Tak — krzyknęli.

Wskazał Piastun Ibraima i powiedział:

— Ten oto człowiek, władca Kalisii, twierdzi, że wskrzesił Helgundę, gościł ją u siebie i do księcia Visulan odesłał.

Wrzask zrobił się tak okropny, bicie mieczami w tarcze i krzyki, że albo Ibraim jest straszliwym czarownikiem, który trupy potrafi wskrzeszać, albo też mówi kłamstwa.

— Pokaż nam Łzę-Helgundę. Pokaż nam Łzę-Helgundę —

kłamał. Mogę przestać być władcą Kalisii, ale jeśli powiem fałszywe słowo, przestanę być kupcem, a to gorzej od śmierci. Nie wypowiem fałszywego słowa, ale jeśli chcecie dam wam wiele wozów złota, niewolnie, towary wszelkie tak, że każdy odejdzie stąd uginając się pod ciężarem dobytku.

— Czy masz mnie za rabusa? — gniewnie zapytał Dago. — Nie po łupy tu przyszedłem, ale po prawdę. Nie ma takiej mocy i takich czasów, żeby wskrzesić poćwiartowaną mieczami kobietę. Kłamstwem splamiłeś swoje usta. Odejdź sprzed moich oczu, gdyż się tobą brzydzę.

To mówiąc wycofał się Piastun do swego namiotu, a Ibraim powrócił do Kalisii nie osiagnawszy pokoju.

A kiedy odeszli, zapytała Zylfika swego męża w obecności Awdańca i Paluki, Duninów i Łabędzów:

— Czego naprawdę chcesz, Piastunie? On nie wskrzesił księżnej Helgundy i nie musisz na nim kłamstwa.

Odpowiedział twardo Piastun:

— Kalisia ma być spalona i zrównana z ziemią. Na jej miejscu zbuduję tylko niewielki gród.

— Pragniesz, panie, krwi i mordów, gwałtów i pożarów? — przeraził się Dunin.

Opowiadano, że miecz zwany Tyrfiniem ciał ludzkie szyje jak sierp ucinając kosy w polu. Zbrzydzany został posoką białą płaszcz Dagona, on zaś tak długo walczył, dopóki pierwszy nie wdarł się do komnaty Ibraima i własnym mieczem uciął mu głowę. Wtedy dopiero zaprzestał walki, głowę Ibraima kazał wbić na wysoką tykłę i wycięty z tej głowy język polecił umieścić na ostrzu oszczepu obok tyki z głową władcy Kalisii.

Tak będzie ukarany każdy kłamać — obiecał po walce Dago. — Tak się stanie z każdym, kto zobaczy wskrzeszoną Helgundę i nie powie, że jest to Łzę-Helgunda.

Znalazło się kilku, którzy zdołali uciec i uciekli do Karaka. Opowiedzieli o wszystkim księciu i jego nowo poślubionej żonie, księżnej Helgundzie. Potem całą noc płakała księżna w łóżu młodego Karaka i błagała go, aby zebrał wojsko i dokonał zemsty na Piastunie. Lecz on był bezradny, ponieważ wygubił swoich możnych, nie miał ani licznego wojska, ani też dowódców, a na domiar złego przez Bramę Morawską znówu wkroczyli oddziały Rostisława i ograbili go z cna miasto Visule, z łupami powrócili do domów. Za swoje szczęście uważał Karak, że nie poszli aż pod Karaków i nie zaczęli jego